ZBIÉRACZ

UMYSŁOWYCH

ROZRYWEK.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWÉJ.

ZBIÉRACZ

UMYSŁOWYCH

ROZRYWEK.



W KRAKOWIE,

W DRUKARNI JÓZEFA CZECHA.

—

1839.

SPIS RZECZY.

PROZA.

POEZYE.

ZBIÉRACZ
UMYSŁOWYCH ROZRYWEK.

KOŚCIÓŁ
ŚWIĘTEGO KRZYZA
NA ŁYSÉJ-GÓRZE.

Choć pod niebem zimniéjszém kwitną nasze niwy,
Nie rodzą winnych jagód, ni wonnéj oliwy:
Milsze przecie równiny wzdłuż podnóża Tatrów,
Gdzie kłosy kołysane jak morze od wiatrów,
Kłaniają się niebieskim bławatem wieńczone;
Gdzie. . . . .

K. Brodziński.

Miasteczko Słupia dawniéj dziedzictwo opactwa Benedyktynów, u stóp Łysej albo inaczéj zwanéj Święto-Krzyzkiéj góry położone; zaledwie mogące nazwać się teraz miastem, posiada mały kościół pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca. Reszta budowli drewniana, i nieporządnie zabudowana. Słupia lubo szczyci się odległą starożytnością, nié ma wszelako żadnego jéj śladu. Już w roku 1410 było miastem, gdzie jak pi-

sze Bielski: «mieszkał dwa dni Władysław Ja» giełło, skąd szedł na górę do kościoła Świętego » Krzyża, bosémi nogami, gdzie czynił wielkie » nabożeństwo!» Byłato chwila, w któréj błagał pomocy Boga idąc walczyć z niewiernym zakonem Krzyżaków, którzy wzmocniwszy siły początkowo wątłe, śmieli targnąć się przeciw swoim panom. Nadaremnie żelazem warowne europejskie rycérstwo i lądem i morzem ściągało się pod znaki ich krzyża, nadaremnie różne Europy okolice składały do ich karbon pieniądze i niczego nie żałowały na utrzymanie ich warowni, i zaciągów; wysłuchał Stwórca, sprawiedliwych modłów Jagiełły — i wkrótce pola Grundwaldu zasłane trupami dumnych zakonników, zabrzmiały odgłosem przeważnego nad niémi zwycięztwa. (1)

Z miasteczka Słupi, otwiéra się wąska droga, którą podróżny wdziérać się musi, chcąc się dostać na szczyt Łyséj góry. Długa i przykra kamiénista droga, z obu stron zarosła bukami, grabiną i jodłami, przerznięta mnóstwem strumieni wydobywających się s pośród skał i na dolinę spływających, prowadzi strudem na wiérzchołek.

(1) Paprocki (Herby rycérstwa Polskiego w Krakowie roku 1584 na str: 610.) mówiąc o bitwie pod Grundwaldem tak pisze: «Zdobyli tam Polacy 50 chorągwi krzyża» ckich, które na większą pamiątkę Władysław Jagiełło » kazał zawiesić w kościele krakowskim na zamku przed » grobem Świętego Stanisława, które aż i po ten czas » widzimy od roku 1410 »

Przy samym wchodzie ze Słupi na górę, znajduje się starożytny posąg świętego Emeryka, niezgrabnéj roboty. Wyobraża on klęczącą osobę, z założonémi rękami w czasie modlitwy. Lud, takie ma podanie o tym posągu: w czasie napadu Tatarów na klasztór Łyso-górski, kiedy rabowano kościół, jeden z nich porwał drzewo Krzyża Świętego złożone od najdawniéjszych czasów w tym kościele. (2) Ale zaledwie się dotknął, niewidomą siłą pozbawiony władzy w ręku gdy ze czcią pozostawił na miejscu swojém toż drzewo, znowu w tejże chwili uzdrowiony został; a na pamięć tego zdarzenia, roskazał zrobić ów posąg i postawić go w tém miejscu.

Z wiérzchołka góry piękny się widok na około otwiéra. Bielejące od śniégu wpośród chmur szczyty Karpatów widać zdala chociaż o mil trzydzieści stamtąd odległe, pola i lasy, wsi i miasta rozsiane, zachwycają patrzącego.

Łysa góra wpośród przerwisk skalistych, lasami okryta, na któréj Kościół Świętego Krzyża s klasztorem XX. Benedyktynów stoi, podniesiona jest na 2,000 stóp nad poziom morza Baltyckiego, a jak uważa Staszic (3) jeszcze daleko mu-

---

(2) Długosz założenie tego klasztoru, przypisuje prośbom Emeryka Króla Węgierskiego; lecz podług Naruszewicza, opiérającego swe zdania na historyi węgierskiéj Praja, Emeryk urodzony roku 1007, był natenczas jeszcze w pieluchach.

(3) O ziemiorodztwie gór stron. 49.

siała być wyższa, co dowodzą na samym wiérzchu rozburzone skały i niezmierne na wszystkie strony rozwaliska. Gminne podanie niesie, jakoby rozburzenie Łysej góry stało się przez wielkie trzęsienie ziemi. Lecz o tém niémasz żadnéj wzmianki w dziejopisach; a znalezione wpośród tych zwalisk kamiéni, posągi bożyszcz i popielnice umarłych dowodzą: że podobne zdarzenie jeźli miało kiedy miejsce, to zajść musiało jeszcze przed przyjęciem wiary chrześcijańskiéj w kraju naszym. W całéj okolicy tych gór, na kilka mil, znajdują się po polach gromady rozrzuconych żużlów żelaznych.

Na najwyższym gór świętokrzyskich szczycie, złożonym spokładów kwarcu na kamiéniu wapiénnym (4), leży klasztor Benedyktynów powszechnie Świętym Krzyżem zwany. Cały ten wiérzch góry na piętnaście sążni grubo okrywają same zwaliska, sama zaś góra tak jest wysoka, że często chmury ociérają się o jéj wiérzchołek tak, że choć dészcze i burze niekiedy panują na dole, w górze najpiękniéjszéj pogody używać można. Zdołu poglądając, nie raz widziéć można jak chmury zakrywają całkowicie klasztor i nader piękny widok sprawują, kiedy ustępując powoléj odkrywają częściami ten gmach wspaniały, który zdaje się jakby spośrodka chmur spływając osiadał na szczycie wyniosłéj góry.

(4) Tenże.

Kościół wchodową i tylną ścianę mający s ciosu ułożoną, ozdobiony zewnątrz marmurowémi posągami opatów i rycérzy, nie nosi na sobie cechy starożytności. Po ostatniém bowiém spaleniu przed dwudziestą kilką laty, od opata tutejszego został odnowiony i zewnątrz zupełnie w nowym stylu przyozdobiony. Gzymsy jego wewnętrzne opiérają się na płaskich rzymskiego porządku słupach, bielonych równie jak i gmach cały. Wilgoć pomimo takiéj wysokości, tak jest wielka, s powodu opoki na któréj mury są wzniesione: że jak tylko dészcz ma być, woda kroplami na posadzkę marmurową występuje, a każdy zakonnik nowo przybywający, musi odchorować, nim do tamecznego powietrza nawyknie. S téjto przyczyny, piękne obrazy pędzla sławnego Smuglewicza zdobiące ten kościół, w krótkim czasie zostały zniszczone. Wielki ółtarz zdobią dwa słupy mozajkowe, w środku których obraz, pędzla wspomnionego malarza, Trójcę świętą wyobraża. Sześć innych obrazów ręki tegoż samego artysty, tworząc sześć bocznych ółtarzy, upiękniają ściany. — S pomiędzy nich, we dwóch był szczęśliwszym w wyborze przedmiotu. W jednym, Emerykowi synowi Stefana, króla węgierskiego, będącemu na łowach, Anioł spuszczając się z obłoków wskazuje miejsce, gdzie ma klasztor wystawić, i drzewo Krzyża świętego złożyć; w drugim, gdzie Helena matka Konstantyna, znalazłszy

1*

krzyż na górze kalwaryi, doświadcza w przytomności biskupa Jerozolimy przyłożeniem go do schorzałéj osoby, ażaliż istotnie jest szukanym Krzyżem Chrystusa. W piérwszym z tych obrazów Smuglewicza, widok potomka krwi królów, który na łonie wielkości oddaje się pobożności, silnie mówi do umysłu. Koń wiérzchowy stojący na boku i psy otaczające młodego myśliwego, tudzież strój jego węgierski, nadają rozmaitość i ożywiają tło obrazu. W drugim obrazie, religijna powaga biskupa, szanowna jego sędziwość, łagodność i ufność w wierze obok pobożności Heleny żyjącéj na dworze zepsutym Dioklecjana, wśród prześladowań chrześcijaństwa, są głównémi rysami, które upiękniają to malowidło. Żałować potrzeba, że te dwa najpiękniéjsze obrazy, najwięcéj zostały uszkodzone przez wilgoć. Koloryt ich znacznie już zepsuty niknie coraz bardziéj, a tak ta praca, co wieki przeżyć miała, co mogłaby być najlepszym pomnikiem sławy naszego malarza, zniknie wkrótce, i śladu nawet nie zostawując po sobie. W bocznéj kaplicy znajdują się w złotéj oprawie ząstki drzewa Krzyża świętego złożone od Emeryka, które Césarz wschodni posłał był ojcu jego za wielki upominek, a które on, jak Kromer pisze, za najprzedniéjszą ozdobę nosił na sobie.

Za czasów Bartłomieja Paprockiego, owego zasłużonego heraldyka, były tu nagrobki Oleśni-

ckich s XV. wieku. Lecz teraz nadaremnie ich poszukiwać, i śladu nawet nie zostało: zniszczyły je napady nieprzyjaciół, od których i ta świątynia Boża, wolną nie była. Za Bolesława Wstydliwego w roku 1260, kościół ten uważany jako skład bogactw, i przytułek ludzi w czasie trwogi i niebespieczeństwa, od Tatarów złupiony był i zburzony. (5) Niczego tam horda napastnicza nie szanowała: ani płci, ani zgrzybiałéj starości, ani wieku niemowlęcego; wszystko krwią zbroczono, wszystko napełniono morderstwem, którego ciosy niekiedy wstrzymywała wyuzdana rospusta. Daremnie nieszczęśliwi u stopni ołtarzy szukali schronienia, i tam śmierć okropną znajdywali. Kapłani razem ze wszystkimi, co w téj świątyni obiecywali sobie przytułek i ochronę, padli pod krwawém żelazem łupieżców a kościół sam został zburzony. Podobnyż los spotkał go w roku 1370 za Ludwika, od Litwinów pod wodzą Kiejstuta i Olgierda książąt litewskich, którzy pustosząc ziemię Sendomirską, odarli ten kościół z bogatych sprzętów i skarbów. Długosz pisze: że gdy ładowne zdobyczą wozy stanęły nad granicą, jeden z nich zastanowiwszy się nagle żadnym sposobem ruszyć się nie dał, lubo doń mnóstwo koni i wołów zaprzężono. Zadziwieni poganie takowém zdarzeniem, nie mogli wiedzieć przyczyny; aliéjeden s popów ostrzegł księży, iż się na téj kolasie mu-

(5) Kronika Marcina Bielskiego.

siał znajdować *Krzyż lacki* (drzewo krzyża świętego), który s kościoła łysogórskiego zabrano. Przetrząśniony wóz, ukazał prawdę téj powieści i dał świadectwo cudowi. Przywołany natychmiast jeden z brańców polskich nazwiskiem Chobal, otrzymał wolność z rozkazem, aby to święte drzewo odniósł z uszanowaniem na dawne miejsce. Co gdy uczyniono, ruszył się powóz i poszedł daléj. (6) Nie minęło lat kilkanaście, gdy znowu napadł oddział Litwinów pod dowództwem Dowojny. Zdobyli bogate łupy, bo każdy w czasie takich napadów chronił się do świątyni z majątkiem, w nadziei że święte miejsce będzie szanowane. Zabrał tam Dowojna w niewolą znaczną ilość więźniów, między którymi była piękna i bogata Polka, herbu Habdank, co Bogu poślubiła czystość. Pomiędzy łupami zawiezionémi do Wilna miała się znajdować sztuka drzewa Krzyża świętego. Ktokolwiek dotknął się tego składu padał martwy na ziemię. Przerażony Jagiełło, nie wiedział co czynić? Pobożna branka radziła z winną czcią odwieść go na miejsce. Wysłany z nim Dowojna korzystał s téj sposobności prosząc o rękę córki, otrzymał ją i chrzest przyjąwszy wrócił z żoną do Litwy. (7) Spokojny był kościół

---

(6) Ad: Naruszewicz, Historya narodu Polskiego T. VII.

(7) Przytaczam dosłowny wypis tego zdarzenia ze Stryjkowskiego (Edy: Warsz: Bohomolca 1766. str: 435.) » Rospuścił roku 1384. Jagiełło daléj po różnych krainach polskich zagony aż do Wiślicy; od Krakowa mil 9 wojo-

Święto-Krzyzki, gdy Jagiełło poślubiwszy Jadwigę połączył te dwa narody razem. Odtąd pod panowaniem Jagiellonów używał pokoju. Lecz poźniéjsze klęski krajowe zarówno dzielił i dla tego żadnego zabytku starożytności nie zachował, prócz miejsca i wspomnień.

---

wali, i klasztor Świętego-Krzyża, gdzie się téż ludzi niemało było zawarło, na Łysej górze wybrali; tamże téż sztukę drzewa Krzyża świętego w złoto kosztownie oprawioną jeden pan litewski Dowojno nazwany wziął i schował go między inszémi łupami na wóz do tłómoka. Wrócił się tedy Jagiełło bez najmniéjszego odporu, z wielkością więźniów i łupów do Wilna; gdzie był od wszystkiego pospólstwa z wielką radością i s klaskaniem ręku, *Łado* śpiewaniem jako zwycięzca przyjęty. W tenczas w Wilnie w wielkiéj ciżbie ludu, który się kolwiek poganin dotknął woza albo tłómoka onego Dowojny, gdzie drzewo Krzyża Świętego leżało, każdy nagle umarł; a gdy ich tak wiele pomarło, Jagiełło dziwując się coby to było, pytał się przyczyny. Tam jedna wielkiego domu panna pojmana s Polski, herbu Habdank którą był także Dowojno wziął i chował uczciwie powiedziała, iż Anioł Boży mówił do niéj przez sen, że Pan B ó g przepuścił na pogany śmierć nagłą, dla nieuczciwości i zgwałcenia Krzyża świętego. Co Jagiełło usłyszawszy, tę pannę w wielkiéj uczciwości i z darami do Polski odesłał, dawszy jéj drzewo Krzyża świętego, aby go na toż miejsce odniosła. A ona pamiętając na stateczność Dowojny, prosiła go, aby z nią do ojca jéj jechał, ponieważ była jedynaczka: i jechawszy z nią Dowojna, ochrzcił się, a onę sobie wziął za małżonkę i tamże dano mu wtenczas herb *Habdaniecz*, a dołączywszy do niego krzyż na znak odniesienia drzewa Krzyża świętego, nazwany ten herb *Dubno* którego dziś jest wiele familij

Klasztor ten w pośród skał i lasów przez Bolesława Chrobrego między rokiem 1008 i 1009, został założony. (8) Inni mniemają i nawet podania niosą: że Mieczysław I. wystawił ten kościół z modrzewiu na szczycie góry, która teraz *Świętokrzyzką*, a w słowiańskich wiekach *Łysą górą* nazywaną była powszechnie. Przeor tutejszego zakonu, pokazywał mi mały cmentarzyk otoczony parkanem w pobliżu klasztoru, i utrzymywał. że to jest właściwie miejsce, gdzie w słowiańszczyznie wznosiła się świątynia bóstwa Lelum Polelum, i gdzie po przyjęciu wiary chrześcijańskiéj, na zwaliskach pogańskiéj bóżnicy, Mieczysław fundował drewniany kościół, i osadził Benedyktynów; dodając, że jeszcze szczątki modrzewiu, s którego był wystawiony, opiérając się przeszło dziesięciu wiekom, dotąd się znajdują jeszcze. (9) Lubo o oznaczeniu s pewnością miejsca, gdzie się świątynia bożyszczu Lelum Polelum wznosiła, wątpić można, wiémy jednakże, iż stała na wiérz-

w Polsce i na Rusi.» Jestto ten sam Dowojna, który tak znakomitą gra rolę, w pięknym romansie historycznym F. Bernatowicza p. t. «Pojata córka Lezdejki, albo Litwini w XIV. wieku» w Warszawie 1826.

(8) Tygodnik Wileński. T. I.

(9) W roku 1827 w czasie Jubileuszu w mieście Słupi, proboszcz J. X. Molentowski rozdawał krzyże, ze starożytnego (jak podanie niesie) drzewa modrzewiu, s którego piérwszy kościół przez Mieczysława na Łyséj górze przy sprowadzeniu Benedyktynów do Polski był stawiany.

chołku Łyséj góry, którą gmin miejscem schadzek czarownic na uczty i biesiady uważał. Co zaś do samego bóstwa, o tém, jak i o wszystkich prawie starożytnościach słowiańskich, zbyt szczupłe mamy wiadomości. Imie jego dotąd jest znane w przysłowiu «*robić Lelum Polelum*, jest to robić co niedbale, opieszale, od niechcenia i z marudztwem. Nasi historycy: Stryjkowski (10), Gwagnin (11), Kromer (12), mięszając jak zwyczajnie bóstwa słowiańskie z rzymskiémi, z Lelum Polelum robiąc aż dwa bóstwa podają, że ich tak czcili Polacy jak Rzymianie Kastora i Polluxa. Naruszewicz (13) przytaczając relacyą Gwagnina: «że za »jego czasów Polacy w czasie biesiad, tanów i »wesołéj myśli, mieli we zwyczaju wołać Lelum »Polelum!» wnosi stąd, iż to musiało być bóstwo przyjaźni, lub jakiéj podobnéj cnoty, któremu na ofiary tańce i ochoty starzy Polacy sprawować musieli: a przytaczając dalszy wypis s tegoż Gwagnina: «Iż było we zwyczaju że się zbiérali «mężczyzni i kobiéty we dni swoim bogom po-

---

(10) Edy: Wars: 1766. str: 136.

(11) Kronika Sarmacyi europejskiéj 1768. w Warszawie str: 30.

(12) Kronika Kromera, przekład Marcina Błażowskiego w Krakowie roku 1611 str. 42.

(13) Historya narodu Polskiego T. I. część 2ga str. 382. w War: 1824.

» święcone do tańców i ochoty, które przypadały » na dniu 25 Maja i 25 Czérwca, i nazywało się to » do obchodzenia uroczystości *Stado*» gruntowny wniosek wyprowadza, iż jeśli w poźniéjszych czasach w porze ochoty Lelum Polelum wspominano, musiano więc tego bóstwa święto s tańcami odprawiać, a może i dla dopełnienia najmilszych bóstwu ofiar wedle mniemania pogaństwa, tańczono. Wpatrując się w zwyczaje i obyczaje ludu naszego, który tyle rysów i pomników słowiańszczyzny zachował; znajdziemy ślady na poparcie zdania pracowitego Naruszewicza. Stryjkowski w kronice swojéj na str: 136 taką daje wiadomość o tych bóstwach słowiańskich. « Kastora i Polluxa, rzymskich bożków chwalili, których Lelum Polelum nazywali, co jeszcze i do dzisiejszych czasów u Mazurów i Polaków na biesiadach, gdy sobie podleją, jawnie słyszymy, gdy Lelum Polelum wykrzykują. Chwalili i ich matkę Ladę: a zwykli byli mężowie i niewiasty, starzy i młodzi na święta tych bogów swoich w jedno się schodzić miejsce do tańców i krotofil inszych, którą schadzkę *Kupałą* zwali, zwłaszcza 25 Maja, i 25 Czérwca, co jeszcze dotych czasów w Rusi i w Litwie zachowują. (14) Bo skoro po niedzieli przewodnéj aż do świętego Jana Chrzciciela, niewiasty i pan-

(14) Tu myli się Stryjkowski i niepotrzebnie mięsza uroczystość słowiańską Kupały, czyli sobótki, ze świętem Lelum Polelum obchodzoném.

ny do tańców gromadą się schodzą, tam ujàwszy się za ręce «Lado, Lado, i Lado moja! powtarzają. Śpiéwając to na pamiątkę Lady, acz prości ludzie nie wiedzą skąd ten obyczaj urósł, chociaż z starodawnych zabobonów pogańskich poszło! « A. Gwagnin na str. 30. Sarmacyi europejskiéj mówi: «Począwszy od niedzieli przewodnéj aże » do świętego Jana Chrzciciela, niewiasty i dzié» wki w dni święte do tańca kupami się schodząc » i śpiéwając swoje stare pieśni (15) Ladona często » wspominając, rękoma klaskając i powtarzając » *Lado! Lado!* szérokie koło okrągłego tańca, » wszystkie się za ręce pojąwszy pośród rynku » wywodzą. Zowie ten taniec Ruś i Litwa koro» hodem!» Marcin Błażowski w tłómaczeniu Kromera w tych słowach pisze o Ladonie: (16) Ruś i Litwa, sielanie zwłaszcza zwyczaj taki chowają

---

(15) Czego nie pomału żałować potrzeba, że w Czechach za Karola IV. a w Polsce w wieku Zygmuntów przychylnym dla nauk i mowy krajowéj, w wieku nietak pogorszonéj zagrody wieśniaka, nie pomyślano o zbiorze całkowitym pieśni gminnych. Do podziwienia że Jan Kochanowski wiele pięknéj prostoty s pod strzechy wiejskiéj przenosząc do swoich poezyj nie wpadł na myśl podobną. Onaby u Zygmunta Augusta otrzymała hojne wsparcie i stałaby się godnym tamtego wieku upominkiem. Zachowanoby tym sposobem drogie zabytki słowiańszczyzny, a nam oszczędziłoby się i czasu i pracy tym trudniéjszéj, im jest odległéjszą od wieków przedchrześcijańskich.

(16) Edycya Krakowska roku 1611 str. 42.

iż tańce swoje wiodąc rękami kleszczą i *Lado* powtarzają. Dostatecznie o Ladonie krótkości folgując jako mniemam nie pisze Kromer, przeto czegom spism i obyczajów Ruskich w téj ziemi urodziwszy się dosięgnął dostateczniéj podaję. Ladona narody Ruskie miały niekiedy za boga takiego, któremu rządy w powodzeniach i sprawach pocieszznych przypisując, panem go wszelakiego szczęścia czynili: zaczym na chrzcinach dziatek swych, grach, biesiadach, weselach, i wszystkich inszych uciechach, używali go. Wszystka tedy Ruś, pamiątkę pogaństwa, i po dziś dzień zachowując, zwlaszcza w pieśniach swadziebnych, na weselach Ladona pomiénionego wyrażają, gdy lub to dłoniami w stół, lub też rękę o rękę bijąc na każdym wiérszu pieśni Ladodona opiéwają! (17) «Przy obchodzie Sobótkowéj uroczystości, czyli święta *Kupuły*, dawniéj było

(17) Uczony J. S. Bandtkie (dzieje Królestwa Polskiego T. I. str. 146. Edyc. Wrocł: 1820.) pisze: «Około Zielonych świątek bywał obrządek Stado zwany, gdzie lud w rozmaitych igrzyskach i tańcach okazywał radość swoję. Śpiéw ruski używany, albo raczéj wykrzyknik *Łado! Łado!* odnosi Kromer do starożytnych bałwochwalstwa czasów a tak może «dana, dana, dana, do tego należy.» Nie wimy na jakich dowodach, opiéra swój wniosek S. B. Bandtkie odnosząc wykrzykniki znane w piosnkach gminnych. «Dana moja dana!» do wieków słowiańszczyzny. Nié mając żadnéj w téj mierze pewności, uważać to należy, jako żadnego związku z odległą starożytnością niémające.

zwyczajem klaszcząc w ręce i skacząc przez ogień wykrzykiwać na znak radości: *Łado Łado!* J. B. Rakowiecki o tym bożku, w szacownném i ważném swojém dziele dla słowiańszczyzny pisze: (18) «S pomiędzy świąt wielu, znakomitszém » było święto Łady, boga miłości, zgody i związ» ku małżeńskiego! Oprócz przynoszonéj temu » Bogu ofiary, wstępując w związki małżeńskie, » do poźnego czasu obchodzono jego święto od » dnia 25 Maja do 25 Czérwca. Ojcowie i mężo» wie po gościńcach, a żony, córki, i młodzież na » ulicach i po gajach, pobrawszy się za ręce pląsa» li, i śpiéwali «*Łado Łado Dydys Łado!* to jest » *wielkie Łado.*» Tenże sam zwyczaj wedle P. Karamzina dotąd jest w Rossyi zachowywany przez wieśniaków. Młodzież i kobiéty zgromadzają się na wiosnę i śpiéwają chórami: «*Łada Dydy Łada!* nazwisko Łady, dotąd jest wspominane w Mołdawii i Wołoszczyznie przy niektórych obrzędach zwyczajem pogańskim czynionych! Jakiż s tych rozmaitych podań wniosek uczynić możemy? — Jakie poparcie mniemania Naruszewicza znajdziemy? I czyli ten pracowity badacz nie omylił się pisząc o Lelum Polelum, iż to «musiało być » bóstwo przyjaźni, lub jakiéj podobnéj cnoty, » któremu na ofiary, tańce i uciechy starzy Polacy » sprawowali?» Wspiéra go w tym wniosku Łomonosów w historyi ruskiéj, iż Lel jest to samo

(18) Prawda Ruska T. I. 1820 w Warsz:

co Kupidyn bożek miłości, i że od starożytnych Rusinów cześć w obrzędach weselnych odbiérał: a dalej w części II. rozdziale I. pisze iż Łado toż samo znaczyło co Venus u dawnych Rzymian. Łada zatém jak i Stryjkowski w powyżéj przytoczonym wyjątku pisze, była matką Lela Polela.

W téj niepewności, w tym odmęcie często sprzécznych z sobą podań, szukajmy wyraźniéjszéj prawdy w zwyczajach naszych wieśniaków.

W województwie Lubelskiém, kiedy panna młoda wybiéra się do kościoła, gdy się żegna rzewliwie płacząc z rodzicami, i krewnémi swojémi: (19) najstarsy drużba, czyli marszałek weselny oddając druchnie pierścionki, którémi zaręczyć się mają oblubieńcy, zaczyna śpiéwać pieśń następną wraz z młodémi dziéwczętami:

Pośród sioła
Kuźnia stała,
A w téj kuźni
Dwa kowalczyki:
Łado! Łado!

Biją młoty
W pierścień złoty,
Z Młodym Jasieńkiem
Ku ślubowi:
Łado! Łado! (20)

---

(19) Chociażby rodzina panny młodéj najliczniéjszą była, każdego przepraszać i żegnać musi, padając do nóg.

(20) Że ta pieśń z wieków słowiańszczyzny może pochodzić, mamy najlepsze dowody w pamiętnikach owych

W témże województwie w roku 1826 słyszałem piosnkę, w któréj śpiéwająca wieśniaczka kilka razy *Łado Łado* powtarzała.

Piosnka ta była nastepna:

Zakukała kukaweczka na wieży,
Zapłakała Maryleczka na dzieży. (21)
Łado! Łado!
Zakukała kukaweczka na drzewinie,
Rozśmiała się Maryleczka przy chłopczynie.
Łado! Łado!
Zakukała kukaweczka w lesie,
Jasio wianek Maryleczce niesie.
Łado! Łado!

Zapytałem co znaczy to imie Łado! na co mi odpowiedziała, że sama tego nie rozumié, ale jak się nauczyła od matki tak téż śpiéwa, i że w wielu piosnkach wesołych, a szczególniéj przy obrzędach ślubnych nuconych często, Łado! Łado! znajduje się. Pieśni te są dostatecznym dowodem że Łada, czyli Lada, musiała być wielbiona u nas

czasów, gdzie dosyć często natrafia się na wyrazy: «*Rola*, *pług*, *socha*, *kosa*, *kowal*, *stolar*, *tiesla*, *tkę*, *dłuto*, a nawet *pisar* i *malar*. (O słowiańszczyznie przed chrześcijaństwem: J. Z. Chodakowski. Ćwiczenia naukowe. T II. roku 1818.)

(21) Jest to urywek s pieśni weselnéj: wspomniany tu wiérsz: «Zapłakała Maryleczka na dzieży, jest tego dowodem; albowiém pospolicie gdy mają warkocze rosplatać pannie młodéj, sadzają ją na dzieży i tam druchny śpiéwając pieśni, rosplatają warkocz dziewicy.

jako Bogini miłości i związku małżeńskiego; a chociaż lud nie wié prawdziwego znaczenia tych wykrzykników, czyli raczéj wezwania w obrzędach weselnych bóstwa Łady, trzymając się starożytnych obyczajów ojców swoich, zachował jéj imie, a ze zmianą religii odmiénił także w wielu względach i dawne obchody ślubne. Nie dziwujmy się iż w przytoczonych powyżéj relacyach dziejopisów, raz to bóstwo widzimy w rodzaju męzkim, drugi raz w żeńskim; obrządki bowiém religijne były rozmajte u Słowian podług rozmajtych pokoleń; tak, jedne paliły ciała umarłych, drugie grzebały; jedne czciły bóstwa jako boginie, drugie jako bożków. Wreście kiedy się przypatrzymy, jak wszystko, co tylko tchnęło słowiańszczyzną przed chrześcijańską wytępiano i niszczono z naganną troskliwością, łatwo pojmiémy dla czego i nasi dziejopisowie żyjący przed kilką jeszcze wiekami, tak mało nam wiadomości podają pewnych i tak obojętnie i nawiasowo. Uważano to w ówczas za niegodne wspomnienia, i nie chciano kalać dzieł swoich odgrzebywaniem pamiątek i starożytności pogańskich. Stąd téż od bogini Łady, Lady, pochodzący wyraz *ładny*, *ładna ładność* (22), nie dla innéj przyczyny wyszedł z używania, jedno że do tego stósował się bóstwa,

---

(22) M. Stryjkowski w opisaniu Bogów Litewskich: » Od nazwiska *Łado*, pochodzi ładny, ładna, ładność, to » jest piękny, piękność, zgodność, harmonija. »

i zastąpiono go w dawnéj polszczyznie wyrazami *gładki*, *gładka*, *gładkość*. Piérwszy Wacław Potocki w herbarzu 1696 ośmielił się powiedzieć że herb *Łada* jest zabytkiem bożyszcza Łady; przecież Niesiecki często go przywodząc względem tego zdania milczy, i podsuwa natomiast swój wywód historyczny, od wsi w województwie Lubelskiém, a Knapski w słowniku swoim tego wyrazu *ładna*, *ładność* nawet nie pomieścił. (23)

W województwie Podlaskiém, w powiatach zamiészkałych przez wieśniaków, Greko-Unic-

(23) Pomimo badań autora, wiele jest jeszcze wątpliwości co do wyrazu *Łado*, *Lada* azaliż było to tylko bóstwem miłości? — Zastanawiając się etymologicznie nad niektóremi wyrazami naszego języka, zapytałbym czyli wyraz *ład*, od którego idzie *bezładny*, *lada jako* etc. niejest pochodnym od *Łado*, *Lada*. Dalej uważając, jak rozmaite są zdania pisarzów w określeniu prawdziwego znaczenia tego wyrazu — czy nié możnaby mniemać raczéj że to bóstwo *Łado*, było bóstwem porządku rzeczy? Wyraz bowiém *ład*, wyraźnie w naszéj mowie znaczy pewny tryb działania, pewną okoliczność bytu — A zatém czy przez *Łado* rozumieć będziemy *miłość*, czy *przyjaźń* lub jaką *cnotę*, jak chce Naruszewicz — czy nawet jaki *nieporządek* (*ladaco-jak*, *ladaco* czyli nic niewart) — zawsze to da się podciągnąć pod ogólniéjsze znaczenie *bytności rzeczy* lub *działania* jakiego. Słowem Łado, Lada, zdaniem moém odpowiada starożytnym bóstwom domowym, jakiémi były, *Comus* bóg dobréj myśli, *Momus* bóg radości, i inne bóstwa domowe, którym piecza dobrego bytu, lub nieporządku i niedoli ludzkiéj były powierzone.

kiego wyznania Rusinów, w jednéj z licznych pieśni weselnych jest wspomnienie bóstwa Polela. Gdy panna młoda wybiérając się do ślubu już siedzi na wozie otoczona swatkami; a pan młody z Bojarami czyli Drużbami dosiadają koni: swatki smutnym i żałobnym głosem zaczynają śpiéwać pieśń następną: —

Ej rozlejsia (24) Polelu
Po boru, po koreniu,
Oj rozpłaczsia Hanulu
Pred rodnym Bateńkiem.
Oj muj Bateńku rodnyj
Percjdy meni stežońku,
Bo już ja se beru w dorożeńku:
W Cerkwi nam ruczki zwiażut
I wiernuju słowie każut.

A Bateńko jéj każet: z Bohom dietia z Bohom,
I z Bożom dozwoleniom, i z moim rozkazaniom!

Nie dziwujmy się iż w téj pieśni, znajdujemy przeklęctwo na Polela: jest to dowodem, iż istotnie z dawnych wieków pochodzi. Ze zmianą religii i pieśni téż s przeciągiem czasu zmiéniono. Podobnież i to przeklęctwo jest dodatkiem i zmianą wyrazów poźniéjszą: a gdy za słowiańszczyzny przed chrześcijańskiéj wzywano pomocy Polela, potém umieszczono przeklęctwo nie oddalając go wszakże s pieśni weselnéj.

---

(24) *Rozlěj się!* przeklęctwo powszechnie używane, toż samo znaczące co: *żebyś zmarniał, zniszczał.*

Zdaje się to być dowodném świadectwem, iż Polelum było również jak Łada, bóstwem miłości, i zdaje się utwiérdzać wniosek Łomonosowa, który pisze iż Lel (25), (Lelum Polelum), jest toż samo co Kupidyn, bożek miłości, i że od starożytnych Rusinów cześć w obrzędach weselnych odbiérał. Stąd widzimy iż mało zbłądził Naruszewicz, podając Lelum Polelum za bóstwo przyjaźni lub jakiéj podobnéj cnoty, któremu starzy Polacy tańce i uciechy sprawowali. Gdyby jednakże przy takiéj pomocy, jaką miał od uczonego króla Stanisława Augusta, chciał badać i zgłębiać zwyczaje ludu dawnéj Polski, więcéjby zapewne znalazł wiadomości i dowodów o słowiańszczyznie, aniżeli ich potomności, uwielbiającéj go jak naczelnika historyków naszych w licznych dziełach zostawił. Owóż temuto bóstwu Lelum Polelum na szczycie Łyséj góry wznosiła się świątnica, gdzie Słowianie cześć mu i ofiary składali (26), a po jéj zburzeniu, postawiono kościół chrześci-

(25) Uczony badacz dziejów ojczystych Ł. Gołembiowski w opisie województwa Krakowskiego (Kalendarzyk polityczny 1827.) mówi, iż Lelów miasto powiatowe, starożytne, od bożka Lelum Polelum ma swoje nazwisko. Franciszek Karpiński w opisie podróży do Krakowa i jego okolic, w roku 1788 toż samo pisze, i nadto czyni jeszcze wniosek godzien uwagi; «że może w tém miejscu oprócz » Łyséj góry sławnemu temu bożyszczu ofiary składano.»

(26) «Niektórzy utrzymują (pisze T. Swięcki w opisie starożytnéj Polski T. I. str. 198. r. 1816), iż ślady téj

jański, teraz głośnémi dzwony na modlitwy wzywający lud pobożny. Z wyniosłéj wieży kościoła Święto-Krzyzkiego, przez szkła powiększające, widać szczyty kościołów krakowskich o 15 mil odległych.

Schodząc na powrót do miasteczka Słupi, od strony kościoła, jest w części droga murowana obszérna, z zwalisk i rumowisk okrywających tę górę, lecz ta nie daleko się ciągnie i od lat kilkudziesiąt nie powiększa się wcale. Tak więc pozostały drożyny kamiéniste, niewygodne, które wędrowiec przebywać musi, chcąc dostać się na szczyt Łysé̇j góry, gdzie stoi, klasztor XX. Benedyktynów.

Bawiąc przez dni kilka w miasteczku Słupi, przyglądałem się nieraz z zachwyceniem wspaniałemu widokowi gór i klasztoru przy bladém świetle księżyca. I nie dziw że wyobraźnia gminu, ogłosiła za plac schadzek czarodziejskich istot, te góry i lasy ponure, które cudowne widoki przedstawiają naszym oczom. — Na szczycie wyniosłéj góry, co od stóp samych do wiérzchołka zakryta jest ogromnémi bukami i jodłami, wznosi się wspaniała samotna świątynia. Chmury przechodzące i ociérające się o mury kościoła, i wzno-

świątnicy dotąd spostrzegać się dają. » Nié mamy jednakże dotąd pewnych świadectw, ani przekonania, ażebyśmy ten wniosek potwierdzić mogli i chętnie z autorem dzieła tak powszechnie szacowanego, jako wątpliwość przytaczamy.

szące się tu i owdzie gór i drzew wiérzchołki, prawdziwie czarodziejskie wystawiają obrazy. Zdaje się, poglądając wtedy, że chmury to jak olbrzymy zagarniają w objęcia swoje tysiące drzew wzniosłych, to jakby potwory straszliwe, kołysane wiatrem, chwieją się na szczycie strasznéj góry, to znowu nakształt dziewicy w lekką osłonionéj szatę spływają z napowietrznych szlaków i kryją się w ponurych cieniach lasu. Tu jak zbrojny rycérz w hełmie i s tarczą, podobny do nocnego widma w Ossianie, przesuwa się zwolna, staje, i jak mgła niknie. Do tego szum liści drzew, szmér rozlicznych strumieni spadających na dolinę z szelestem podobnym do cichego westchnienia błędnych cieni, odgłos przerywany puszczyka towarzysza nocy, powiększają to zadziwiające złudzenie i przywodzą na pamięć piękną poezyę Masithsona, którą tu zastósować można.

Mrok posępny, mrok ponury,
Szczyt olbrzymiéj zaćmił góry;
Między smutnie brzmiącą trzciną,
Szeleszczące zdroje płyną.
Pastérskiego blask ogniska,
S po za ciemnych lasów błyska,
Bladą światłość lejąc z siebie,
Jako lampa przy pogrzebie.
Już się nocny ptak nieśmiały,
Drżącym lotem wzbił nad skały
I na szczycie drzew zieloném
Noc płaczliwym budzi tonem.

W długie wiążąc się łańcuchy,
We mgle ciche tańczą duchy,
Przy świetlika mdłych połyskach,
Po mogiłach, po zwaliskach.

Przekład A. E. Odyńca.

Bard szkocki widziałby tu swoich przodków i poległych braci, co po śmierci zstępując s kraju innego świata, ukazują się potomkom. Śpiéwak Skandynawii witałby podobnież zmarłych, co w zawodniczych postaciach schodzą s pałacu Odina. — Nasz lud różniący się wyobraźnią, mając inne podania, inne utworzył stąd istoty. Zamiast dziewiczéj piękności, co we śnie ukazuje się kochankowi, zamiast poległego przyjaciela, co ostrzéga żyjących o grożącém niebespieczeństwie; widzi brzydkie czarowanice, co na łopatach i miotłach unosząc się w powietrzu, z szybkością błyskawicy we *Czwartek po nowiu księżyca*, zlatują się na uczty i biesiady swoje.

W pośród tych gór i lasów, łotry i rozbójnicy od dawna mieli swoje kryjówki. Jakoż te miejsca są bardzo dogodne dla podobnego rodzaju ludzi. Niedostępne skały, w ciemnych tajnikach puszczy ukryte liczne bezdroża, przepaści, głębokie jamy ręką przyrodzenia utworzone, rozliczne potoki i strumienie utrudzające przejście, gęstość borów: wszystko to sprzyja łatwéj ucieczce łotrom, ukryciu bespiecznemu przed okiem szukającém, a nawet w razie potrzeby sposobne jest do dzielnego

odporu. Dziś już wędrowiec z większą spokojnością przebywać może te drogi przez góry i lasy obszérne prowadzące, które dawniéj zbrojno tylko z natężonym słuchem i wzrokiem strzegąc się napaści przebiégał. Stąd znane nam dawne przysłowie w języku naszym: *święto-krzyzki zbójca*, którém oznaczano zwykle oblicze odrażające i dzikie, przekonywa że dawniéj łotry zamiészkiwali pospolicie góry święto-krzyzkie. Żałować należy iż prawie żadnych podań o nich nié mamy; byłyby one dzisiaj dla nas nader zajmującémi, a może nawet i osnową ciekawych narodowych powieści. W tychto lasach przebywała sławna Rusinowska, co dowodząc liczną bandą rabusiów za Zygmunta I. schwytana, i jak Bielski pisze: «w skór» niach, z ostrogami, z mieczem, w ubiorze męz» kim, jak ją pojmano, obwieszona w Krako» wie.» Na marginesie piérwszéj edycyi kroniki tegoż Marcina Bielskiego, którą widziałem u jednego z obywateli, zamiészkałego w pobliskości Święto-krzyzkiéj góry, wyczytałem pomiędzy innémi przypisami, następną relacyą o téj amazonce polskiéj, którą w treści tu przytaczam.—

» Słyszałem (mówi przypisnik wspomniony) iż
» Rusinowska dała się dobrze we znaki okoli-
» cznym miészkańcom. Napadała na wsi i rabo-
» wała; pokosiła się była i do Słupi, ale ją mie-
» szczanie ostrzeżeni wcześnie odpędzili, i w lasy
» aż pod Święty-Krzyż zagnali. Nie obeszło się

» wszelako bez szkody, bo kilku z mieszczan zabi-
» to. Schwytano kilku z jéj bandy łotrów i związa-
» nych pilnowano; ale że tacy z dziabłami dobrze
» się znają, za ich pewnie pomocą łotry wydobyli
» się szczęśliwie, pilnujących jak baranów zwią-
» zali, i cichaczem uciekli. Poznali jednego z nich
» na odpuście w kościele Święto-Krzyzkim, ale
» tak się łatwo wymknął, jak piskosz z ręku. Mó-
» wiono że i sama Rusinowska przebrana jak zwy-
» czajnie po męzku, serdecznie się modliła, snadź
» za zbrodnie prosiła Pana Boga o przebaczenie;
» ale musiano ją ostrzédz, bo znikła s kościoła.
» Wkrótce przecie złapali ją, a na wozie zasłana
» do Krakowa, jak zasłużyła powieszona została.
» Na co wszyscy patrzyli i żałowali ją niektórzy;
» bo byłato białogłowa i młoda i gładka, a rozbi-
» jała jak drugi Szafraniec.» (27)

---

(27) Dla objaśnienia tego miejsca przytaczamy tu wypis ze Stryjkowskiego: «Tego też czasu, roku 1483 bez króla (Kazimiérza Jagiellończyka) swawoleństwa się było namnożyło, i pospolicie szlachta łupieztwem i rozbójstwem żyła, s których Chrystof Szafraniec zacnego rodu i wielkiémi majętnościami obdarzony, zebrawszy łotrowstwa bardzo wiele s Piaskowéj Skały, zamku swojego, na dobrowolnych gościńcach rozbijał i kupców krakowskich nie mało bogatych i zacnych na Jarmarek jadących pobił i połupił we Zborówku u Wiślice, dla czego był wywołany; a gdy wywołania nic dbał, obskoczony był w Sarczowie, miasteczku Siéradzkiéj ziemi i pojmany; a w Krakowie z rozkania królewskiego ścięty, zaczym się spokojniéjsze gościńce stały» (Stryjkowski str: 639.)

W ustach ludu tych okolic jest przysłowie, gdy kto komu dokucza: że tak daje się we znaki jak *Zokuta Zarzycki.* Miał to być rozbójnik w górach i lasach święto-krzyzkich siedzący, jak podanie niesie, i który przez napady i rabunki uwiecznił imie swoje w przysłowiu.

K. W. Wojcicki.

TRZY PRAGNIENIA.

Ciężko w skwarnéj dnia godzinie
 Bez czystego zdroju;
Cięższéj jeszcze przez pustynie
 Bez kropli napoju,
Bez sił, cienia i ochłody,
Z salamandrą biédz w zawody!
Ja szczęśliwym jednak mienię,
Kto zna tylko to pragnienie:
 Pragnienie do wody.

Bo jest cięższe na téj ziemi,
 Co mocniéj dogrzewa;
Takie piękność oczy swémi
 W młode serca wléwa;
Choć się w luby wdzięk osłania,
W szakże ciérpień nieochrania;
Tego wodą niezaleje,
Tylko s czasem wygoreje:
 Pragnienie — kochania.

Ale kto raz pokosztuje
    Lśniącą dumy czarę;
Kto raz w sercu swém poczuje
    Jéj duszącą parę;
Żegnaj wiecznie spokojności!
Błogie — ciche sny przyszłości!
I ślad szczęścia powypala,
Srogie pragnienie Tantala:
    Pragnienie — wielkości.

J. N. J.

BANKOLO,

CZYLI:

JAŁMUŻNA ARTYSTY.

(PRZEZ AMÉDÉE DE BAST.)

Dnia 15 marca roku 1735 cała ludność miasta Marsylii zgromadziła się w porcie, dla obchodzenia uroczystego i rozrzewniającego obrzędu. Zakonnicy Maturyniści (1) przybyli s chrześcijańskimi jeńcami, których wykupili z niewoli w Algie-

(1) Maturyniści, nazwani także ojcami miłosierdzia' poświęcali się wyłącznie wykupieniu Chrześcijan zostających w niewoli. Zwiédzali oni państwa katolickie, zbiérali jałmużnę i udawali się co roku do władzców krajów barbaryjskich, dla wykupienia od nich kilkuset niewolników.

rze, Tunecie, Marokko i Trypolidzie. Dniem wprzód zawinął był do zatoki okręt, mający na swym pokładzie tych biédnych niewolników i czcigodnych ich wybawicielów, a przybycie jego zapowiedziano wystrzałami z dział dla uradowania publiczności, spodziéwającéj się znaléźć krewnych i przyjaciół pomiędzy tymi nieszczęśliwymi, których żelżywe okowy zdjęła wielkoduszna miłość bliźniego.

Duchowieństwo ze wszystkich parafij marsylskich, poprzedzone liczném bractwem obojéj płci s chorągwiami, miejskie władze, gubernator prowincyi na czele swych urzędników, biskup s całą swą kapitułą i wojsko załogowe udali się do portu, który już ze świtem dnia niezliczone mnóstwo ludu obległo. Statki stojące na kotwicy w zatoce, w znak powszechnéj radości, rozwinęły swoje narodowe chorągwie, a liczna artylerya, dająca co pięć minut ognia ze wszystkich warowni miasta, łączyła grzmot swój z odgłosem wszystkich dzwonów kościelnych.

Nareście wykupieni jeńcy i bracia miłosierdzia wysiedli na brzég. Widać było, iż wielu s tych nieszczęśliwych, niosących na sobie jeszcze znamiona okrucieństwa swych władzców, i nié mają-

---

Zdarzało się nieraz, iż zostawiali w zakład kilku z swojego grona zakonników, bądź dla wydobycia z więzów większéj ilości osób, bądź dla rękojmi sum, których wypłacić nié mogli.

cych wprzódy żadnéj nadziei zobaczenia swojéj ojczyzny, ukląkłszy całowało ziemię francuzką. Drudzy płacząc z radości witali się z swymi krewnymi, których pomiędzy tłumem ludu poznawali: łzy radości i rozrzewnienia płynęły z oczu wszystkich, a śród tego powszechnego uszczęśliwienia czcigodni zakonnicy, sprawcy téj szczytnéj, świątobliwéj radości, postępowali spokojnie i w milczeniu pośród tłumu zgromadzonego ludu, który ich okrywał swojémi błogosławieństwy.

Cały ten orszak udał się do katedry na nabożeństwo dla złożenia Najwyższemu swoich dziękczynnych modłów; poczém każdy jeniec wrócił do swych krewnych, do swych przyjaciół. Jeńców zaś, którzy w stołeczném mieście prowincyi téj nie mieli ani krewnych, ani przyjaciół, przyjęli do siebie miejscy obywatele, którzy pozwoliwszy im odpocząć u siebie przez dni kilka, podali im sposobność udania się do swoich rodzin oddalonych.

Mnóstwo cudzoziemców znajdowało się na tym uroczystym obrzędzie; wszyscy oddawali hołd nieustraszonéj miłości bliźniego i nadludzkiemu poświęceniu się czcigodnych braci miłosierdzia. Po skończonym obrzędzie jeden s cudzoziemców, po którego mowie i ubiorze poznać było można, że jest Wenecyanin, zbliżył się do zakonnika, który zdawał się być najstarszy wie-

kiem. «Powiédz waćpan, czego żądasz?» odezwał się zakonnik. — «Szanowny ojcze, jeżeli się nie mylę, liczba jeńców, którycheście przywieźli, więcéj niż do dwudziestu dochodzi.» — «Tak jest, mój panie.» — «Iluż ich jeszcze pozostało w okowach afrykańskich?» — «Niestety! mój panie, więcéj niż sześćset!» odrzekł zakonnik z westchnieniem; «jałmużny, któreśmy w latach ostatnich otrzymali, nie były bardzo znaczne; tą razą nié mogliśmy wykupić jak tylko niewolników podeszłych wiekiem; przytém musieliśmy jeszcze zostawić w zakład trzech naszych braci, dla wybawienia trzech nieszczęśliwych jeńców włoskich, którzy przez swój wiek stary i słabość byliby zapewne poginęli w niewoli.» — «Trzech jeńców włoskich!» przerwał cudzoziemiec; «s któréjże części Włoch są ci jeńcy?» — «Zdaje się mi, że z Sycylii.» — «Ich nazwiska?» — «Powiém waćpanu natychmiast,» odrzekł zakonnik, «bo zdaje się mi, iż mam przy sobie spis wszystkich unieszczęśliwionych braci naszych.» — «To rzekłszy ojciec miłosierdzia sięgnął do kieszeni i wyjął długą kartę pargaminową. Poczém przybiegłszy s pośpiechem spis wszystkich jeńców, rzekł: «Oto są nazwiska, o których się waćpan dowiedzieć żądasz. Najpiérwszy jest Paolo Bankolo, mający lat 86, poborca cła i podatku w Palermo, w niewolą wzięty na wyspie Syra roku 1700.» — «O nieba!» zawołał cudzoziemiec,

» nie myląż cię twe oczy, szanowny ojcze? jestże w saméj rzeczy nazwisko Pawła Bankolo napisane na téj karcie?» — «Przeczytaj sam, mój panie,» odrzekł zakonnik. — «Paolo Bankolo! tak, tak, to on sam! Ah! powiédz mi, powiédz mi, ojcze wielebny, gdzie się ten czcigodny starzec znajduje? na miłość Boga zaklinam cię, powiédz, gdzie się znajduje?» — «Paolo Bankolo,» odrzekł zakonnik zdziwiony zmiénioną twarzą cudzoziemca, «znajduje się w téj chwili u hrabiego Langeron gubernator Marsylii. Nieustraszony i szlachetny Langeron nie poprzestaje na okazywaniu odwagi i poświęceniu się, gdy wojna i morowe powietrze niszczą jego ojczyznę, ale i wtedy gdy w niéj pokój i pomyślność panują, jest on opiekunem siérot, nieszczęścia i ubóstwa. Tak, nie inaczéj, powtarzam waćpanu, Bankolo znalazł schronienie w pałacu gubernatora, i zapewne nie wyjdzie stamtąd, aż dopokąd nie wsiędzie na okręt, który do jego ojczyzny go odwiezie.» — » Ah! tysiączne składam ci dzięki, wielebny ojcze, za tę wiadomość,» odrzekł cudzoziemiec, całując z uszanowaniem rękę zakonnika; «ale chciałbym się jeszcze s tobą zobaczyć; powiédz, gdzie cię będę mógł znaléźć?» — «W klasztorze moim, do którego stąd nie bardzo jest daleko. Przyszedłszy tam, zapytasz się o ojca gwardyana.» — «Żegnam cię więc, wielebny ojcze.» To rzekłszy cudzoziemiec udał się s pośpiechem w u-

licę, która prowadziła do gubernatora. Dopiéro po chwili, gdy się oddalił, postrzegł zakonnik, iż dwóch lokai w bogatéj liberyi szło za nim w niejakiém oddaleniu.

Już była zapadła noc spokojna; już dzwon klasztorny zwoływał Maturynistów do chóru dla odbywania powinności wieczornych, gdy odźwierny oznajmił ojcu gwardyanowi, iż dwóch cudzoziemców życzą sobie z nim mówić. Ojciec gwardyan usłyszawszy to, udał się natychmiast do rozmawialni i poznał zaraz, że jeden s tych cudzoziemców był ten sam, s którym mówił tego poranku; drugi zaś był to Paweł Bankolo, siwy starzec, wykupiony z niewoli. Atoli powiérzchowność tego ostatniego okazywała, iż z losem jego wielka zaszła odmiana. Miasto nędznéj odzieży, którą nosił w swojéj niewoli, przywdział na siebie bogatą szatę, jako znamię majętnego człowieka. Uściskał on s czułością szanownego ojca miłosierdzia, wyrażając mu kilkakrotnie swoje najgłębsze podziękowanie. «Pawle Bankolo,» rzekł do niego ojciec gwardyan, «po tylu okropnych klęskach i długoletnych ciérpieniach, obdarzył cię Bóg, jak się zdaje, dostatkiem i przyzwoitém utrzymaniem. Błogosław mu Bankolo, i w świetnym swoim stanie, w którym teraz zostajesz, nie zapominaj, żeśmy w owym kraju zostawili nieszczęśliwych, którzy płacząc utraconéj wolności do rodzinnéj swéj zagrody wzdychają!» —

» O nie, mój ojcze,» odrzeknie cudzoziemiec, «Paweł Bankolo nie zapomni nigdy o towarzyszach, którzy razem z nim dzielili nieszczęście i niewolę, będzie on się starał podług swojéj możności przynieść ulgę cierpieniom ich i skruszyć ich okowy. Oto dzisiaj w obecności twojéj przyjmuje on tę powinność na siebie, a ja, który jestem synem jego, ręczę, że ją święcie wykona.» — «Waćpan jesteś synem Pawła Bankolo?» zapytał zakonnik. — «Tak jest, mój panie, a Najwyższy aż do dzisiejszego dnia nie dozwolił mi był szczęścia cieszyć się moim ojcem, który wydarty był swojéj rodzinie w czasie, gdy jeszcze byłem niemowlęciem w kolébce.» Zakonnik usłyszawszy to, podniósł oczy ku niebu. «W ośm dni po mojém narodzeniu,» rzekł cudzoziemiec daléj, «ojciec mój, będąc jak ci wiadomo poborcą cła i podatków w Palermo, przez kilku spekulantów greckich, którym znaczne wyświadczył przysługi, został wezwanym, aby się udał na wyspę Syra. Wsiadł on na okręt w porcie Katara, i od tego czasu cała rodzina nasza nie wiedziała, w którém miejscu przebywa. Matka moja posłała na wyspę Syra osoby, posiadające jéj zaufanie. Spekulanci greccy zapewniali, że nie tylko nie widzieli mojego ojca, ale nawet, że statek, na którym płynął, nie zawinął nigdy do Syry. Sądziliśmy, że umarł; wyobraź sobie teraz moje zadziwienie i moję radość, gdy dziś rano w obecności mojéj wymieniłeś

jego nazwisko! Imię, wiek, czas, w którym pojmany był w niewolą, wszystko to kazało się mi domyślać, że przeczucie serca mego zawiedzionem nie będzie. Pospieszyłem natychmiast do gubernatora Langeron. Tam ujrzałem nieszczęśliwego jeńca, i wkrótce rzuciłem się ojcu memu w objęcie.» — «Nie zbadane są wyroki Opatrzności!» zawołał zakonnik uroczystym głosem. «Ale dla czegóż Pawle Bankolo nie doniósłeś swojéj rodzinie, że jeszcze żyjesz na tym świecie?» — » Korsarze tunetańscy,» odrzekł starzec, «schwytali nas w oddaleniu na mil kilka, a przybywszy do Tunetu przedali nas dejowi; ten zaś posłał nas daléj niż na sześćdziesiąt mil w głąb swego kraju, gdzieśmy nad założeniem twiérdz pracowali, i tylko memu podeszłemu wiekowi przypisać mogę, żem wrócił do Tunetu, w którymeś mnie, przewielebny mój ojcze, dając w zastaw jednego z młodych swych zakonników, wydobył z niewoli.» — «Czcigodny ojcze,» przerwał z żywością syn Pawła Bankolo, «powiédz jakiéj summy potrzeba na wykupienie tych sześciuset niewolników chrześcijańskich, którzy się jeszcze znajdują w niewoli afrykańskiéj?» — «Mój przyjacielu,» odrzekł ojciec gwardyan, «Mohametanie są bardzo zaciętymi kupcami, przyzwyczajeni do zdziérstwa i trudni do nasycenia. Jednakże sądzę, iż 500,000 liwrów byłoby dostatecznem do wydobycia naszych braci z niewoli.» — «Dobrze

więc, czcigodny ojcze,» odrzekł cudzoziemiec, «ja postaram się, abyś otrzymał rzeczoną kwotę. Spodziéwam się, że się nie ulękniesz nowéj podróży.» — «Trzy części życia mego,» odrzekł zakonnik, «spędziłem w podróży za granicą; pokładając ufność w Bogu i w miłości bliźniego, zwiédziłem różne morza i przeszedłem pustynie afrykańskie; uważ więc, ażalibym się wahał przedsięwziąść nową podróż, mającą za cel wybawienie wszystkich nieszczęśliwych zostających w niewoli?» — «Bądźże więc w następnym roku w Wenecyi, w przedjutrze środy popielcowéj,» rzekł młody Bankolo, «w pałacu Orsyniego na placu Śgo Marka; tam się s tobą zobaczę. Nie zapominaj, że tam oczekiwać cię będę, i że od ścisłego wykonania téj powinności zależéć będzie wybawienie naszych braci w Afryce. A teraz żegnam cię czcigodny ojcze.» Poczém obadwaj Bankolo, uściskawszy serdecznie zacnego zakonnika, oddalili się z rozmawialni. U bramy klasztoru czekał na nich spaniały powóz, do którego wsiadłszy, spieszno gościńcem do Włoch ruszyli.

* * *

W tłusty czwartek następnego roku, teatr *de la Fenice* w Wenecyi przedstawił spaniały i zachwycający widok. W ośm rzędów wzniesione loże, napełnione osobami, które pięknością, bogactwem lub znakomitością odznaczały się w całych Włoszech, spromiénione były rzęsistém

światłem. Dwadzieścia cztéry tysiące świéc woskowych paliło się na tysiąc dwiestu srébrnych, pozłacanych kandelabrach, a s kunsztownem tém słońcem walczyły o piérwszeństwo szlusowane zwierciadła, zawoje skarbunkułami, dyademy s pereł, łańcuchy roziskrzone szmaragdami i ametystami, naszyjniki lśniące się topazem i rubinami i kameje w szczére złoto oprawne. Zdawało się, iż w teatrze *de la Fenice* zgromadzeni byli miészkańce ze wszystkich krajów włoskich; byłto prawdziwy zjazd artystowski. Poznałeś tam matrony rzymskie po regularnych rysach ich twarzy, niewiasty bonońskie po wdzięcznym ich uśmiéchu, Medyolanki po nizkim wzroście, Neapolitanki po ognistym ich wzroku, dziewice z Mantui po białéj twarzy, s Florencyi po czarnych warkoczach i Wenecyanki po smukłéj, gibkiéj ich kibici. Pośród wszystkich tych niewiast z różnych względów słynących, znajdowały się starożytnych i młodych Włoch najznakomitsze osoby; widziałeś tam potomków Grachów, Scypijonów, Sforców, Medyceuszów; następców Michała Anioła, Tycyana, Karawadzijów i Berniniego. Umiejętność, kunszta, szlachectwo, dostojność, władze polityczne i umysłowe, wszystko to zebrane było jakby w ognisku w tym mitologicznym raju, gdzie *roskosz*, ta wielka władczyni świata, siedząc na tronie z safiru pomiędzy dwoma ulubionymi ministrami swoimi, t. j: po-

4

między modą i dobrym smakiem, przewodniczyła całemu zgromadzeniu.

Ubiory włoskie tak malownicze i tak poezyjne, już były zniknęły ku połowie ośmnastego wieku; jednakże pomimo wciśnienia się mody francuzkiéj, każda okolica zachowała jeszcze znamię narodowości. Tym sposobem Wenecyanki miały na głowie sploty włosów, spięte dużą czarnego szmelcu iglicą, a damy z Sienny i Florencyi miały na sobie płaszcze s purpury, upiększone złotémi gwiazdami i srébrnémi muszkami. Mężczyzni byli wszyscy ubrani po francuzku, a starożytny sztylet medyolański, dawny puginał rzymski, zastępowały owe wytworne szpady z rękoiścią stalową, jakie niegdyś były w zwyczaju. Batożki, jakie dzisiaj noszą nasi gładysze jadąc na koniu, albo przechadzając się pieszo, są niezawodnie znakiem wielkiego udoskonalenia; ale przyznać należy, że szpada nierównie większéj powagi dodawała. Damy miały także przy boku szpady swoje; byłyto duże bukiety z róż, granatów, kwiecia pomarańczy, narcyzów, lilii i tuberozy, s których obrywając listki, igrając swémi flakonikami s pachniącą wodą, sprawiały, iż dészcz kwiecisty zdawał się bez ustanku spadać z lóż na znajdujący się pod niémi parter, i głowy młodych patrycyuszów, którzy w tém miejscu się cisnęli, zamiéniał raz w upstrzoną, chwiejącą się murawę, raz znowu w różnobarwne, ruchome fale,

podług dziwactwa i wzruszenia tego zgromadzonego ludu. Nie samato radość karnawałowa była zaiste powodem do tak spaniałego zgromadzenia towarzystwa. Inny, niepokonany pociąg przyłączył się był do żądzy użycia roskoszy karnawałowych. Wieść rozeszła się po całych Włoszech, iż sławny poliszynelo wkrótkim czasie oddali się z Wenecyi. Po raz ostatni miał pan Bankolo w całym blasku swéj chwały wystąpić na teatrze *de la Fenice*, a całe Włochy szczodre w wieńce, tryumfy, dytyramby i palmy, zgromadziły się na ten pogłos dla złożenia hołdu wdzięczności i podziwienia artyście, który przez tak długi czas wielce przyczynił się do ich zabawy.

Charakter poliszynela jest typem. Poliszynelo mieści w sobie zbiór występków i cnót całego towarzystwa ludzkiego. Jest on samolub, skąpiec, junak, tchórz, zarozumiały, niewierny i zabobonny, czasem nawet szlachetny, czuły, filozof i marnotrawca, podług czasu i okoliczności; ale tak w występku jak cnocie, zachowuje on zawsze podziwienia godną uczciwość; filozofija jego jakkolwiek prosta, jest prawdziwą, naturalną i ujmującą; czyny jego nacechowane są przedziwną komicznością, a mowa jego nie mniéj jest oryginalną, jak i sama osoba. Postać poliszynela jest hieroglificzną. W rysach twarzy jego ujrzysz wyrażoną wszelką godność i wszelką przywarę ludzkości; ma on orli nos; jestto znamię odwagi;

ale zeszpecony niejaką wypukłością, jako znamieniem nieumiarkowania. Czoło jego jest wzniosłe i szérokie jako czoło Jowisza olimpijskiego, ale niepohamowane namiętności poorały na niém głębokie bruzdy; oczy jego są duże i széroko otwarte, ale powieki ich czerwone i wystające, jak powieki starego orła, który z upodobaniem wzrok swój w słońcu zatapiał. Usta ma piękne i różowe; zęby białe jak kość słoniowa; ale uśmiéch igrający na jego ustach i wyrażający to samo, co wyraża wzrok jego oczu, ma w sobie cóś sardonicznego i piekielnego. Poliszynelo ma białe włosy i jest niekształtnéj kibici; ale ułożenie jego jest tak przyjemne, umysł jego tak wesoły i żywy, iż nie postrzeżesz w nim tych ułomności, jeżeli wiek i słabość za ułomność poczytać można. Przy tém postać poliszynela jest także nauką żyjącą, zważywszy, że szpetność ciała jego niknie w obec wyskoków jego dowcipu, przy niewymuszonéj i swawolnéj jego mimice.

Bankolo, jako człowiek obdarzony wyższym umysłem, zaraz za piérwszém wstąpieniem swém w ten zawód, poznał wszelkie korzyści, jakie tylko prawdziwy artysta s tak rozlicznéj osoby, jaką jest poliszynelo, odnieść może. Przyłożył się on do zgłębienia nadmienionego charakteru, i w krótkim czasie powiodło się mu, iż tak doskonale umiał przybrać wszystkie jego postacie, i s taką śmiałością wcielać się w rozliczne jego charakte-

ry, że komedyant zniknął ze sceny, a publiczność nie widziała i nie uwielbiała jak tylko poliszynela. Bankolo otrzymał za swoję wytrwałość i usiłowanie nagrodę. Ogłoszono go piérwszym poliszynelem w całych Włoszech, a poliszynelowie z Neapolu, Palermo, Bononii, Florencyi i Pizy, przymuszeni byli uznać go za swego mistrza. Sława jego wzrastała razem z jego tryumfem. Rozeszła się ona po za Alpy i Pireneje; w Madrycie, Wiédniu, Berlinie żądano widziéć poliszynela. Bankolo zwiédził całą Europę, zebrał sobie wielki majątek, ale większéj jeszcze nabył sławy; jednak nieodrodny i wdzięczny syn ojczyzny, wrócił do niéj jako pobożna całopalna ofiara i przyniósł ostatni blask talentu, który zamyślił już uchylić z wielkiego świata. «Już nie zobaczymy Bankola! — Dziś gra po raz ostatni. Dziś w wieczór będzie się żegnał z nami! — Co za strata dla teatru *de la Fenice!* Jaki smutek ogarnął całe Włochy!» Podobne skargi i żale słychać było powszechnie; a jednak twarze kobiét uśmiéchały się s po za wachlarzy s korónek; spaniała orkiestra, godna być orkiestrą Olimpu, roznosiła w około harmonijne swe dźwięki. Lody, sorbety obnoszone przez Murzynów, krążyły pomiędzy ludem na tacach kryształowych, a dészcz kwiecisty nie przestawał padać na złote epolety, świetne mundury i błyszczące kaski młodych oficerów w parterze.

Bankolo tego wieczora przewyższył sam siebie. Publiczność to pękała od śmiéchu to znowu roniła łzy gorące. Raz zagrzmiało dwadzieścia tysięcy rąk bucznémi oklaskami, przyczém słychać było głośne wykrzyki: «*Bravo! bravi! per Baccho! bravissimo!*» Raz znowu dziesięć tysięcy chustek zakryło wszystkie twarze zapłonione radością, a potém nastała poważna cisza, którą tylko przerywały westchnienia. Patrząc zgóry na salę, wszystkie twarze niewiast przesłonięte białémi welonami, podobne były do owych mumij królewskich, które otoczone drogiémi kamiéniami, wjaskiniach piramidy Gizeh spokojnie zasypiają.

Bankolo ułożył dramę z swoich własnych wypadków. Poliszynelo wystawiony na rozmaite zmiany losu, będąc siérotą i żebrakiem, margrabią i lichwarzem, majtkiem, żołniérzem i kupcem, znajduje nareście swego starego ojca jeńcem u marokańskich korsarzy. A w całéj téj Odyssei były sceny, w których małe dzieci pękały od śmiéchu, lecz były także i sceny, w których mężowie łzy ronili. Z najżywszéj radości przechodzono nagle w najtkliwsze rozrzewnienie. Bankolo był wielkim czarownikiem; zdawało się, iż trzymał w swoim ręku serce zgromadzenia, i władając niém podług swéj woli, lub łzy z niego wyciskał, lub do śmiéchu pobudzał. Sztuka ta podobała się niezmiernie. Spuszczono zasłonę, tysiąc głosów

zagrzmiało nagle wołając: «*Bankolo! Bankolo! illustrissime poliszynello!* niech wystąpi! niech się pokaże!» Damy zaczęły powiewać chustkami, mężczyzni grzmiali oklaskiem; cały ten tłum zdał się być upojonym roskoszą, szczęściem i uniesieniem. Bankolo ukazał się w sukni swego tryumfu, w sukni poliszynela... Na ten widok podwoiła się radosna wrzawa i wzmógł się rozruch i tupanie; huczne oklaski zagrzmiały znowu ze wszystkich końców sali. Widząc ten zapał, to uniesienie, rzekłbyś, że Wenecya zdobyła znowu swoje berło na morzu, i że znowu jéj doża obchodzić ma swe zaślubiny z Morzem Adryatyckiém.

«Niech żyje! niech żyje poliszynelo!» wołały tysiące głosów, jak wołano niegdyś: Niech żyje! niech żyje Otello! gdy sławny Murzyn ten pośród zastępów sławiańskich, nieruchomych jak karyjatydy, i niosących lśniące złotem i krwią zbryzgane, na tureckich wojskach zdobyte chorągwie, jako naczelnik do ich portu zawinął.

Tymczasem Bankolo zdjął z siebie maskę; po raz piérwszy ukazał się on przed tym tłumem upojonym radością i uniesieniem w swojéj własnéj postaci. Na ten widok publiczność jeszcze większémi zaczęła okrywać go oklaskami; rzekłbyś, że w téj chwili ogromny gmach teatru *de la Fenice* zapadnie się pośród tego wybuchu uwielbienia. Bankolo dał znak, że mówić żąda. Natychmiast ustało klaskanie, każdy nakłonił ucha jak gdyby

dla słuchania harmonii muzyki nowéj, i głuche milczenie nastąpiło pośród obszérnéj sali. Bankolo wystąpił naprzód sceny, u któréj trzysta lamp się paliło, i pozdrowiwszy trzykrotnie publiczność, rzekł czułym, przenikającym głosem:

» Moi panowie! Widzicie przed sobą człowie-
» ka przejętego wdzięcznością za uprzéjmą do-
» broć, którąście mu okazywali. Wieńcem chwa-
» ły okrywacie tę niewymowną łaskę przez po-
» chlébną oznakę, którą dziś zaszczycać mnie ra-
» czycie. Jeżelim był tak szczęśliwy, żem się podo-
» bał wam przez przeciąg lat niemal trzydziestu,
» jeżeli słaby mój talent w oczach waszych mógł
» sobie zjednać jakie względy, składam za to po-
» dziękę temu, którego tu bez uwłoczeniu Imie-
» niu Jego wymówić mi nie wolno. Tak jest, moi
» panowie, składam podziękę Temu, którego
» wszechmocna potęga najdokładniéj zna chwilę,
» w któréj obdarzyć ma kraj sławnymi wojowni-
» kami, podziwnymi artystami, lub cnotliwémi
» osobami; tento wielki budowniczy niebios, na-
» pełniający padół ten istotami swego wyboru,
» rzucił nań i mnie, nędzną, kruchą lepiankę z zie-
» mi. Przyjęliście ją łaskawie, okryliście sławą,
» jaka tylko rzadkim i nieocenionym talentom
» przynależy. Przyjmiéjcież zato najgłębszą moję
» podziękę, czyli raczéj przyjmiéjcie i zachowajcie
» w sercu waszém pamięć dozgonnéj méj wdzię-
» czności. W schronieniu mojém towarzyszyć mi

» będzie ta myśl pocieszająca, żem nigdy nie po-
» pełnił złego uczynku, i żem podług możności
» mojéj przyczynił się do dobra powszechnego
» naszéj krainy. Żegnam was, moi panowie. «
Po skończonéj téj mowie dały się słyszéć nowe oklaski; ale tą razą do radosnych okrzyków przyłączyło się nowe objawienie spółczucia i udziału. Wszystkie kobiéty zaczęły rzucać swe bukiety na scenę; wieńce, palmy, sonety, wiérsze w rozmaitych językach spadały jak grad pod nogi poliszynela.

Bankolo skłonił się i rospłakał. Podniósł rękę, i znowu nastąpiło milczenie: «Moi panowie!« rzekł Bankolo, «dzisiaj mamy ostatni dzién tego-
» rocznego karnawału; w przeciągu jednéj godzi-
» ny cały ten gmach zamiénionym będzie w salę
» balową; zéjdziecie się do niéj w rozmaitych ubio-
» rach. Bogacz milionowy przybędzie tam prze-
» brany za pastérza; poważna matrona za bajader-
» kę; paź za brodacza; młoda dziewica za poważną
» matronę; wszystkie wieki i wszystkie stany prze-
» miénionémi zostaną, aż dopokąd nie zabłyśnie
» poranna zorza. Wszystko używać będzie rozry-
» wki i zabawy!... Jak skoczne tańce! jak żywe
» uniesienia! jaka roskosz! jakie szczęście was
» czeka! Ale zanim się oddacie temu ukontento-
» waniu pozwólcie biédnemu komedyantowi we-
» zwać was pokornie, abyście zabawę nocną szla-
» chetnym, dobroczynnym poprzedzili uczyn-

» kiem!... Moi panowie, w czasie gdy wy pośród » roskosznéj woni, pośród dźwięków muzyki upa» jającéj wyprawiacie skoczne tańce; w czasie gdy » s tkliwością przyciskacie do swego serca rękę » kochanki, lubéj siostry albo małżonki; w kra» jach barbaryjskich jęczą bracia nasi w niewoli » i pośród srogich, długo-letnych męczarni wy» ciągają ku nam swoje od kajdan pogańskich po» kaléczone ręce. Moi panowie! zaklinam was » imieniem Najwyższego, wesprzyjmy ich na» szym datkiem; poświęćcie wy dla dobrego u» czynku roskosz, któréj dzisiaj w nocy używać » macie, a ja z mojéj strony poświęcę swobodę, » którą rodzinnych bogów moich obdarzyć chcia» łem. Na placu Śgo Marka jest świątobliwy » mąż z zakonu wybawicieli, który przyjmie nasze » ofiary. Ja udam się s tego miejsca prosto do tego » męża. Moi panowie, i wy szlachetne damy, » pójdźcie za moim przykładem; niech po raz piér» wszy głos poliszynela przyczyni się do tryumfu » miłości chrześcijańskiéj.»

Gdy przestał mówić, całe zgromadzenie powstało. S powagą zeszedł poliszynelo z stopni teatru, a za nim udał się tłum najznakomitszych osób, które pospólstwo radosném uwielbieniem okrywało. Tym sposobem cały ten orszak w towarzystwie gondolierów, służących mu za straż honorową, przybył aż na plac Śgo Marka, gdzie starożytny lew Wenecyi, zobaczywszy tak spa-

niałą wielkość i potęgę, jaką ten wodny gród Neptuna w owe czasy słynął, gdy rzeczpospolita wenecka skarbami świata, zwycięztwy i tryumfy kwitnęła, zadrżał z radości.

W pośrodku pałacu Orsyni, szanowny ojciec miłosierdzia siedział na krześle z słoniowéj kości; po prawéj ręce jego znajdował się notaryusz papieża, a po lewéj sénator rzeczypospolitéj weneckiéj. Wokoło nich srébrne lampy rozsiéwały swe światło, a sala pałacu starożytnych Gonfalonierów ozdobiona była przepyszném obiciem; marmurowe ściany osłaniały miękkie, tureckie kobiérce. Poliszynelo w towarzystwie świetnego orszaku szedł wolnym krokiem po pod milczące sklepienie pałacu. Przy wnijściu do sali, jakby cudem spadły z niego suknie poliszynela, a Bankolo wystąpił w aksamitnéj, błękitnego koloru złotem haftowanéj szacie stósownie do ubioru znakomitéj szlachty weneckiéj. Wszedłszy do sali, złożył przed ojcem miłosierdzia napełnioną złotem sakiewkę i rzekł do niego cichym głosem:

«Szanowny ojcze! dotrzymuję mojego słowa i przynoszę okup za mego ojca. Proś Boga, aby ta ofiara z rąk moich Bogu miłą była.»

»Mój synu,« rzekł świątobliwy zakonnik, »człowiek w każdym stanie może się podobać Bogu, i zapewniam cię, że ze wszystkich tych ofiar, które dotychczas otrzymałem, jałmużna poliszynela będzie Bogu najprzyjemniéjszą!»

Obliczono, iż tego jednego wieczora w Wenecyi więcéj niż cztérnaście tysięcy franków jałmużny do kassy wpłynęło. Przykład poliszynela był tak zachęcającym, iż najpiękniéjsze i najwytworniéjsze damy zdéjmowały z siebie perły, łańcuchy, pierścienie, bransolety i inne drogie kléjnoty i składały je jako jałmużnę przed ojcem miłosierdzia. Pospólstwo, które chętnie naśladuje piękne przykłady, przyłożyło się z swojéj strony, tak dalece, iż w przeciągu kilku tygodni czcigodny zakonnik wrócił do Marsylii z zasobem pieniężnym, dostatecznym do wykupienia wszystkich niewolników chrześcijańskich, znajdujących się nie tylko w Państwie Marokańskiém, w Algierze i Tunecie, ale nawet tych, którzy na wybrzeżach Tracyi byli w niewoli.

CZAROWNICA.

O! gdyby dzisiaj istniały na ziemi,
Owe rycérskich wieków sądy boże;
Zarazbym ciebie postawił przed niémi,
A moich cierpień pomściłbym się może.

Sędziowie! rzekłbym, niech was powab lica,
Ni łzy niemamią, ani wiek jéj młody;
Każcie stós wznosić, oto czarownica!
A te są moich oskarzeń dowody:

Niegdyś me życie, jak ciche marzenie
Płynęło pośród pokoju i wiary;
Jeden jéj uśmiech, jedno jéj spojrzenie:
Mój pokój zniknął, — i niesąźto czary!...

Dziś jakaś burza sroży się w mém łonie,
Jéj obraz w myśli, a w sercu pożary;
Tylko jéj szukam, tylko za nią gonię,
Tylko nią żyję — i niesąźto czary!...

Za nadto dumny, by ziemską urodę
Uczcić westchnieniem; dla niéj większe dary:
Całego życia oddałbym swobodę;
Sędziowie! jakże, i niesąźto czary!...

Lecz, żebyś słusznéj nieunikła kary.
Stóletnich sędziów trzebaby mi może;
I tychby jeszcze uwiodły twe czary,
Lepiéj, że sądy nieistnieją boże.

J. N. J.

PODOLANKA.

Powieść sprawdziwego zdarzenia.

Oj diwczyno iz Podola,
Nieszczastływaż twoja dola!
Spieśni gminnéj.

Miłość jest nieprzebraném morzem dla poetów, dla romanso-pisarzy, s którego czérpią albo nat-

chnienie, albo przedmioty do pisania. Z owego to morza i ja treść wziąłem do ułożenia téj sielskiéj powiastki. A że jéj bohatérką jest tylko uboga wieśniaczka, co może przez całe życie swoje nie wyjrzała za granicę rodzinnéj wioski, któréj jedynêm zatrudnieniem było pomagać starym rodzicom w ich mozolnéj pracy, co nie umiała innego języka, prócz ojczystego ruskiego, to téż ograniczę się na prostém, prostego zdarzenia opowiadaniu.

W pięknéj podolskiéj krainie jest wieś obszérna; pełno tam sadów, śród których porozrzucane chatki włościan. Prawdziwy miłośnik przyrody chętnieby zamiészkał w tém miejscu, choć nie było w niém uderzających romantycznością widoków. Środkiem wsi bieży nie wielki strumyk; po obu jego stronach, na wzdłuż ciągnących się wzgórzach, wyglądają białe domki, a nad niémi błękitny dym pływa. Daléj szumi młyn, a za groblą staw duży, czysty, w końcu tylko gęstą porosły trzciną; o parę set kroków od stawu widać okazały dom dziedzica, przy nim ogród z angielskiémi klombami, i ulicami wysypanémi piaskiem; w środku wznosi się altanka s czerwonym daszkiem. Za stawem na pagórku stoi cérkiew, o trzech kopułach. Za wsią na około bogate łany, daléj lasy, daléj tylko niebo — otóż i cały krajobraz.

Tam żyła Handzia, siedmnastoletnie dziéwczę, z dużémi c arnémi oczyma, w których o-

gnista przebijała się dusza, s ciemnémi, jak noc, włosyma, co radeby igrały z gładką jéj szyją, gdyby ich nie splatała piękna dziewczynka codzień w warkocz, nie związywała pąsową wstążeczką, i nie owijała około głowy; tak ujętym w więzy, sroga dziewczyna starała się osłodzić niewolę, zdobiąc je skromnym kwieciem, bławatkami, makiem i nasturcyą. Lica Handzi, lubo nieco dotknięte skwarem słońca, wzbudziłyby zawiść w nie jednéj miękkiéj piękności, troskliwszéj o białość twarzyczki, niż o serca umysłu, ukształcenie; malowały się na nich zdrowie i wesołość — a kiedy zaśmiała się, s pomiędzy ust jéj koralowych błyskały dwa sznurki śniéżnych zębów. Kibić jéj nie nader wyniosła, lecz gibka; a chłopcy powiadali o niéj, że była jak wytoczona.

Rok siedmnasty ubiégał Handzi w błogiéj swobodzie. Nie znała nikogo prócz rodziców swoich, i niewinnych igraszek z wiejską drużyną. Nie wiedziała, że za krańcami jéj wioski jest jeszcze świat inny, że jeszcze są wsie, miasta, kraje — a choćby i wiedziała o tém, to nie myślała o reście świata, tak jéj błogo było w rodzinnéj chatce.

W niedzielę bywało, kiedy ustroiła się w świéżą bieliznę; kiedy chłopcy śmiejącémi oczyma poglądali na nią, i szeptali do siebie o jéj urodzie; ojciec i matka z dumą patrzyli na swoje pieścidełko, a skromna dziewczyna oblewała się rumiéńcem, i tuliła się do matki.

Od lat dwóch zachodzili już do niéj swatowie, trafiali się dostatni gospodarze — lecz dziewczyna, jak ta lilia, która nad strumieniem rośnie, która cieszy się słońcem, rosą i śpiéwem ptaków, i wcale nie tęskni, aby ją zerwano do oblubiéńczego wieńca — cieszyła się swoją wiosną i nie tęskniła za wieńcem. Serce Handzi, od młodości rozbudzone ukraińskiémi dumkami, lubiło niekiedy zatapiać się w tęsknocie; podczas wieczorów wiosennych, kiedy cała wieś ucichła, kiedy młyn niespokojny w oddali szumiał, a gdzieś na łące odzywała się sopiłka pastuszka, nieznana w dziewczynie obudzała się trwoga; jakieś głębokie, tajemnicze uczucie, marzenia o jakichś królewnach, o których w bajkach słyszała, złote sny majowe, szczęście, którego pojąć nié mogła; wszystko to czarowało jéj duszę, i najczęściéj łzami się kończyło.

Tym sposobem śród pracy, dumań, rozrywek wiejskich, upływała jéj wiosna; wkrótce jednak zmiéniły się rzeczy. Pewnego ranka stała Handzia w ogródku i wyrywała kwiaty, i zdobiła się niémi. W tém usłyszała rzenie i tętent konia: podniosła oczy na drogę, i postrzegła jadącego urodziwego młodziéńca. Pięknéj on był postawy, z jasnémi włosyma, niebieskiém okiem, przyjemnego oblicza; spoziérał ciekawie na dziewczynę, głaskał po szyi konia i dawał mu ostrogę, jakby chciał jéj oczy zwrócić na siebie. Miły to widok

dla dziéwczęcia! Długo patrzała za odjéżdżającym, który, popuściwszy wodze, jak ptak poleciał i wpadł na dworski dziedziniec.

Handzia tego dnia kilka razy myśliła o nieznajomym młodzieńcu, a gdy udała się na spoczynek, nim zasnęła, jeszcze raz przyszedł jéj na myśl szykowny jeździec. I nazajutrz, skoro otworzyła oczy, przypomniało sobie znowu ładnego panicza, i często wychodziła, aby spójrzéć na biały dwór pański. Widziała tam, jak po obszérnym zielonym dziedzińcu przechadzali się, to pan w letnim żupanie, to pani w porannym stroju, to gawiedź dworska; ale panicza jasno-włosego nie było widać! zadziwiona wróciła do zwykłych zatrudnień i przestała o tém myślić.

W kilka dni potém, będąc we dworze, dowiedziała się, że ten nieznajomy był krewnym państwa, że niedawno wyszedł ze szkół, że ma nie zadługo przyjechać tu znowu, i że jakiś czas zabawi. Oto są szczegóły, które jéj obojętnie opowiadano, jednak dziewczyna ciekawie ich słuchała, i powróciwszy do domu powtórzyła to wszystko rodzicom, którzy na wzajem obojętnie jéj powieści słuchali.

Minęła wiosna, a z nią i kwiaty z drzew obleciały, i kukułka przestała wabić po gajach, i słowik przestał śpiéwać, jak gdyby go nigdy nie było. Ale zato czerwieniły się sady od jagód, szérokie pole, jak złote morze, kołysało się dójrzałym

kłosem, a nad niém niezmordowany skowrónek, ten słowik jesieni, wzbijał się w obłoki i zachęcał swoje młode do lotu; myślałbyś, że chce im drogę do nieba wskazywać.

Zachwycającyżto widok patrzéć gdy matka ziemia rozsypie skarby swoje pod nogi człowieka! Ty, coś przepędził całe życie śród wrzawy miasta, połykając duszącą kurzawę, wymknij się choć raz na wieś w piękny letni poranek, a jeżeli cię nie zachwycą tysiącznémi barwami ucieniowane łany, jeźli niebo pogodne, spuszczające chłodną, rzeźwiącą rosę nie natchnie cię świéżémi, czystémi, jak ona uczuciami, jeżeli ucha nie dasz tysiącznym głosom mówiącéj przyrody, jeźli jéj nie zrozumiész, i odepchniesz ją od siebie... wracaj do miasta! zepsute masz serce, i duszę gnijącą, która odbiegła od swojego źródła! Letnia pora na wsi, najwięcéj téż życia przedstawia, i praca téż wtenczas największa. Byłoto wieczorem: wesoła gromada wracała s pola, gwarząc, śpiéwając, na czele ich szła Handzia, uzbrojona siérpem, strojna w wieniec, jak królowa jaka; bo téż ją królową wioski nazywano. Gromada poszła do dworu. Państwo odebrali od Handzi wianek i wynagrodzili ją hojnie. Ekonom z właściwą urzędowi swemu powagą ustawiał, porządkował włościan; osobno stanęły kobiéty, osobno mężczyzni. Kubki, pieniące się to piwem to gorzałką, krążyły pomiędzy biesiadującymi. Spełniali je żwawo i mło-

dzi i starsi, niewiasty tylko i dzieci piły wstydliwie, zasłaniając się białym fartuszkiem. W tém ozwała się muzyka: puściła się w taniec niezmordowana całodziénną pracą młodzież, i więcéj tam było szczéréj, niezmyślonéj ochoty, niż na balu najświetniéjszym, gdzie płoną jarzące świéce, ślnią się zwierciadłem ściany i brzmi wyborna orkiestra.

Handzia nie poszła do tańca; ze spuszczonémi oczyma stała obok państwa, którzy łaskawie z nią rozmawiali. Czemuż tak nieśmiało odpowiada? Czemu w niéj tak gwałtownie bije się serce? Miałażbyto sprawić obecność jasno-włosego młodziéńca, co stał tuż koło niéj, mówił z nią, i z upodobaniem się wpatrywał? Dziedziczka prosiła młodziéńca, aby s Handzią poszedł w taniec, i Maurycemu nie potrzeba było drugi raz to samo powtórzyć; i Handzia, lubo drząca, lubo byłaby rada uciéc gdzieś w najskrytszy kątek, przecież nie uciekła, przecież dozwoliła młodziéńcowi, że ją w pół ujął, i piękna para poskoczyła do wesołéj szumki.

To wzajemne objęcie się, ten taniec, wywarły wpływ nieszczęśliwy na cały los dziewczyny. Po skończonym tańcu przybiegła do matki i rzuciła się jéj na łono, a matka obciérała rańtuchem spoconą twarz Handzi, w któréj sercu już dziwne rozbudzały się uczucia. Rówiennice, uśmiéchając się złośliwie i szepcząc pomiędzy sobą, zazdrości-

ły jéj tego szczęścia; a chłopcy patrzali na nią z ukosa, że po tańcu s paniczem nikogo już wybrać nie chciała. Oddaliwszy się na bok od tańcującego koła, stała obok matki, i myśli jakieś tęskne, nieodgadnięte, zasępiły jéj czoło. Smutnie poglądała to na urocze niebios sklepienie, zaiskrzone drżącémi gwiazdami, to w tę stronę, gdzie stali państwo, a między niémi Maurycy, i westchnęła ciężko — biédna dziewczyna!

Ze świetnych balów pańskich często dopiéro wschodzące słońce rosprasza biesiadników, a owe czarujące piękności, które przy rospoczęciu balu były tak świéże, tak woniejące, tak podziwiane — okrywają nakońcu wybladłe swoje lica i w nieładzie rozrzucone włosy, szalami, płaszczami, i unoszą resztę uroku s przed oczów rozromansowanéj młodzieży. Jakże inaczéj odbywają się zabawy wiejskie pomiędzy prostym ludem. Noc letnia ledwie w połowie ubiegła, jeszcze na wschodzie nie wyjaśniało się niebo poranku brzaskiem, kiedy ucichła muzyka, i wieśniacy zaczęli roschodzić się do domów. Dziéwczęta rozgrzane tańcem, z sercami uweselonémi muzyką, stają się coraz piękniéjsze, ognistsze, wymowniéjsze. Jasne gwiazdy uśmiéchają się im z góry; ciepły, cichy wietrzyk igra z ich włosami, harmonijująca przyroda zdaje się spólnie z niémi weselić, gdy echa dalekie powtarzają pieśni obżynkowe, gdy im przegrywa tajemnicza muzyka wieczoru; ale star-

szyzna powraca do swoich zagród, młodzież rada nie rada idzie za ich przykładem, kończąc swoje śpiéwy i tańce po drodze, prowadzącéj środkiem sioła.

Nadedniem ucichło wszystko w całem siele; młyn tylko szumiał; kiedy niekiedy psy odzywały się szczekaniem. Do każdéj chatki zajrzał sen dobroczynny, aby utrudzonych wieśniaków pokrzepić siłami do jutrzejszéj pracy. Handzia może jedna miała sen niespokojny, ona, co zwykle sypia jak dziécię, co we śnie igra z aniołkami, budziła się często, marzyła o Maurycym, o jego oczach błękitnych, jasnych włosach, o jego siwym rumaku. Śni się jéj, że z nią tańczy, że ją ścisnął za rękę, i mówi do niéj słowa tak mile w ucho wpadające, jakich nigdy nie słyszała. Przechadza się z nim po nieznanéj krainie. Oczom jéj przedstawia się tysiące zjawisk pięknych, dziwnych; zdumiéwa się, on jéj te dziwy tłumaczy, ona go słucha, a serce jéj lgnie do téj mowy. Potém weszli na jakiś wzgórek, jéj było gorąco, duszno; ona ciérpiała, a on stał spokojnie i uśmiéchał się. Potém się rozłączyli, młodziéniec gdzieś zniknął... próżno go woła... płacze. Stoi na samotnym wzgórku, tam ją słońce pali, chciałaby zbiédz na dół, ale nié może, siły ją odbiegły, leci gdzieś w przepaść—już ma się rozbić o głazy—o cudzie! Handzia zmiénia się w jasną, lekką gwiazdkę, i wzbija się jak ptaszek do góry... do góry aż

do nieba, i . . . w tém obudziła się, krople zimnego potu czoło jéj oblały. Otworzyła oczy; dzień wielki już świtał w okienku. Ojciec i matka krzątają się, w piecu s trzaskiem pali się ogień, przy nim stoją garnki, przed progiem rosciąga się wierny kondel; na środku świetlicy kot biały z żółtémi centkami umywa się — widać, że gość jakiś będzie.

Wstała i Handzia; rodzice ją uściskali. Matka osobliwie pieściła się z nią, nazywając ją swoim skarbem, swojém szczęściem. I w rzeczy saméj byłoto szczęście dla rodziców miéć taką córkę.

Wieczorem, skończywszy zatrudnienia około nabiału, luba dziewczyna stała na podwórzu, zatopiona w myślach przypatrywała się jaskółkom, co odlatywały i przylatywały do gniazd tuż pod strzechą przylepionych. Naliczyła ich kilka i cieszyła się, bo słyszała, że tam szczęście przebywa, gdzie jaskółki i bociany się gnieżdżą. Myśląc o szczęściu rzuciła okiem na dwór pański; wspomniała sobie wieczór wczorajszy, taniec s paniczem i sen dziwny. Tak pogrążona w dumaniu weszła do chatki, aby pogadać z rodzicami, rozweselić się. W tém pies zaszczekał: wyjrzała przez okno. Jasno - włosy panicz w zielonym myśliwskim stroju, ze strzelbą na plecach, wszedł na dziedziniec, a za nim ciągnął się wyżeł skulony, najeżony, bo ogromny kondel szedł przeciw niemu śmiało, i warczał i chciał się nań rzucić. Wyszli s chaty na przeciw paniczowi rodzice i

uprzéjmie go powitali. I Handzia nie została w chacie, wybiegła także, ale zmięszana, ale zapłoniona dziewiczym rumieńcem. Panicz powiedziawszy, że wraca s polowania utrudzony, prosił o wodę. Handzia poskoczyła do krynicy, nabrała świéżéj wody i przepraszała go, że nié ma szklanki. Lecz on z wdzięczną podzięką, ująwszy dzbanek, poniósł go do ust i patrzał mile na Handzię, a zaspokoiwszy pragnienie, zapewniał ją, iż nigdy tak smacznéj wody nie pił. Pomówił kilka słów z rodzicami, kilka s Handzią i pożegnawszy się z nimi, odszedł. Tak się odbyły piérwsze odwiédziny.

Długo rodzice rozmawiali o paniczu, chwaląc go z grzeczności, z urody i rozumu, a Handzia z jakąż roskoszą tych pochwał słuchała! I nazajutrz była mowa w chatce wieśniaków o Maurycym. Niebaczni rodzice nie wiedzieli, że tym sposobem rozniecali pożar, który się już zakradł w serce dziewczyny.

Przyszło do tego, że Maurycy często odwiédzał chatę poczciwych wieśniaków. Z rodzicami rozmawiał o gospodarstwie, tak rozsądnie, tak trafnie do ich pojęcia, że aż miło było go słuchać. Przytém do starych mówił zawsze z uszanowaniem, jego ojcem, ją matką nazywając, aż serca biédnych ludzi rosły z radości na tyle dowodów uprzéjmości od bogatego panicza. Handzia oswoiła się; była z nim bez przymusu. Maurycy był poetą; znał on piękności poezyi gminu, i umiał

s Handzią tym językiem prostym, przemawiającym do duszy rozmawiać; nie raz musiała mu śpiéwać stare dumy o hetmanach kozackich: o Chmielnickim, o Nieczaju, s których on potém piękne poezyjne dla świata książkowego przerabiał; on znowu ze swojéj strony podnosił to serce niezepsute i czyste ku wyższym uczuciom i wyobrażeniom. Niebespieczna to jednak nauka, którą przystojny młodziéniec pięknéj dziewczynie wykłada! Zwykle wtenczas albo nauczyciel, albo uczennica pożegna się s pokojem serca, albo oboje razem... Handzia zakochała się w Maurycym, zakochała się s całą mocą piérwszéj miłości! — A on? on nie podziélał jéj uczuć, lubo dostrzegł skłonność jéj ku sobie. Lubił ją, pochlébiało mu, że zajął to serce pełne prostoty, pełne ognia... Może też jako autor chciał doświadczyć na niewinnéj duszy wszystkich postępów miłości, ażeby potém ofiarę swojéj próby zrobić heroiną jakiego romansu? Może psychologicznym badaniom poświęcił miłość bez granic, miłość ślepą, o jaką tak trudno w zepsutym świécie? Nie wiém. Ale oziębłości Maurycego trudno znaléźć przyczynę: serce miał wolne, myśl swobodną, i zamiast duszę swoję połączyć z wonią tego rzadkiego kwiatu, on się nim tylko bawił, i listki obrywał. S tém wszystkiém Maurycy często ją nawiédzał, bo nudził się we wsi, we dworze, gdzie same podeszłe żyły osoby. Maurycy lubił z nią rozmowy, bo kogóż prostota, kogóż niewinność nie przywiąże?

Nie długo jednak i to trwało. Raz wieczorem przyszedł on, podług zwyczaju pogadał ze staruszkami, pobawił się s Handzią, i najczuléj wtedy przemawiał do niéj, najtkliwiéj na nią patrzył; w obec rodziców obsypał ją pocałunkami, a poczciwi wieśniacy z uśmiéchem na to poglądali; może w tém nic złego nie widzieli; może w prostocie serca myśleli, że bogaty panicz poślubi kiedy ich córkę? alboż nie bywały podobne zdarzenia? wszakże o takich wypadkach mówiły ich powieści, ich piosneczki gminne. — Tymczasem Maurycy począł się żegnać, i smutnie powiedział, że jutro rano na długo odjéżdża do Warszawy. Zbladła biédna dziewczyna; nie wiedziała ona, gdzie jest Warszawa, ale wyobrażała sobie, że gdzieś bardzo daleko, że gdzieś za morzem, na końcu świata. Więc rzewnémi zalała się łzami, i jęła prosić panicza, aby nie narażał się na niebespieczeństwa, aby o niéj pamiętał, aby do nich powrócił. I rodzice czule się z nim żegnali, błogosławili go jak syna, życzyli pomyślnéj drogi, szczęśliwego powrotu. Maurycy czuł jakąś w głębi boleść, gdy się s Handzią rozstawał — możeto przyzwyczajenie tylko, może litość nad sercem, które osiérocał. Raz jeszcze powtórzył pożegnanie i wybiégł szybko s chaty — wzruszony, chciał ukryć łzy, które gwałtem s powiek się cisnęły — uciekał, bo się takiéj czułości wstydził!

Całą noc Handzia uspokoić się nié mogła; całą noc nie spała, i skoro dzién błysnął wybiegła na podwórze. Wlepiła czarne spłakane oczy w biały dwór pański. Jakiż tam smutny dla niéj widok! przed gankiem stał powóz wypakowany, uwijają się słudzy, już wyprowadzają konie, już zakładają do powozu, a Handzia stoi nieruchoma, jak posąg kamiénny, i pogląda na te przygotowania do odjazdu.

Nagle przychodzi jéj nowa myśl, chciałaby jeszcze raz przypatrzyć się z bliska swemu ukochanemu paniczowi, tak zwykle bowiém nazywała go, mówiąc o nim. Wbiega do chaty, porywa dzbanek, i biegnie po wodę do źródła, które aż za groblą wytryskało, tamtędy miał przejéżdżać Maurycy. Dziwiły się sąsiadki, widząc Handzię, idącą po wodę tak daleko, kiedy tuż przed swą chatą miała żywą krynicę.

Nad źródłem na kamiéniu siedzi niespokojna dziewczyna, przy niéj stoi dzbanek, napełniony wodą, a oczy jéj błądzą po gościńcu, idącym ode dworu. Ozwał się trzask bicza, turkot powozu; cztéry dziarskie konie parskają w rączym biegu, serce u biédnéj dziewczyny coraz mocniéj bije, łzy się do oczu cisną — powóz coraz się zbliża, już jest koło niéj — już ją ominął!... Maurycy, który siedział obok jakiegoś poważnego pana, obaczył Handzię, pożegnał ją lekkiém uchyleniem głowy... Nie takiego ona spodziéwała się poże-

gnania!... Dziewczyna upadła na ziemię bez zmysłów, jakby dziécię lękliwe na widok stracha w ciemnéj komorze.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała się na swojém łóżku, sama nie wiedziała, co się z nią dzieje; ojciec i matka stali przy niéj zapłakani. Uczuła zimno przenikliwe, odzież jéj całkiem wodą była zmoczoną. Na środku chaty stało kilku dobrych sąsiadów i sąsiadek, którzy ją pół-martwą przynieśli. Jakaż była radość rodziców, kiedy postrzegli, że Handzia żyje; jakże czułémi obsypywali ją pieszczotami! Ona chciała im odpowiedziéć słowami wdzięczności, ale nié mogła! Cóś tak, jak kamiéń ciężyło jéj na sercu: uśmiéchała się, ale smutno było patrzéć na ten uśmiéch! mówiła z rodzicami — o czémże? o paniczu. Oni ją pocieszali, że nie za długo powróci.

Tegoż samego dnia wstała Handzia z łóżka; zdawało się, że spokojna; wzięła się nawet do pracy, lecz jakże jéj wszystko szło nie wład! Tęskne jéj myśli biegły gdzieś do Warszawy, do któréj ona sama drogi nie wiedziała. Kilka dni upłynęło, Handzia ciągle była smutną, zamyśloną, nie narzékała jednak, często modliła się, szukała w Bogu pociechy... Dziwna to rzecz, jak w krótkim czasie zgasnąć może świéżość i rumieniec dziewicy! Handzia przed kilku dniami rumiana jak zorza, z oczkami żywémi, jak dwie gwiazdy, a teraz posępnie blada, ze mgłą na owych dwóch gwiazdach.

Nadeszła niedziela; stroskany ojciec, wziąwszy z sobą kilka złotych, które chował na podatki, poszedł o parę mil do miasta, aby dziecięciu swemu kupić jaki gościniec, myśląc, że tém ją niebogę pocieszy. Wrócił poźnym wieczorem, przyniósł parę kulczyków, pierścionek, i wstążek różnego koloru. Handzia, coby dawniéj, odebrawszy taki podarunek, z radości pojąć się nié mogła, teraz obojętnie pogląda na te ozdoby dziewicze. Mile jednak podziękowała ojcu i schowała do skrzyni i kulczyki i pierścionek i wstążki. Bóg wié, czy się w nie kiedy ustroi! Jeżeli co mogło ją pocieszyć, to tylko rozmowa o paniczu, a rodzice właśnie wystrzegali się go wspomnieć, mniemali, że nie mówiąc o nim, prędzéj zapomni. Jakże nie znali uczuć swego dziécięcia!

Pewnego dnia w smutnych zatopiona myślach siedziała Handzia na przyźbie. Słyszy tętent konia; podnosi oczy, i wykrzyknęła z radości, z zadziwienia. Ten sam koń siwy! poskoczyła do wrót: przypatruje się... bliżéj, coraz bliżéj nadjéżdża. Ah! co za bolesne złudzenie! nie ten sam jeździec. Ledwie mogła ustać, nogi pod nią drżały, w oczach ciemno się zrobiło... dziewczyna błędnym krokiem zawlekła się do chaty i położyła się... W nocy mocno zachorowała. Mówiła wiele, prędzéj niż zwyczajnie, ale bez związku. Najwięcéj rospowiadała o paniczu, śmiała się głośno. Starzy rodzice całą noc spędzili koło niéj. Z jakąż niespokojnością wyglądali poranku!

Przecież błysnęło słońce i oświéciło łoże choréj. Załośneżto było widowisko! Dwoje ludzi podeszłych w latach, zmęczonych nocném czuwaniem, siedziało przy łóżku młodziuchnéj, ciérpiącéj córki, wpatrując się na nią s troskliwą obawą. Ucieszyli się nieco, bo na twarzy choréj wytrysnął prześliczny rumiéniec. Oczy jéj ożywiły się blaskiem, jakim od dawna już nie świéciły. Cieszyli się biédni ludzie, nie wiedząc o tém, że ten rumiéniec, ta ócz żywość, byłyto zgubne znamiona grożące śmiercią. Gorączka się zwiększyła, chora nie przestawała mówić szybko, głośno, bez myśli, bez ładu.

Tymczasem pani, dowiedziawszy się o chorobie Handzi, przyszła ją z litości nawiédziéć, lecz chora nie poznała ją. Pani rozumiejąca się na słabości, dotknęła się pulsu dziewczyny: jakżeż prędko bije! Przyłożyła dłoń do jéj policzków, do czoła, jak ogiéń rospalone. Posłano do miasta za lékarzem. Tymczasem dziewczyna o dziwnych marzy rzeczach. Pani się dziwi: słysząc ją ciągle powtarzająca o Warszawie, o jéj miłości, dla jakiegóś jasno-włosego młodziéńca. Dziewczyna zrywa się s pościeli, wybiéga s chaty, odziéż jéj w nieładzie, włosy na wiatr rospuszczone; chce uciekać: dokąd? do Warszawy!... Pani nié może sobie wytłumaczyć, skąd téj prostéj dziewczynie ciągle Warszawa na myśli. Nie pojmowała całéj tajemnicy, nie wiedziała, że miłość do grobu

6*

ją prowadzi. Rodzice ukrywali przed panią, jakby zbrodnię jaką, że córka ich śmiała podnieść swe serce, aż do panicza z wysokiego domu... Przyjechał w końcu i lékarz, nie szczędził wszystkich środków, aby gorączkę odwrócić, i gorączka cokolwiek ustała; chora była spokojniéjszą! ale na rany wewnętrzne, które za każdém wspomnieniem krwią jéj zabiégały, nie znał ów mądry lékarz żadnego środka. Biédni rodzice pojmowali dobrze stan nieszczęśliwéj, załamywali ręce, i w cichości łzy ronili... Choroba Handzi długo się przeciągnęła; wpadła ona w stan ciągłego gaśnienia; krasa jéj opadała, jak listki z drzewa w jesieni.

Lecz gdzież się Maurycy obraca; co robi na wielkim świecie? Już on od dawna w Warszawie nasyca się powabami stolicy. To na balach bywa, gdzie tańcuje wiele, bo namiętnie lubił taniec; to prawi damom pochlébne słówka; to lata od jednéj do drugiéj, bo jednę nad drugą piękniéjszą znachodzi. Tu go nęci zgrabna baletniczka, tam grą swoją aktorka w trajedyi; to w Saskim-ogrodzie przepada za smukłą kibicią jakiéj piękności przybyłéj s prowincyi. Słowem Maurycy dzieli swój czas między miłość i poezyę; a nadto wszystko ugania się za sławą, do któréj miłość i poezya mają mu służyć za stopnie. Pytam teraz, mógłże Maurycy w takim wirze chęci, zamiarów, młodzieńczych uniesień, choć raz wspomniéć sobie — o prostéj wieśniaczce s Podola? Prawda, myślał on

o niéj, ale raz tylko, i to kiedy deklamował dumę o Niczaju, któréj się od Handzi nauczył.

Tymczasem na wsi, w dalekiém Podolu, dzień był pochmurny, dészcz czasami przepadał — Handzia otoczona przyjaciołami, rodzicami, mówiła głosem zemdlonym o wiosnie nadchodzącéj, o kwiatach, o przybyciu jasno-włosego panicza. Nieszczęśliwa! dla niéj świat ma jeszcze tyle powabów, bo piérwsze uczucie, które się rozwinęło w jéj duszy, była miłość; onato ozłacała jéj tę ziemię, która dla drugich jest tylko padołem nędzy i płaczu. Ale głos jéj co chwila stawał się cichszym, stłumionym, oddychała coraz z większą trudnością, oczy błędnie toczyła. Nad wieczorem promyk zachodniego słońca przekradł się przez szybę, i padł na łoże ciérpiącéj dla tego tylko, aby ze sobą uniósł tę niewinną duszę do lepszéj krainy. Handzia rażona tym blaskiem chciała cóś jeszcze przemówić, wyciągnęła rękę ku rodzicom, ale usta się ścięły, ręka opadła — i dusza uleciała z gasnącym promiénem.

Wkrótce rozległszy się głośne płacze i zawodzenia w wieśniaczéj zagrodzie. Wkrótce odbył się skromny pogrzéb; trunna biała, na niéj ruciany wieniec, kilka świéc, łzy szczére i jęki żałośne, cicha modlitwa plebana — owóż wszystko, czém uczczono pamiątkę dziewczyny, umiérającéj z miłości w kwiecie wieku...

* * *

W lat kilka poźniéj, w roku 1829, wracał Maurycy zza Dunaju z wojny tureckiéj. Tam wystawiony na rozliczne śmierci rodzaje; na krzywe szable tureckie, i na straszniéjszą od nich *dżumę;* wszystko przebył szczęśliwie, s honorem, ze sławą! Po drodze nawiédził krewnych swoich we wsi, gdzie poznał niegdyś Handzię. Dowiedział się o jéj śmierci — o przyczynie jéj śmierci — i o rodzicach, którzy nie długo za nią poszli.

Maurycy, w głębokim pogrążony żalu, udał się na cmentarz; wskazano mu grób ojca i matki, we środku był grób Handzi; nad każdą mogiłą wznosił się prosty, biały krzyż drewniany, bez żadnego napisu. Maurycy nié mógł od łez się wstrzymać; ukląkł i modlił się. Na szczycie najwyższego krzyża odzywał się przeraźliwie puszczyk; pod niebem słychać było odlatujące żurawie. Po skończonéj modlitwie powstał młodzieniec, rzucił na około posępném okiem; jakże smutno i głucho! Było to w jesieni! Opuścił cmentarz z jakiémiś trapiącémi myślami, może przeczuwał, że i on smutnie zakończy.

Jakoż w kilka lat potém..... umarł w żalu, w tęsknocie, w ciérpieniach—w wieku nader młodym, z nadziejami, i nie znalazł drugiego serca, któreby go równie kochało.

I. S.

KUKUŁKA.

Podanie gminne Litewskie.

Kukułka, podług podania gminu, najpiérwsze trzyma miejsce między nieszczęśliwémi przeobrażeńcami. Byłato niegdyś córka bogatego litewskiego szlachcica (*bojors*), siostra trzech mężnych młodzianów. Czule kochała swych braci, jedyném jéj zajęciem się było o nich myśléć, ich zgadywać chęci, ich śledzić skinienia. Całe swe życie dla nich poświęcała: tkać szarfy, haftować czapraki, to jéj najmilsza zabawa, to jéj codzienne zatrudnienie. Wdzięczny uśmiéch młodzianów, czułe wejrzenia, były jedyną dla jéj serca nagrodą. Szczęśliwa zoglądania braci, ich spokojnością, ich życiem żyła. Lecz los zawistny nie dał jéj długo kosztować téj słodyczy. Głos wojennéj trąby przebudził spoczynek i wezwał wszystkich Litwinów na pole sławy. Dzielny Kiejstut (1) książę żmudzkiéj ziemi, powiódł swe hufce na pogromienie gnuśnych mnichów, co pod pozorem nawrócenia ich naddziadów do wiary, szukali

---

(1) Litwini, a szczególniéj Żmudzini, wszystkie zdarzenia odnoszą do czasów panowania Kiejstuta. Mężny ten książę i Krzyżacy największą rolę grają wich narodowych powieściach.

własnych korzyści, w imię Śgo Krzyża najéżdżając cudze krainy, łupiąc bogactwa, mordując niedołężnych starców, odrywając dzieci od łona matek, i odznaczając ogniem i mieczem swe barbarzyńskie kroki! Dźwięk żmudzkiego rożka, po odwiecznych rozlégający się puszczach, doleciał do uszu młodzianów.—Wyjechali na wojnę. —Ze łzami pożegnała ich siostra, i jak na prawą Litwinkę przystoi, życzyła zwycięztwa nad nieprzyjacielem.—Skończyła się wojna, pierzchnął za Niemen przeklęty Krzyżak, poszczérbione litewskie pałasze na karkach dumnych zakonników spoczęły w pochwach, wrócili s chwałą rycérze. Lecz gdzież są mężni młodzianie? darmo ich śledzi łzawe siostry oko;—padli na polu walki. Konie ich tylko, pozbawione drogiego ciężaru, przybiegły w domową zagrodę. Stroskana Litwinka po stracie swych braci, opuściła miészkanie ojca, gdzie wszystko przypominało drogie sercu przedmioty, zabrawszy z sobą konie poległych młodzianów, udała się do lasu, aby tam resztę opłakanego dokończyć żywota. Długo się tułała na puszczy, przepędzając dni rospaczy w płaczu i jękach, aż téż najwyższe Bóstwo, ulitowawszy się nad nieszczęsną, przemiéniło ją w *kukułkę*. I odtąd ciągle na wiosnę, w tym czasie kiedy polegli młodzianie, wywiéra żal swój i smutném kukaniem opłakuje zgon braci. Taka jest powieść o kukułce na Żmudzi i w Litwie.

* * *

W litwie na cześć *kukułki* i teraz jeszcze obchodzą święto. Dnia trzeciego Wielkiéjnocy zbiéra się s całéj wsi młodzież do jednego domu, śpiéwa rozmaite pieśni, poczém następuje taniec zwany po litewsku *giaguży*. Tym tańcem przewodzi jedna dziewica (*giegiely*, kukułka), celująca pięknością nad inne. Stawają wszyscy w koło, śród którego, z zawiązanémi oczami, siedzi na krześle bohatérka uroczystości. W tém położeniu pląsają wszyscy. Po każdém przetańczeniu mężczyzni zbliżają się do siedzącéj, i wziąwszy jéj rękę śpiéwają:

Karaluny giegiely kuku, kuku!
Asz tawa brolalys kuku kuku!
Po polsku: Królowo kukułko kuku, kuku!
Jam twój braciszek, kuku kuku!

Siedząca, zgadując po głosie tych, którym najbardziéj sprzyja, wybiéra trzech młodzianów, odwiązuje sobie oczy, i przez cały dzień tańcuje z nimi. Przy rozstaniu się daje im swojéj roboty pstre pasy, młodziany zaś wzajemnie czynią jéj podarunek. I odtąd dziewica młodzianów nazywa swojémi braćmi, a oni ją siostrą.

PIÉRWSZA PRZYGODA WOJENNA.

SPAMIĘTNIKÓW FRANCUZKIEGO OFICERA.

Przybyłem do pułku dnia 4 września wieczór. Natychmiast przedstawiony zostałem pułkowni-

kowi w jego barace. Zrazu przyjął mię wprawdzie nieco zimno i ostro; lecz skoro mu wręczyłem list zalecający mię od jenerała B. zmiénił swoje obejście się ze mną, wyrzekł kilka słów zobowiązujących, i przedstawił mię memu kapitanowi, mężczyznie słusznego wzrostu z wyrazem twarzy dzikim i odrażającym. S prostego żołniérza dorobił się on na polu bitwy szlif i krzyża wojskowego. Głos jego słaby i chrapliwy dziwny spór tworzył z olbrzymim jego wzrostem. Dowiedziałem się, iż kula karabinowa przeszywszy go na wskróś w bitwie pod Jena, nabawiła go chrapliwego głosu. Gdy mu powiedziałem, że przybywam ze szkoły Fontainebleau, twarz mu się przeciągnęła: «Mój porucznik poległ dnia wczorajszego,» rzekł do mnie. Zrozumiałem co chciał przezto powiedzieć: «Na waćpana koléj go zastąpić, a niezdolnym jesteś.» Uszczypliwą uwagę już miałem na ustach, lecz wstrzymałem się.

Wielki i czerwony, jak zwykle przy wschodzie, wznosił się księżyc w pełni w stronie reduty Cheyerino, oddalonéj od naszego stanowiska na dwa strzały działowe. Jednakże tego wieczora wydawał mi się większym niż zwykle, a przez chwilę na jasnéj jego tarczy odbijał się czarny szaniec reduty, podobny do krateru wulkanu, w chwili gdy ogniem wybucha. Jeden ze starych wiarusów uważał ten kolor księżyca: «Coś on czerwono wschodzi!» zawołał, «dużo ona krwi

kosztować będzie, ta przeklęta reduta!» Ja, który zawsze byłem dosyć zabobonnym, usłyszawszy tę wieszczbę do żywego przerażony nią zostałem. Układłem się na ziemi, lecz nié mógłem usnąć. Wstałem znowu, i dosyć długo chodziłem po obozie, przypatrując się niezmiernéj linii ogniów, rozłożonych na czatach, które się ciągnęły na wzgórzach po drugiéj stronie miasteczka Cheverino. Kiedym już czuł, że świéże, ostre powietrze nocne ochłodziło wrzącą krew moją, powróciłem do ogniska, zawinąłem się z głową w płaszcz széroki, i zamknąłem oczy w nadziei, że nie prędzéj aż nazajutrz znowu je otworzę. Ale sen nie był mi posłusznym. Nieznacznie i mimowolnie wszystkie moje myśli żałobną przybrały barwę. Powiedziałem sobie, że ani jednego nié mam przyjaciela między stoma tysięcami ludzi, którzy okrywają tę płaszczyznę. Jeżeli zostanę ranionym, oddadzą mię do nędznego szpitala w ręce nieumiejętnych felczerów. Wszystko, co tylko o chirurgicznych słyszałem operacyach, przesunęło się przez moją wyobraźnię. Serce biło mi przemocnie, machinalnie prawie rospostarłem, jak pancérz jaki, chustkę i pugilares, które nosiłem na piersiach. W końcu pokonany sił wycieńczeniem, co chwila zasypiałem, i co chwila stawała przedemną jakaś myśl okropna, i budziła mię przestrachem. Tymczasem znurzenie przemogło wszystkie mary; kiedy bowiém uderzono pobud-

kę, byłem w śnie najtwardszym. Żołniérze stanęli w széregi, odczytano *apel;* poczém broń złożono w kozły, i wszystko zapowiadało, że dzień będzie spokojny.

Koło 3ciéj godziny przybył adjutant z rozkazem. Kazano się nam wziąść do broni, nasi tyralierowie rozsypali się na płaszczyznie; kolumny nasze powoli posunęły się za nimi, a po upływie minut 20stu ujrzeliśmy, jak prędnie nieprzyjacielskie straże cofnęły się do reduty. Jedna bateryа stanęła na prawém, a druga na lewém naszém skrzydle, jednakże obie w znaczném oddaleniu przed nami. Miotały one nieustanny ogień na nieprzyjaciela, który odpowiadał z równąż dzielnością; nie długo trwało, a reduta Cheverino zniknęła w gęstym obłoku dymu. Pułk nasz zupełnie był zakryty przed ogniem nieprzyjacielskim; kule przenosiły nas, lub najwięcéj, jeżeli zasypywały nas ziemią i drobnémi kamykami. Jak tylko wydano nam rozkaz posunienia się naprzód, kapitan mój takiém wpatrzył się we mnie okiem, że z marsową miną, musiałem pokręcić młode moje wąsy. W rzeczy saméj nie obawiałem się niczego, prócz tego, aby ktoś sobie nie myślał, że nié mam odwagi. Te kule, które bez szkody przelatywały nad głowami naszémi, przyczyniły się, iż nie traciłem na chwilę bohatérskiéj mojéj spokojności. Moja miłość własna szeptała mi, że nie na lada narażam się niebespieczeństwo, kiedy wystawiony jestem na ogień całéj bateryi. Unosiłem się już tą myślą,

że w tak wygodném miejscu wszystko pokonam, i poiłem się w duchu roskoszą, że będę mógł wzięcie reduty Cheverino opowiadać w salonie pani B. *rue de Provence.*

Pułkownik przechodził koło naszéj kompanii, i do mnie obrócił się s témi słowy: «Dziś, przy piérwszym wstępie swoim na scenę boju, zobaczysz waćpan jak nie jeden obok niego koziołka przewróci!»

Uśmiéchnąłem się nato obojętnie, strzepując z rękawa mego munduru piasek, którym mię osypała kula, o trzydzieści kroków w ziemię zanurzona. Zapewne w téj chwili poznali się nieprzyjaciele jak mało dobrego skutku sprawiały ich strzały, albowiém działa zamiénili na moździérze, s których nas łatwiéj w nizkiém miejscu gdzieśmy stali, razić mogli. Spory kawał bomby zerwał mi z głowy kaszkiet, i ubił obok mnie żołniérza. «Winszuję waćpanu,» rzekł do mnie kapitan, kiedym swój kaszkiet z ziemi podnosił; «dziś waćpanu nic nie będzie.» Znałem wojskową jego zabobonność, która tego trzyma się zdania, iż axioma *non bis in eidem*, równie dobrze zastósować się daje na polu bitwy, jak w trybunale. Ze śmiałą dumą znowu włożyłem swój kaszkiet na głowę, i rzekłem najweselszym tonem na jaki zdobyć się mógłem: «Zaiste byłto pokłon bez wszelkiéj ceremonii.» Ten nie najlepszy dowcip w położeniu naszém z oklaskami był przyjęty. «Życzę waćpanu szczęścia,» zawołał kapitan;

» dziś już niczego nié masz się obawiać, i owszém dziś wieczór kompaniją dowodzić będziesz; bo ja czuję to dobrze, że dziś na mnie przyszła kryska. Ile razy raniony byłem, zawsze któryś z obok mnie stojących żołniérzy kontuzyi dostawał, i, « dodał scicha i z zawstydzeniem, «nazwiska ich zawsze zaczynały się od litery P. » Udawałem zucha; co wielu zrobiłoby w mojém miejscu; wielu podobnie jak ja byłoby przejętych i wzruszonych tą wieszczą mową. S tém wszystém, czułem to, iż zwrażeń swoich nikomu nié mógłem się był zwiérzać, i ciągle musiałem okazywać krew zimną i odwagę.

W pół godziny ogiéń ze strony nieprzyjacielskiéj znacznie ustawał, natychmiast wyszliśmy z naszéj kryjówki i posunęliśmy się ku szańcom reduty. Pułk nasz składał się s 3ch batalionów; drugi otrzymał rozkaz, rzucić się w stronę, s któréj był przystęp; dwa inne miały rospocząć attak. Ja znajdowałem się w trzecim. Wyszedłszy s po za wału, który nas zasłaniał, nieprzyjaciel powitał nas ogniem karabinowym, który wszakże nie wiele szkody zrządził w naszych széregach. Świst kul przeraził mię; kilka razy obejrzałem się, i to mi ściągnęło przycinki niektórych towarzyszy, lepiéj niż ja s tym świstem obeznanych. «Wszystko to, wziąwszy razem,» rzekłem do siebie, » bitwa wcale nie jest rzeczą okropną!» Krokiem do ataku posuwaliśmy się naprzód, przed nami

byli tyraliery; nagle ze strony nieprzyjacielskiéj zagrzmiało troje Hurra! troje wyraźnych, okropnych Hurra, i znowu nastała głęboka cisza bez żadnego wystrzału. «Nie lubię takiego milczenia,» rzekł mój kapitan, «nic ono nam dobrego nie wróży.» Uderzyło mię, że nasza wiara za nadto wiele robiła hałasu, nawet nié mógłem się wstrzymać, abym w duchu nie zrobił porównania między ich nieswornym wrzaskiem, a nakaźném milczeniem nieprzyjaciela. Piorunem dotarliśmy do reduty. Już kule nasze pogruchotały palisady, ziemia do koła była nimi zoraną. Żołniérze nasi weszli już w te nowe ruiny, i z największą rzucili się zapalczywością.

Tu podniosłem oczy — o, nigdy ta chwila nie wyjdzie z mojéj pamięci! Większa część dymu wzbiła się w górę, i na dwadzieścia stóp nad redutą, jak baldakin zawisła. Przez mgłę niebieskawą można było rospoznać nieprzyjacielskich grenadyerów, ukrytych za szańcami, pół zgiętych, z wzniesioną bronią, i nierochomych jak posągi. Dotąd jeszcze zdaje się mi, że widzę każdego pojedyńczo s tych żołniérzy, jak lewém okiem wpatruje się w nas nieruchomie, a prawe przyłożonym do piersi karabinem zakrywa. Tam, w strzelnicy o kilka kroków przed nami stał żołniérz przy dziale, s palącym się lontem w ręku. Wzdrygnąłem się, myśląc, że to już moja ostatnia wybiła godzina. «Teraz dopiéro zaczyna się taniec,» za-

wołał mój kapitan, «dobra noc!» i to były ostatnie jego słowa.

Grzmot bębnów rozlégł się na szańcach, widziałem jak wszystkie zniżyły się bronie, zamknąłem oczy, i usłyszałem okropny ryk dział i karabinów, po którym przenikające nastały jęki. Zdziwiony jakim sposobem znalazłem się jeszcze na tym świecie, otworzyłem oczy, lecz widok jaki mię otoczył, był najokropniéjszy! Znowu tuman dymu okrył całą redutę, stałem po środku stosu ranionych i zabitych, kapitan u nóg moich leżał bez ducha, kula głowę mu strzaskała, a mózg i krew jego zbryzgały mię całego. S całéj mojéj kompanii nie zostało się więcéj jak sześciu ludzi i ja między nimi.

Po téj rzezi nastała chwila ponuréj, martwéj ciszy. Pułkownik, na szpadę zatknąwszy swój kapelusz, piérwszy wdarł się na szaniec, a wszyscy, którzy przy życiu zostawali, poszli jego przykładem. O tém, co się potém stało, wyraźnego nie mam pojęcia; wdarliśmy się na szaniec, nie wiém jak i kędy. Mąż ściérał się z mężem w tak gęstym dymie, że jeden nie widział drugiego. Zdaje mi się, że walczyłem równie jak drudzy, gdyż moja szabla krwią opłynęła. W końcu usłyszałem okrzyk zwycięztwa, a kiedy się chmura dymu podniosła, widziałem tylko krew i trupy, s pod których ziemi nie widać było. Działa najwięcéj otoczone były trupami. Koło dwieście żołniérzy we francuzkich mundurach zebrało się razem, bez

żadnego porządku; jedni nabijali karabiny, drudzy ze krwi ociérali bagnety; w środku nich było 11stu jeńców. Pułkownik, nużając się we krwi, leżał na połamanym wozie prochowym, przy samym wyłomie; kilku żołniérzy otoczyło go. Zbliżyłem się ku niemu: «Gdzie jest najstarszy kapitan?» zapytał jednego s podoficerów. Ten wzruszył ramionami, dając poznać najwyraźniéj stan rzeczy. «A najstarszy porucznik?» — «Oto, ten pan, który wczoraj do nas przybył.» Pułkownik uśmiéchnął się gorzko. «No, panie poruczniku,« rzekł do mnie, «waćpan jesteś tu naczelnie dowodzącym, rozkaż natychmiast wnijście do reduty zatarasować wozami; albowiém nieprzyjaciel jest w przewadze!» — «Panie pułkowniku,» rzekłem, «ciężko jesteś raniony.» — «Bierz djabli, mój przyjacielu, kiedy wzięliśmy redutę!»

—*****—

POŻAR
W KONSTANTYNOPOLU.

Jadąc gościńcem z Bujukdere, w towarzystwie Turka, który mi za przewodnika służył, ujrzałem łunę płomiéni, które o milę, przed nami wybuchnęły s kłębami dymu. Byłto właśnie początek

pożaru. Płomienie, jak końskie grzywy, rozdymały się wichrem s ponurych domów. Pospieszyłem czém prędzéj w tę stronę, dla przypatrzenia się czynności zapobiegliwéj tureckiéj policyi, któ-ra w podobnych razach całą swoją sprężystość rozwijać zwykła. Tém bardziéj, gdy nieukontentowanie mieszkańców Konstantynopola, i ruch w umysłach s powodu niepomyślnéj wojny w Egipcie, obudzały podejrzenie, jakoby s politycznych powodów miał ten pożar wybuchnąć, i że krwawe sceny gotują się pod kłębami dymu. Zjęty ciekawością, chciałem z bliska być świadkiem wszystkiego; to przekonało mię, że ciekawość najprędzéj zapominać każe o niebespieczeństwie; na wszelki téż przypadek, gdyby Turkom przyszła chętka ucinać sobie głowy, mógłem z daleka i na górze być widzem téj rzezi, nie dzieląc niebespieczeństw onéj. Łuna płomieni to znikła mi s przed oczu, to pokazywała się s ponowioną siłą, podług tego, jak moja droga, wijąca się w labiryncie pagórków, to spuszczała się w nizinę to wspinała na górę. Po dwóch godzinach jazdy minąłem płaszczyznę *Słodkiéj wody* i zwaliska zamku *Wlacher*, i przez *Egri-kapissi* dotarłem do miejsca pożaru, który się już był podsunął pod ogromny meczet, znany pod nazwą: *Meczetu zdobywcy* (Muhameda II.) Na dziedzińcu meczetu stał stary seraskier Chosrew-pasza, otoczony gronem ministrów, piérwszych osób państwa, i licznym orszakiem oficerów; wszystko krzątało

się pilnie. Rozebrano kilka domów, chcąc wstrzymać dalszy postęp ognia. Ale najbliżéj leżąca ulica paliła się już po obu pirzejach; rozbujany żywioł, jak wezbrana rzéka, rozlał się na wszystkie strony, tak dalece, że nawet najśmielsi *tułumbadzisowie* (urzędnicy ogniowi) nie odważali się do gaszenia przystąpić. Już prawie przeszło 500 domów stało się pastwą płomiéni, a drugie tyle zajmowało się na nowo; cała dzielnica podobną była do stosu drzew s trzech stron podpalonego. Tamto oczy moje patrzały na sceny, które całemu obrazowi tém większéj dodawały grozy. Przed séraskiera przyprowadzono 3ch ludzi, schwytanych jako podpalaczy. Czyto oni piérwsi wzniecili pożar, czytéż korzystając ze wznieconego, mieli zamiar podkładaniem ognia na innych miejscach rozszérzyć takowy, aż do środka miasta, tego żadną miarą dowiedziéć się nié mógłem s krótkiego śledztwa, jakie seraskier z nimi odbył. Znaleziono przy nich żagwie (palne materye) i pakiety z luntami, jakich używają zwykle podpalacze tureccy, rzucając takowe do niezamiészkałych budynków, skąd najczęściéj ogiéń się wszczyna. Ze skrępowanémi rękami i nogami leżeli przed seraskierem na ziemi, błagając głosem rospaczy i uniewinnienia o łaskę dla siebie. Znajomy mój, turecki oficer, zbliżył się do mnie i zapytał: czyli wiém jaki ich koniec czeka? «Łatwo odgadnąć,» rzekłem, widziawszy krew zimną seraskiéra, i sposób w jakim tę rzecz przyjmował. «Znanaż

jest waćpanu ich zbrodnia?» — «Zapewne musieli ogień podkładać.» — «Zdaje się, lecz» tu szepnął mi do ucha, «czasami potrzeba dwóch lub trzech niewinnych niewolników wrzucić w płomienie, aby prawdziwych podpalaczy trwogą nabawić i zamknąć usta tym miészkańcom, których domy stały się pastwą pożaru. O! nasz seraskier-pasza rostropny to człowiek!» Podobne rysy sprawiedliwości tureckiéj często obijały się o moje uszy; a séraskier tylekroć razy miał już sposobność dać dowody wygórowanéj przebiegłości swego administracyjnego talentu, żem zadrżał na tę myśl samą, że narzędzia jego polityki najniewinniéjszymi mogły być ofiarami. Tymczasem na wszystkie strony wysłał seraskier adjutantów s poleceniami, a postrzegłszy, że tłumy ludu coraz więcéj zbiérały się koło niego, roskazał pachołkom swoim rospędzać lud kijmi, a na wszelki przypadek ściągnąć dwa bataliony regularnego wojska. Potém, niby dając jękom oskarzonych powolne ucho, skinął, aby im obnażono ręce, dla przekonania się, czyli na ramionach nié mieli znaków jańczarskiéj *orty*. U dwóch znaleziono to nieszczęśliwe znamię. Seraskier żartował sobie z nich do woli, dodając: «Zapewne odkąd wam *oczaku* nie stało, tak ostygliście w odwadze, że teraz choć w upały chcecie się zagrzać przy pożarze.» Nielitościwy ten przycinek séraskiera na tém się zasadzał, że *oczak* po turecku znaczy: ognisko lub komin,

a oraz, że tém mianem oznaczali jańczarowie swój związek. Dzieci Chadzi-Bektaszy poznali teraz, że ich los już się roztrzygnął. Nieszczęście wlało w nich dumę i tęgość charakteru starych jańczarów. Miasto jęków i narzekań wyzionęli przekleństwa na seraskiera i sułtana, wzywając s fanatycznym zapałem imienia *Allaha* i proroka. «W ogień z nimi!» krzyknął Chosrew, i natychmiast nieszczęśliwi ci, związani razem, zawleczeni zostali do gorejącego domu w pobliżu, gdzie ich wrzucono w płomienie. Ostatnie ich jęki pośród trzasku walących się budynków, szumu płomieni i wichru, nie doleciały więcéj naszego ucha. Trzeciego kazał szeraskier zaprowadzić do więzienia, gdzie turturami miano wycisnąć na nim nazwiska innych podpalaczy. Jak wiadomo, w Konstantynopolu odkrywają częstokroć całe szajki podobnego rodzaju złoczyńców, którzy służą za narzędzie do okazania nieukontentowania ludu, lub jakiegobądź stronnictwa, a których fanatyzm wszelkie przechodzi wyobrażenie. Zdarzały się przykłady, że wielu z nich, ścigani będąc przez zbirów policyjnych, sami się we wzniecony przez siebie ogień rzucali. Wykrywano nie raz i inne jeszcze niegodziwości: ludzie, przeznaczeni do gaszenia, bywają niekiedy członkami sprzysiężenia, a wtedy, jak mię zapewniano, ostatni ci zamiast wody, używają do sikawek oleju lub innych palnych materyj. Przypadek ten zdarza się naj-

częściéj, jeżeli ogiéń ma być tłumaczem niemego nieukontentowania z rządu, z ministrów lub z wewnętrznéj i zewnętrznéj polityki dywanu. Podczas wyprawy Napoleona do Egiptu, gdy Selim nie chciał Francyi wypowiedziéć wojny, przez trzy noce ciągiem wielki pożar wybuchał w Konstantynopolu. Lud się obawiał, aby święte miasta Mekka i Medyna nie wpadły w ręce niewiernych, i niechętny był Selimowi, który nie ciągnął w obronie grobu proroka. Wtedyto pewna niewiasta z najniższéj klassy ludu, po drugim pożarze, spotkawszy Selima, i poznawszy go mimo że był przebrany, zawołała doń: «Naco czekasz Padyszachu, czemu nie każeżto *giaurów* mordować, chcezeszli, abyśmy popalili się wszyscy?» To otworzyło Selimowi oczy i wyjaśniło przyczynę pożaru, któréj podli dworacy odkryć mu nie śmieli. Nazajutrz wielki wezyr Jezet Mehmed pasza, który nie chciał wojny przeciw Francyi, a tém samém przymierza z Anglią, został zrzucony z urzędu, a z nimi i mufty, który również nie przystawał na wypowiedzenie téj wojny; albowiém podług ustaw mohametańskich, ani wojna wypowiadaną, ani pokój zawiérany z niewiernymi być nie powinien. Obrano zatém innego muftego, pod tym warunkiem, że Francuzów ogłosi za nieprzyjaciół Islamizmu; i od téjto chwili Selim użył stanowczych przeciw Francyi kroków. Pełnomocnika jéj, republikanina Ruffin, wtrącono do *Sie-*

dniu wież, i więcéj niż 1,000 w Pera mięszkających Francuzów zamknięto na lat 4ry w admiralicyi i w twiérdzach Bosforu, co wszystko stało się w skutek pożarów i przez śmiałość jednéj tureckiéj niewiasty.

Upadkowi Selima, wyniesieniu na tron Mahmuda, zniszczeniu janczarów; słowem, wszystkim wielkim wypadkom w Turcyi zawsze towarzyszyły pożary, niby ognie sztuczne w dniach uroczystych; tak, że chronologija konstantynopolskich pożarów mogłaby posłużyć za skazówkę w politycznéj historyi Państwa Ottomańskiego, i za termometr stanu umysłów podczas każdego panowania. W dzisiejszych nieporozumieniach sułtana s paszą Egiptu, i w chwilach, kiedy zachwiana potęga piérwszego, za pośrednictwem chrześcijańskich mocarstw utrzymaną została, biédnym mieszkańcom stolicy wyprawiano jedne po drugich iluminacyjne. Pożar, na który teraz patrzałem, był piérwszym ze cztérech ogniów, które w przeciągu roku 1833 więcéj niż 20,000 domów obróciły w perzynę.

Kilka chwil jeszcze miałem pociechy patrzéć na zimną krew séraskiera, z jaką wydawał rozkazy po spaleniu janczarów, poczém wzięła mię ciekawość udać się ku innéj stronie, gdzie szérokość ulic z najpomyślniéjszym skutkiem dozwalała działać sikawkom. Domy wypróżniły się, rodziny pouciekały do innych dzielnic miasta, a Turczyn-

ki, korzystając s téj sposobności, porzucały swoje *haremy* w rannem negliżu, lekko obrzuciwszy się płaszczem, i bez zasłony na twarzy. Niech kto nie myśli, aby pośród tego zamieszania okazywał się jaki rodzaj trwogi, lub rozlégały się jęki rospaczy. Więcéj tam było wesołych, niż scen okropnych, i wszystko przekonywało, że widok pożaru dla Turczynek był rzeczą wcale nie nadzwyczajną. Zdaje mi się nawet, że większa część onych cieszyła się tą kilkodniową swobodą, trwającą zwykle, pokąd ich mężowie nie obmyślą im nowych mieszkań, czyli nowych więzień. Przepomniałem nadmiénić, że w Konstantynopolu rzadko kiedy można majątek stracić przez pożary; wszyscy bowiém mieszkańcy tego miasta posiadają nadzwyczajne doświadczenie, i umieją s całą muzułmańską krwią zimną, mienie swoje ratować. Dla tego też Turcy w domach swoich żyją jakby w podróży; prócz sof, sprzętów nie używają żadnych; suknie utrzymują zwykle w lekkich skórzanych tłumoczkach, podobnych do juków; naczynia stołowe, rozliczne drobiazgi, książki, obrazy, zwierciadła, słowem, cały kram, którym Europejczyk zastawia swoje mieszkanie... są rzeczmi bez jakich Turek się obchodzi. Widziałem bardzo znakomitych *efendych*, którzy z dwoma cybuchami w ręku i kapczukiem u pasa szli za tragarzem, niosącym na grzbiecie cały dobytek *efendego*, zacząwszy od galowego turbana, aż do staréj jego poduszki. W bliskości poważnego or-

szaku *efendych*, Turczynek i tragarzy, postrzegłem grupę, złożoną s kilku starych Osmanów i z niższych urzędników straży ogniowéj; żywa, lubo stłumionym głosem toczyła się między nimi rozmowa, niekiedy gniéw wybuchał, niekiedy nastawała milcząca obojętność, skupiano się, rosprawiano i patrzano na ogiéń, niespokojnym, bolesnym wzrokiem. Zbliżyłem się do nich i osobliwszą usłyszałem rozmowę: Bylito właściciele domów, którzy na wszystko zaklinali owych urzędników, aby nieśli pomoc ich domom, zaco ofiarowali im hojną nagrodę. Jeden s *tułumbadzych*, poprawiwszy swoją osmoloną brodę, odpowiedział z ormiańską flegmą: «Niepodobna!... « Teraz przystąpiono do traktowania. Turcy, po kilku słówkach między sobą, ofiarowali komendzie 40 kies, czyli 20,000 piastrów, a *tułumbadzy* powtórzył swoje: «Niepodobna!» Żałowałem, żem nié mógł przypatrzyć się lepiéj wszystkim ruchom téj giełdy ogniowéj; położenie właścicieli domów obchodziło mię z bliska. Wszystkoto załatwioném zostało gotowémi pieniędzmi; w podobnych razach kredyt miejsca miéć nié może; o ile sądzié mógłem, żądania komendy tém więcéj szły w górę, im więcéj zbliżały się płomiénie do domów onych właścicieli; przyczém poznać było wyraźnie, jak ludzie do sikawek użyci instynkownie pojmowali stan układów swoich towarzyszy i bardzo leniwo gasili pożar. W końcu, kiedy już płomiénie zaczęły się czépiać po dachach

domów, właściciele onych uczuli konieczność odpowiedzieć wymaganiom *tułumbadzych*, kiesy zostały przyniesione, pełnémi garściami wytrzęśnięto z worków pieniądze, i ugoda stanęła. Teraz wszystko inny przybrało kierunek; straż ogniowa w oczach moich dokazywała cudów zręczności. Pięciu czy sześciu rzuciło się z bosakami i siekiérami na ostatni dom, który się zajął, gdy tymczasem drudzy z nich przybieżeli z sikawkami i dostarczali wody; inni znowu zajęli się zszywaniem mnóstwa starych kobierców, s których utworzyli wielką kotarę, czyli zasłonę. W kilku minutach został dom rozerwany, a całą massę wody obrócono na miejsce rozebranego budynku. Kotara s kobiércami zasłaniała cały bok sąsiedniego domu, który w skutek gorąca zaczął się już pękać. Natychmiast część sikawek skierowano na kotarę, którą nieustannie zléwano, resztę zaś wymierzono na płonące części. Wysoko w powietrzu spotkały się płomienie z wodą, i w jedną stronę pędem wichru uniesione, wyprawiły walkę, stawiającą obraz fantastyczny, który przypominał smoki i potwory w oryentalnych powieściach.

Prawie całe ćwierć godziny trwały niezmordowane usiłowania *tułumbadzych*, pokąd nie stali się panami rosbukanego żywiołu, i nie przeszkodzili jego szérzeniu się ku stronie najwięcéj zagrożonéj przez ciąg wiatru. Kiedy już zawaliły się szczątki ścian dogorywających budynków, otwo-

rzyła się oczom naszym wielka przestrzeń, kędy jeszcze tylko pod gruzami dotléwały belki domów. Sikawki prawie całą godzinę pracowały z natężeniem, zaléwając całą przestrzeń, a tém samém zapobiégając szérzeniu się pożaru, któryby za najpiérwszym wiatrem pobliskie domy ogarnął. W ogóle, przez trzy godziny trwającego ognia, nawet bez wielkiego wiatru, zgorzało około 1,200 budynków, tak, że wyjąwszy nie wielkie kupki gruzów kamiénnych, s całéj dzielnicy nie zostały tylko popioły.

ZBÓJCY W GÓRACH KALABRYJSKICH.

POWIEŚĆ Z DZIEŁA ALEKSANDRA DUMAS.

Wiesz ty, co s téj się monady w byt życia wykole?
Cherub, czy gadzina?
Trucizna, czy jagoda pożywna?...

I.

CHERUBINO I CELESTINI.

Co tobie, mój zacny czytelniku, teraz opowiadać myślę, nic nie jest więcéj, jak tylko scena zbójców. Jeżeliś ciekaw, trudu nie żałuj i pójdź ze

mną. Powiodę cię na miejsce zdarzenia, i z duszy rad będę, jeżeli cię obrazem z natury na jaką chwilę zabawić zdołam.

Jesteśmy w Kalabryi. Widzisz tam w owém tle czystego błękitu szaro-siniawą barwą odcienione Apeniny? Widzisz te spiętrzone szczyty, na których słońce ostatnim złoto-krwawym promiéniem kona? Ku tym odwiecznym olbrzymom chciéj się zbliżyć ze mną. Wejdźmy na to przedmurze Apeninów, na ten skalisty w dolinę bieżący wyskok; a skoro na jego wiérzchołku staniemy, ujrzysz stamtąd na lewo Cosenza, na prawo St. Lucido, a w niejakiéj oddali w przedsób ci będzie wężem bieżąca droga, którą się skalista, sroma góra, jakby jasnym pasem, aż pod samą szyję po obu bokach pięknie opasała. Patrz tylko dobrze, a nim zmrok ciemniéj spadnie, ujrzysz tam po téjże wzmiankowanéj drodze czerwone, mykające płomyki, jest ich wiele, wiele — są to rozłożone ognie; a te ciemne postacie, miejsce około nich zabiérające, są zbrojni żołniérze. Wyszli oni na polowanie słynnego zbójcy. Giacomo imię jego; przewodnik śmiałéj bandy. Mieli właśnie z nim żywą rosprawę, noc ich ubiegła. Jakkolwiek waleczni, ważą męztwo śmiałych, i nocy się nie zwierzają; bo straszne dla nich debry, parowy, i przepastne gór beskidy; w bój nowy krzepią jadłem i napojem siły, czekają wschodzącego słońca.

Nim to, które teraz tak pięknie umiéra, w óstatnim swym promyku za górami zgaśnie; schyl spieszno w dół głowę, i ztąd, s téj skalnéj, przepaścistéj krawędzi, puść spojrzenie w prostopadłym kierunku w tę głębią, która pod tobą przynajmniéj na 20 stóp najéża się słupem góry, z głębszéj jeszcze przepaści idącéj. Jest na niéj płonina, otoczona stérczącémi skałami czerwoniawéj barwy, korkowém, żółtém, pokurczoném drzewem, zielonémi dęby, ubramowana. Na téj płoninie ujrzysz naprzód cztéry dzikie postacie, które się około ogniska przysposobieniem wieczerzy krzątają; jestto, jak w téj okoliczności, prawdziwa żertwa podziemnym bogom poświęcona! W téj chwili właśnie ćwiertują jagnię i nakładają niém kociołki; innych cztérech, krągło usadowionych, ciska sobie w twarz pięściami, s których chyżym mygiem różna liczba palców wytryska; jestto gra pod włoskiém niebem na zabicie nudów bardzo zwyczajna (1), zwie się *mora*. Dwóch dalszych stoi na czatach; gdybym ci nie rzekł, że to są ludzie, rzekłbyś, żeto są dwa w ziemię wryte, ze skały wyciosane posągi. W pobliżu, tam, gdzie już skała nie tak bardzo naga, pod tą bujną, dziką winoroślą, siedzi miła postać matko-dziewicza; jestto niewiasta, która do piersi tuli uśnięte dziécię swoje, jéj oczy spoczywają na słodkiém licu

(1) Grający zamyślają sobie pewną liczbę, i razem krzyknąwszy, każdy okazuje chyżo tyleż palców.

jego s taką tęsknotą, jakby w uroczym uśmiéchu jego chciała wyczytać te sny rajskie, które z sobą na ten padół grzéchu nieświadomie z dalekich stron przyniosło!... Powietrze przeléwa się błogim strumieniem, wietrzyki niosą woń najprzyjemniéjszą, wyssaną z dolin bujno-kwiecistych; natura staje się coraz bardziéj milczącą; głucha cichość széroka zalega, i tylko kiedy niekiedy brząknie chrząszcz złotawy, który pod włoskiém podniebiem zdaje się miéć lot melodyjny. W czarno-zielonéim tle utonęły wszystkie przedmioty, ale gdzie niegdzie przecież je wyszczególnia księżyc, który się złoto-srébrnie na ciemnym błękicie wykroił. Jestto uroczysta chwila duchów! Sny — marzenia — zamiary — zbrodnie — wszystko to, szary płaszcz nocy pokrywa, aż je kiedyś dnia oko wyjaśni.....! Ale cóżto za postać atletyczna? ta, co tam w cieniu, na uboczu, tam gdzie darń cokolwiek bujniéjsza, ostatnim narzutem ziemi grób ukończa?... Jestto zbójca Giacomo, owa zaś niewiasta, jego kochanka; a ci, którzy na czatach stoją, ci, którzy w nudę grają, i ci, którzy wieczerzą się trudnią, są to dzicy gór i lasów kalabryjskich synowie, których on swoją bandą nazywa —; a tenże w grobie spoczywający? Jestto Hieronimo, namiestnik dowódzcy: właśnie co dopiéro miał to szczęście być od kuli powitanym, a przezto samo i od szubienicy oswobodzonym; nie tak pięknie dopisał los przebiegłemu Antonio, co był drugim podporucznikiem, którego

żywcem złapano; nie jest on w najlepszym humorze, i jak on wilk w jamie, oczekuje—stryczka.

Znasz już tedy, mój czytelniku, i ludzi i miejsce i okolicę i okoliczności. Posłuchajże, co daléj opowiadać będę:

Gdy Giacomo pogrzéb ukończył, wypadło mu z rąk grobowe narzędzie, którego w ostatnią cześć ku zmarłemu, uroczyście użył; poczém ukląkł pobożnie na świéżéj mogile, i wsiąkł kolanami w piasek. W modlącéj postawie i bez ruchu zostawał blisko ćwiercé godziny, wydobył z zanadrza srébrne serce, czerwoną wstążką na szyi zawieszone; na niém było wyobrażenie Najświętszéj Panny z dziécięciem Jezus; ucałował je trzykroć serdecznie i z westchnieniem, jak na bandytę przystało; podniósł się, i zwiesiwszy głowę, szedł chwiejącym krokiem i z załamanémi ramiony oprzéć się o ścianę skały, która w niebo pionowo rosła... To miejsce, na którém teraz stanął, zajął Giacomo s taką ostróżnością, s takim smutkiem, i tak cicho, że go nikt s czeladzi jego nie spostrzegł. Ta nieuwaga straży nie zgadzała się zapewne s karnością, ustawami naczelnika zaostrzoną, bo okropnym wzrokiem potoczywszy, brwi dziko ściągnął, i czoła strasznie namarszczył, i wyrzekł przekleństwo, na któreby same nieba zadrzały: «*Sangue di Christi.....!*»

Ci, którzy się ćwiertowaniem jagnięcia zajmowali, padli na kolana, jakby ich kto potężnie

kijem zmierzył; graczom strętwiałą ręka w powietrzu, a obie straże, tak się szparko obróciły, jak owe łontki, które ktoś jedną sprężyną pociągnie; niewiasta zadrzała, a dziécię zapłakało.

Giacomo zaiskrzył oczy; i uderzył nogą o ziemię: «Maryo, utul mi dziécię!» zawołał przytłumionym, lecz strasznym głosem.

Marya rostwiéra spieszno szkarłatną, złotem przerabianą sznurówkę, przytula usteczka swojego pięknego synka do okrągłéj smagławéj piersi, która jest pięknością Rzymianki, i jakby go przeciw komuś broniła, otacza swémi ramiony. Dziécię wzięło pierś, i zamilkło.

Podobał sobie tę pusłuszność Giacoma. Jego rozgniéwane, schmurzone ułagodziło się oblicze, i przecieniło się z dzikiego wyrazu w głęboką smętliwość, która w samym sobie go zatopiła. Jak posąg nieruchliwy trzymał długo w ziemi oczy; razem, ocknął się, i dał znak ręką, aby każdy robił swoje.

«Już grać nie będziem,» rzekli jedni. — «Już jadło gotowe,» rzekli drudzy.

«Dobrze, więc wieczerzajcie!» rzekł im Giacomo. — «A tyż dowódzco?»

«Ja, jeść nie będę.»

«Ja także nie,» rzekł słodki głos niewiasty.

«A to dla czego, Maryo?...»

«Nie jestem głodna.»

Te ostatnie słowa tak były cicho i lękliwie wymówione, że ich wygłosem rosczulił się bandyta,

o ile mu jego dzika natura w to pozwolić zdołała; wpatrzył się w lice kochanki, a potém położył na jéj głowie swoję od słońca ogorzałą prawicę; Marya pochwyciła ją, i do ust serdecznie przycisnęła.

«Maryo, dobrą jesteś.»

«Kocham cię Giacomo.»

«Jeżeli to prawda, nie róbże zwodów, miéj rozum; pójdź, będziemy wieczerzać.»

Marya stała się posłuszną; oboje usiedli przy słomianéj rosciółce, na któréj zastawione były orzechy, chléb, wino, sér kozi, i mięso z jagnięcia, które zbójcy częścią w kociołkach usmażyli, częścią na prysku upiekli. Giacomo dobył noża i widelca s pochwy swego sztyletu, podał je Maryi, sam nie jadł, tylko się posilił zdrojową wodą, któréj u stoku w kubek naczérpnął. Obawa, nie być otrutym przez wieśniaków, którzy mu wina dostarczali, uczyniła go ostróżnym; napoju tego nie używał już od dawna.

Teraz dopiéro wziął się każdy żywo do smacznéj wieczerzy, prócz dwóch na straży stojących, którzy często zwracali głowę, gdzie się odbywała uczta. Z niewysłowioną żądzą spoziérali na łakocie, które, jak śniég od skwarnego słońca, niknęły od gorącego głodu. Im bardziéj zbliżał się koniec wieczerzy, tém większa była ich niespokojność, która się w raźnym ich rąk i nóg ruchu okazywała. Zdawało się, iż więcéj im było w nakaz zwracać baczność na wieczerzę towarzyszy, ani-

żeli na koczowisko nieprzyjaciela, który pod ich nogami rozłożony, na ich życie godził!

Giacomo stał zatopiony w myślach. Na jego twarzy można było czytać, iż w sercu ciężkie dręczyły go przypomnienia. Nakoniec ocknął się i wstrząsł sobą, jakby się tym przypomnieniom już oprzéć nie zdołał. Westchnął głęboko, powiódł dłonią po czole, jakby cóś myślą s przeszłości chwytał, i w te się odezwał słowa:

«Dzieci, posłuchajcie, opowiém wam ciekawe zdarzenie. Zéjdźcie i wy s czatów, już oni o téj porze nie będą nas śmieli niepokoić; zwłaszcza, że im się zdaje, że nas tylko dwóch pozostało. Usiądźcie sobie, i słuchajcie.» Straż nie dała sobie powtarzać zaproszenia, a jéj czynne współdziałanie przy ognisku, sprawiło ruch w uczcie, który już był zaczął ustawać.

«Chceszże, abym ja miejsce ich zajęła?» zapytała Marya.

«Dziękuję ci; nie warto trudu.»

Marya zadrzała i ujęła potajemnie Giacoma za rękę. Ci, którzy się już z wieczerzą uwinęli, szukali sobie wygodnego miejsca do słuchania; ci zaś, którzy jeszcze się nią łakomie trudnili, nagarnęli tyle przed siebie jadła, ile dostać mogli, a to dla tego, aby już o nic upominać się nié mieli. Wszyscy usiedli w półkole, i każdy słuchał następującéj powieści s tą ciekawością, jaką zwykle mają do słuchania opowiadań ludzie bawiący się włóczęgą:

«Byłoto roku pańskiego 1799. Francuzi zajęli Neapol, i zaprowadzili rzeczpospolitą; a rzeczpospolita ze swojéj strony chciała podbić sobie Kalabryę: *per Bacchol* podbić Kalabryę, kraj górałów! nie byłato rzecz tak łatwa, a tém bardziéj dla poganów. Liczne bandy broniły wtedy Kalabryi, jak ją my bronimy teraz; bo te góry są nasze, i — *Sangue di Christi!* wara! nikomu ich sobie odebrać nie damy. Macie wiedzieć, iż za głowę dowódzców była nagroda wyznaczona, jak i teraz za moję; między innémi za głowę Cezarysa wyznaczono 3,000 dukatów neapolitańskich. — Jednéj nocy, przed któréj przyjściem wieczór cały wiele wystrzałów słychać było, jak i dzisiaj zapewne nie mało ich słyszano, dwaj mali pastuszkowie, którzy swojéj trzody w górach Tarzyi strzegli, pożywali swoję chudą wieczerzę przy ogniu, który bardziéj dla odstraszenia wilków, aniżeli dla swojéj wygody nałożyli. Bylito dwaj piękni chłopcy, dwaj prawdziwi Kalabryjczykowie, pół nadzy, zamiast szat, owczą skórą około bioder opasani, sandały na nogach, wstążka z obrazkiem dziéciątka Jezus na szyi — już po całym stroju. Prawie jednego wieku byli obadwaj; ani jeden, ani drugi nie znał swych rodziców; obadwaj byli podrzutkami; jednego znaleziono w Tarencie, drugiego w Reggio, a zatém w oddaleniu o trzy mil drogi od miejca do miejsca; co dowodziło, że jednéj rodziny nie byli. Wieśniacy s Tarzyi,

wzięli ich na wychowanie; nazywano ich *figli della Madonna* (dziećmi Madonny), jak się u nas zwykle podrzutków nazywa. Dano im na chrzcie imię ś.: Cherubino i Celestini. — Ci dwaj chłopcy kochali się s całego serca, bo obadwaj wiedzieli to, i czuli, że są od całego świata opuszczeni, że im nié ma ni ojca ni matki, ni jednéj przyjaźnéj duszy; ci, którzy ich, nibyto na wychowanie wzięli, nie ukrywali przed nimi, że to czynią jedynie dla tego, ażeby sobie drogę do nieba utorowali. Biédne dzieci, nié mając już nic pod słońcem, coby ich uszczęśliwić przynajmniéj lub pocieszyć mogło, kochali się w tym nędznym, siérocym stanie, jak dwaj rodzeni bracia. —Byli oni, jak już mówiłem, do pilnowania trzody w góry wysłani; podzielali się jednym kawałkiem chleba, pili z jednéj czary, liczyli wspólnie gwiazdy po niebie, byli bez troski, i tak szczęśliwi, jakby prawdziwy raj ziemski zamiészkali. Ale nieszczęście i po górach chodzi; w jakąż się pustynię człowiek przed losem skryje?!...

Razu jednego słyszą szelest, obracają się, i widzą człowieka wychylonego s krzaków, który oparty na sztućcu przyglądał się ich ubogiéj wieczerzy... Na zbawiciela! byłato postać spaniała; olbrzym, nie mężczyzna; teraz takich mało. Jakiém rzemiosłem się bawił, to jego powiérzchowność powiadała: miał wysoki, spiczasty kapelusz, z széroką aksamitną taśmą, z dużą, złotą

sprzączką, i z wielą czerwonych i białych wstążek; włosy miał w długie kosy splecione, które po obu stronach twarzy na ramiona mu spadały; duże, złote kolce, obnażoną szyję, kamizolę ze srébrnémi, pukłémi guzikami, których wyrobem sam tylko Neapol się szczyci; aksamitną kurtę, u któréj w dziurkach guzików dwie jedwabne, pąsowe chustki uwiązane były; jego wierna *padrocina* (pas, széroki, skórzany) pełna ładunków, i srébrną blachą zamknięta; krótkie spodnie z niebieskiego aksamitu, pończochy, okręcane wąskiémi rzemykami, do sandałów przymocowanémi; dodajcież jeszcze do tego, com tu wyliczył, na każdy palec pierścień, w każdą kieszeń zégarek, dwa pistolety za pasem, wysadzany sztylet, i duży kordelas u boku, a macie cały ubiór jego... Obadwaj chłopcy spójrzeli na siebie; spod ich wielkich brwi łysnął wzrok pełen znaczenia; postrzegł to zbójca: «Wy mię nie znacie?» — «Nie,» odrzekli dzieci. — «Zresztą, cóż na tém zależy, czy mię znacie lub nie. Synowie gór i lasów są braćmi sobie, a jeden na drugiego spuścić się winien, ja więc spuszczam się na was. Od wczoraj ścigają mię, jak dzikie zwiérzę; jestem głodny i spragniony.» — «Oto chléb i woda,» rzekli mu dzieci. Zbójca usiadł, oparł strzelbę o biodro, nabił ostro pistolety, i zaczął się posilać.

Skończywszy podniósł się: «Jak się nazywa ta wioska, tam, z któréj to światło widać?» zapytał

chłopców, wyciągając rękę w stronę, gdzie był widokrąg najciemniéjszy. Chłopcy, trzymając dłoń nad oczyma, patrzyli dobrą chwilę w punkt oznaczony, wytężyli weń swój wzrok ostro, poczém zaczęli się śmiać obadwaj, że bandyta żart sobie z nich stroił: nic nie widzieli. Obrócili się, aby mu to powiedziéć: już zbójcy nie było. Teraz pojęli, że ich tym wybiegem zwiódł dla tego jedynie, aby przed nimi swój odwrót ukrył.

Chłopcy usiedli znowu, milczeli przez chwilę, a potém naraz spójrzeli na siebie: «Czyś go poznał?» zapytał jeden. — «Poznałem,» odrzekł drugi. Tych kilka słów tak do siebie szepnęli cicho, jak gdyby się obawiali, że ich ktoś dosłyszéć może. — «Bał się, abyśmy go nie zdradzili.» — » Odszedł, słowa nam nie rzekłszy.» — «Nie jest on daleko.» — «Był za wiele utrudzony.» — » Chociaż tak przezorny, już bym go ja, gdybym chciał, wynalazł przecież.» — «Ja także.»

Nastało milczenie. Obadwaj chłopcy nic więcéj o tém nie mówili; ale się podnieśli, i jakby dwa charty zwierzynę wietrzące, puścili się po obu stronach góry, i tropić zaczęli.

Nie upłynęło pół godziny już Cherubino do ognia powrócił; o pięć minut poźniéj siadł przy nim Celestyni: «No, i cóż?...» — «I cóż?...» — » Znalazłem go.» — «Ja także.» — «Za krzakiem oleandru.» — «I pod zachyłkiem skały.» — «Cóż było po jego prawéj?» — «Aloës kwitnący. A co

miał w rękach?» — «Dwa nabite pistolety.» — «Prawda.» — «I spał?» — «Jakby go aniołowie stróże pod swoję świętą opiekę wzięli.» — «Trzy tysiące dukatów!... to mi wiele, wiele pieniędzy; tyle... tyle... ile gwiazd na niebie.» — «Jeden dukat ma w sobie trzy karoliny, a my na cały miesiąc mamy tylko jednę; słuchaj, chociażbyśmy tak długo żyli jak stary Giuseppe, przecież byśmy przez całe życie nasze trzech tysięcy dukatów nie uzbiérali.»

Przez chwilę milczeli obadwaj. Cherubino był piérwszy, który milczenie przerwał: «Musiło być bardzo ciężko zabić człowieka?» — «I dla czegóż ciężko?» rzekł Celestyni; «człowiek i owca, to jedno: człowiek ma żyłę w szyi, byle ją przerznąć, już po nim.» — «Czy dobrze się przypatrzyłeś Cezarysowi?» — «I jak jeszcze; jego szyja była obnażona, jakby się sama na cóś... umyślnie wystawiła.» — «U niego nie byłoby trudno...» — «Bardzo łatwo; rozumié się, byleby nóż był ostry.» To mówiąc, jeden i drugi powiedli palcem po ostrzu swoich nożów; wstali, i nic nie mówiąc, patrzyli sobie przez chwilę w oczy: «I któryż... pociągnie za obudwóch?» rzekł Cherubino, czyniąc pociąg nożem.

Celestyni uzbiérał okrągłych kamyczków, i wyciągnął ku niemu ramię s przymkniętą ręką: «Cet, czy liszka?» — «Cet.» — «Otóż liszka; więc ty?»

Cherubino odszedł, słowa nie powiedziawszy. Celestyni widząc, że odchodzi w stronę, gdzie spał Cezaris, patrzył za nim, aż mu zniknął z oczów; poczém obrócił się, usiadł, i jął dla rospędzenia nudów, uzbiérane kamyczki jeden po drugim rzucać w gasnący ogień. Skończywszy tę zabawkę, stał się bardzo niecierpliwym, przenosił się z miejsca na miejsce, jakby mu niedogodnie siedzieć było.

W kilkanaście minut wrócił Cherubino: »No?» rzekł do niego. — «Nie odważyłem się.« — «Dla czego?» — «Spał z otwartémi oczyma; zdawało się, że te czarne tarki na mnie wyszczérzył.» — «Pójdźmy obadwaj.»

Poszli spiesznym krokiem, lecz wkrótce zaczęli wolnieć. Szli cicho, prawie ziemi nie tykając. Gdy już się zbliżali, przylęgli brzuchem do ziemi, i pełzali, jak węże; podsunąwszy się do krzewu aloesowego, wyciągnęli głowę w górę, jak gadzina łupu upatrująca; przesunęli się przez obwisłe gałęzie, i ujrzeli śpiącego zbójcę na témże samém miejscu, gdzie go piérwéj widzieli. Teraz jeden i drugi we dwoje zgięty jął się podsuwać pod zielone oleandru poddasze. Już są blisko, jeden na prawéj, drugi na lewéj stronie; teraz, trzymając świécące noże w zębach, podnoszą się z lekka i cicho, i uklękają na jedne kolana. Godzina gorąca. Dławią oddéch w piersi, serce im bije mocno. Zbójca zdaje się czuwać, oczy jego są ze wszy-

stkiém otwarte, tylko źrenica mglista, i otrętwiała. Celestyni dał Cherubinowi skinienie ręką, aby uważał pilnie na jego poruszenia. Zbójca, nim się spać położył, oparł swój sztuciec o złom skały, a zamek obwiązał jedwabną chustką. Celestyni rozwiązał ją cicho, i rosprzestrzenił nad głową Cezarysa, jak rosprzestrzenia jastrząb' skrzydła, gdy ma uderzyć w łup upatrzony; a gdy widział, że Cherubini już w pogotowiu, piorunem zakrył nią głowę zbójcy, i krzyknął: «Teraz!!»

Cherubino, jak młody tygrys, rzucił się na gardło zbójcy, który, wydawszy krzyk okropny, porwał się, i śród krwi tryskającéj, potoczywszy się młyńcem, wystrzelił na ślepo s pistoletów, i padł nieżywy na ziemię..... Obadwaj chłopcy padli także, i leżeli rosciągnięci prawie bez duchu. Skoro ujrzeli, że bandyta już się ruszać przestał, podnieśli się, i bliżéj ku niemu przystąpili. Głowa jego trzymała się jeszcze cokolwiek na karku; odjęli ją zupełnie, zawinęli w jedwabną chustkę, a gdy między sobą ułożyli, aby ją każdy jakąś część drogi niósł na przemian, puścili się do Neapolu.

Biegli co mogli, i zawsze kierunek brali ku morzu, które im po lewéj ręce, od księżyca oświetlone, połyskiwało. Skoro dzień rozświtał, ujrzeli Castro-Villari; jednakże z obawy, aby krew ciekąca nie wydała skarbu, który nieśli, lub aby który s towarzyszów Cezarysa nie pomścił się na nich

śmierci wodza swego, postanowili ominąć to miasto.

Tymczasem i głód nadszedł; nowy kłopot. Jeden z nich odważył się pójść po chléb do jakiéj gospody, a drugi miał czekać na niego w górach; ale zaledwie uszedł kawał drogi, już się i wrócił: »A piéniądze?...« Nieśli głowę, która 3,000 dukatów wartość miała, a żaden z nich nié miał ani jednego *bajocco*, za coby sobie chleba kupić mogli. Ten, który niósł głowę, rozwiązał chustę, odjął kólc Cezarysa i dał swemu towarzyszowi. W przeciągu godziny, powrócił wysłaniec, opatrzony chlebem na trzy dni. Podjedli sobie, i puścili się znowu w drogę. Przez całe dni dwa, biegli bez ustanku, mało co spoczywali, i ledwie na kilka godzin, snem się posilali. Ich wypoczynek był jak źwiérząt dzikich; albo w trzciny gąszczu, albo w duple drzewa, albo w skał rospadlinie. Wieczorem dnia trzeciego przybyli do włości Altavilla zwanéj.

Gospoda była napełniona woźnicami, którzy podróżnych do Pestum odwieźli, flisami, którzy rzéką Sela płynęli, i lazzaronami, dla których wszystko było jedno, gdziekolwiek dzień i noc przepędzą. Chłopcy usiedli w kącie, który jeszcze nie zajęty zastali, położyli głowę Cezarysa między siebie, zjedli wieczerzę, jakiéj nigdy w życiu nié mieli, spali koleją, każdy swoję godzinę, zapłacili drugim kólcem, i szli w dalszą drogę nim

jeszcze świtać zaczęło. Około dziewiątéj z rana ujrzeli jakieś miasto na ujściu zatoki; pytali się o nazwisko jego: odpowiedziano im, że to jest Neapol.

Teraz już nié mieli powodu obawiać się towarzyszów Cezarysa, i szli prosto ku miastu. Przyszedłszy do mostu Ś. Magdaleny, zoczywszy straż francuzką, przystąpili ku niéj śmiało, i zapytali po kalabryjsku; do kogoby się udać mieli, aby im wypłacono kwotę, którą za głowę Cezarysa przyrzeczono. Straż słuchała ich z ważną miną aż do końca, poczém pomyśliwszy chwilę, pomuskała wąsy i sama do siebie rzekła: To rzecz dziwna, te chłopaki nie są wyżéj mego tornistra, a już po włosku gadają: «Dobrze już, dobrze, moi mali przyjaciele, wolno wam wejść do miasta.»

Dzieci nie zrozumiawszy, co straż mówiła, ponowili swoje zapytania: «Zdaje się, że mają cóś do powiedzenia, co tylko sam djabeł zrozumié,» rzekła straż mrukliwie, i zawołała siérżanta.

Siérżant, który mówił cokolwiek lada jak po włosku, zrozumiał słów kilka, i domyślił się, że chustka, którą Celestyni w ręku trzymał, głowę Cezarysa zawiérała, i zawołał skwapnie swego oficera. Oficer dał chłopcom dwóch ludzi, którzy ich do pałacu ministerstwa policyi zaprowadzili.

Skoro żołniérze rzekli, że głowę Cezarysa przynoszą, wszystkie drzwi otwarły się przed nimi. Minister chcąc tych walecznych widzieć, któ-

rzy Kalabryę s takiego niebespieczeństwa wybawili, kazał Cherubino i Celestyni wprowadzić do swego gabinetu. Przez długą chwilę przyglądał się obudwom, podziwiał się ich smukłym kształtom, prosto-szczéréj minie, malownemu ubiorowi, oraz ich męzkiemu zachowaniu się; pytał ich po włosku, jakimto sposobem wykonać mogli; oni opowiadali mu swoję sprawę, jakby ona cóś bardzo zwyczajnego była; minister żądał dowodów; Celestyni ukląkł, rozwiązał chustkę, pochwycił głowę za włosy, i położył ją spokojnie na stole przed ministrem. Na to nie było już nic odpowiedziéć, tylko wypłacić summę; zwłaszcza, że głowa była ta sama, którą minister miał w rysunku. Jednakże zważając młodość obudwóch, zaczął im minister przekładać, aby się jakiego rzemiosła uczyli, lub do którego pułku weszli, dodając, że rząd francuzki odważnych i śmiałych chętnie przyjmuje.

Na to przełożenie odpowiedzieli mu wprost i bez namysłu; że rząd francuzki bynajmniéj ich nie obchodzi, że są poczciwi Kalabryjczycy, że ani czytać, ani pisać nie umieją, i że, aby tych się niepotrzebnych rzeczy uczyli, wcale chęci nié mają, że to wolne życie, które dotąd wiedli, nie bardzoby ich do karności żołniérskiéj przyzwyczaiło, i że się nie spodziéwają, aby w sobie jaką zdolność miéć mogli do wykręcenia się z bronią w ręku, to na lewo, to na prawo; inaczéj zaś ma się s trzema

tysiącami dukatów, na to z wielką oczekują niecierpliwością, i czas już, aby im wypłacono. Minister dał im świstek papiéru, zadzwonił na posługacza, i kazał ich zaprowadzić do kassy.

Kassyer wypłacił im summę: obadwaj rosprzestrzenili swoję jedwabną, jeszcze krwią spłukaną chustkę, wsypali w nią trzy tysiące dukatów, a związawszy wszystkie jéj cztéry końce, wyszli drzwiami, które ich na plac *St. Francesco-Nouvo* wyprowadził; nie długo trwało, a już byli na ostatnim końcu wielkiéj ulicy, *Toledo* zwanéj. Ulica *Toledo* jest pałacem gminu. Wzdłuż niéj, jak daleko się ciągnęła, widzieli kupy na słońcu wygrzéwających się lazzaronów, którzy z glinianych talérzów z wielką roskoszą wpuszczali w swoje ogorzałe gęby najsmakowniéjsze *maccaroni.* Ten widok był dla nich bardzo pobudzający, i wzniecił w nich apetyt niewypowiedziany; zbliżyli się do przekupnia, kupili sobie pełny talérz tych łakoci, rzucili dukata, wydano im dziewięć karolinów, dziewięć gran i dwa calli (1); tą zdawką mogli żyć obadwaj całe pół miesiąca. Usiedli na stopniach pałacu Maddaloni, zaczęli spożywać obiad, któremu się dosyć nadziwić nié mogli. Ulica *Toledo* służy do spania, jedzenia lub grania. Do spania nié mieli jeszcze chęci, jeść im się już nie chciało, więc bardzo naturalnie, że obrali trze-

(1) Dukat ma dziesięć karolinów, jedna karolina dziesięć gran, a jeden gran dwanaście calli.

cie. Wmięszali się do jednéj grupy lazzaronów, którzy *mora* grali. W przeciągu pięciu godzin przegrali trzy calli, mogli taką rzeczą grać przez trzecią część wieczności.

Szczęśliwym sposobem dowiedzieli się jeszcze tego wieczora o tém, że w Neapolu są domy, w których się po dukacie jada, i w których w jednéj godzinie tysiące *calli* przegrać można. Gdy sobie żadnéj wygody nie żałować umyślili, chcieli przeto dobrą zjeść wieczerzę, i kazali się do takiego domu zaprowadzić; było w nim *table d'hote.* Gospodnik spójrzał po ich ubiorze i zaczął się śmiać do rospuku; lecz oni pokazali mu pieniądze, które mieli przy sobie, a gospodnik zaczął się kłaniać jak chińska *pagoda*, i oświadczył, że pokoje czekają na ich przyjęcie, gdzie jak najlepiéj usłużonémi będą, dopóki sobie *ich excellencye* przyzwoitego ubioru zrobić nie każą, któryby im z gośćmi dozwolił usiąść do stołu.

Cherubino i Celestyni wypatrzyli się na siebie i nié mogli pojąć, coby gospodarz przez przyzwoity ubior rozumiał; mieli bowiém swój za bardzo smakowny, bo jak już namiéniono, składał on się z runistéj owczéj skóry, około bioder opasanéj, i z dobrych, około nóg osznurowanych sandałów; reszta ciała była naga, co im się na gorąco mniéj uciążliwe, i rzeczą najwygodniéjszą być zdawało. Jednakże gdy im wyjaśniono, iż chcąc nabyć prawa jeść obiad za dukata, i w jednéj godzinie prze-

grać tysiące *calli*, należy pierwej mieć koniecznie zupełne ubranie; nie opierali się, i zezwolili na to. Tymczasem nim do stołu zastawiono, wszedł krawiec z miarą, i zapytał ich, jakiby ubior sobie mieć życzyli. Bez namysłu odrzekli mu na to, że kiedy już koniecznie ubior mieć muszą, tedy rzeczą naturalną, iż nad inny przenoszą ubior kalabryjski, jako narodowy, podebny temu, jaki młodzi i bogaci ludzie w Cozenza i Tarencie noszą. Krawiec skłonił się i zapewnił, że ich excellencye jutro rano żądanym ubiorem usłużeni będą.

Ich excelencye wieczerzali w swoim pokoju i przekonali się, że *raviolli* i *sambajone* daleko smaczniéjsze, niż *maccaroni*, że *lacrima Christi* zasługuje mieć pierwszeństwo od czystéj zdrojowéj wody, i że białe, śniadym gryskiem osypane bułeczki, daleko snadniéj dają się połyskać, aniżeli owsiane, w prysku pieczone placki. Skoro się smaczną wieczerzą uraczyli, pytali posługacza, ażaliby im na poddaszu przespać się nie pozwolono; sługa wskazał im dwa łóżka, które oni za kapliczki mieli.

Celestyni, który niejako był kassyerem, zamknął chustkę z dukatami do stojącego biórka, wziął klucz do siebie, i zawiesił go na wstążce, którą nosił na szyi. Poczém odmówili do Najświętszéj Panny paciérze, a każdy, ucałowawszy swój skaplérz, położył się w swoim łóżku, w którémby pięciu wygodnie pomieścić się mogło, i

spali smaczno do dnia białego; krawiec dotrzymał im słowa, a będąc już przyzwoicie ubranymi, wolno im było przy *table d'hote* obiadować i zwiédzić salę gier, gdzie sto dwadzieścia dukatów przegrali.

Jeden s przebiegłych graczów, chcąc ich w téj stracie pocieszyć, dał im do zrozumienia, że ich w takie miejsce zaprowadzi, gdzie się daleko lepiéj zabawią. Gdy godzina nadeszła, napełnili kieszenie dukatami, i dali się prowadzić do owego raju pociechy; powrócili stamtąd dopiéro o świcie do oberży weseli, ale s próżnémi kieszeniami.

Czém się tam bawili, mocno im się podobało, tak prawie, jak gra, i dobrémi potrawy stół zastawiony; a że mieli adres, więc następującéj nocy to miejsce znowu odwiédzili. — Ten sposób życia wiedli przez dni cztérnaście, a to już wykształciło ich nie mało. Już by ich za francuzkich podporuczników, lub za cóś podobnego miéć można było.

Pewnego wieczora znowu się, jak zwyczajnie, do tego ulubionego domu wejść zapędzili; ale na ich nieszczęście tenże, na rozkaz rządu, zamkniętym został, ponieważ jakieś zabójstwo, nie wiém jakie, w nim się zdarzyło.

Żałując straty tak przyjemnego przybytku już się mieli do gospody wrócić, lecz widzieli, że ludzie kupami w jednę stronę ciągnęli; nie długo myśląc, udali się za nimi. W kilku chwilach byli przy *Ville-Reale*, na spaniałéj ulicy *Chiaja*, któréj jeszcze nie znali.

Chiaja o siódméj wieczorem jest miejscem od pięknego świata tłumnie odwiédzaném; wszystek Neapol przybywa tutaj dla odświéżenia się łagodnémi wietrzyki, które z morskiéj zatoki zalatując, niosą z sobą woń pomarańcz z Sorente i jasminów s Posilippo. Tam jest więcéj wodotrysków i posągów razem, niż ich w całym świecie obaczysz; a za témi wodotryskami, i posągami widzisz morze, jakiego nigdzie nié ma.

Nasi obadwaj birboni polubili sobie to miejsce; przechadzali się w tym wesołym wirze śmiało i rosparto; trzymając jednę rękę na sztylecie, a drugą na dukatach w kieszeni, nié mieli względu dla nikogo, dotykali się kobiét łokciami dość grubijańsko, a mężczyzn potrącali z drogi. Ujrzeli przed kawiarnią wielką grupę mężczyzn, pośród téj grupy stała kolaska, a w téj kolasce siedziała prześliczna kobiéta, która się lodami chłodziła. Tę panią z bliska oglądać, złożyła się ta grupa. I była to w saméj istocie piękność, jaka po stworzeniu Ewy, piérwszy raz z rąk stwórcy wyszła; byłato piękność, któraby i anioła do upadku przywiodła. Nasi Kalabryjczykowie weszli do kawiarni; kazali sobie dać sorbetu i usiedli w oknie dla przypatrzenia się z bliska kobiécie, która prócz innych uroków dziwnie piękne rączki miała. «*Corpo de Baccho!* jakże ona piękna!» zawołał Cherubino.

Jakiś mężczyzna w czarnym ubiorze zbliżył się do niego, i rzekł mu w pół głośno: «Chwila pomyślna, nie należy jéj zaniedbać.»

«I cóż to ma znaczyć?»

«To ma znaczyć, że hrabina Fornera od kilku dni zostaje w niesnaskach ze swoim kochankiem, rozstali się — i —»

«I cóż?»

«Szczęśliwy, kto znajdzie sposobność, komu się powiedzie zasłużyć na jéj wejrzenie, i —»

«I któż ty jesteś?»

«Znawca sztuk pięknych; dobiéram modelów dla znakomitych artystów.»

«Nie rozumiem; ale chciałbym się z tą piękną kobiétą bliżéj poznać.»

«To bardzo trudno, trzeba pierwéj ująć jéj damę domu, aby — aby wolno było podziwiać się hrabiny wdziękom z bliska, słyszéć jéj głos melodyjny, być zachwyconym jéj dowcipem jenijalnym.»

«Ileż to ujęcie kosztuje?»

«Pięćset dukatów, i głębokie milczenie.»

«A wtedy będzież mi wolno zbliżyć się do niéj, i słyszéć jéj głos melodyjny?» — «Sądzę.»

«I ja z tobą,» rzekł Celestyni; «pójdziemy razem oglądać ten model jenijalny.»

«Wtedy podwójna kwota,» rzekł czarno ubrany.

«Dobrze, już dobrze. Staraj się zapewnić, czy pozwoli sobie służyć, a potém przyjdź do nas, miészkamy w hotelu *de Venice.*»

«Czarno ubrany pokłonił się, i poszedł w swoję, a nasi chłopcy w swoję drogę. Powóz hrabiny odjechał. Celestino i Cherubini przyszli do gospo-

dy; mieli jeszcze 300 dukatów całego majątku. Usiedli na przeciw siebie przy stole, położyli w środku talię kart, i jeden po drugim brał koleją. *Ass coeur* padł Cherubinowi.

«Szczęśliwyś!» rzekł Celestyno, i rzucił się na łóżko. Cherubino wziął 300 dukatów do kieszeni; popróbował, czy jego sztylet łatwo się s pochwy wymyka, i oczekiwał czarno ubranego. W pół godziny nadszedł.

«Przyjmuje?» — «Przyjmuje!»

«Pójdźmyż.» Zeszli. Noc była pogodna, i wesołego humoru, wszystkiémi swémi oczyma świéciła na ziemię. Hrabina miészkała na przedmieściu *Chiaja;* czarno ubrany szedł przodem, Cherubino za nim, nócąc sobie piosnkę:

Che bella cosa de morire ucciso,
Inanze a la porta de la inamorata.
L'anima se ne sagli in paradiso,
Et lo cuorpo lo chiegne la scasata! (1)

Przyszli do skrytych drzwi, przy których czekała ich pokojowa. «Ta pani ma zlecenie zaprowadzić excellencye do hrabiny. Dopełniłem przyrzeczenia; wizyta przyjęta; proszę o sto dukatów dla mnie; a czterysta raczysz włożyć w alabastrowy koszyczek, który na kominku stoi; dama domu będzie je umiała znaléźć.» Cherubino zapłacił, i poszedł za pokojową.

(1) Jakże miło paść trupem u drzwi kochanki;
Dusza idzie do nieba, ciało zléwa łzami kochanka.

Byłto piękny pałac marmurowy; po obu stronach wschodów stały kryształowe banie, a między każdą lampą umieszczone były z bronzu urny, w których wonie gorzały. Przechodzili jednę komnatę po drugiéj, w którychby jakiego króla s całym jego dworem umieścić można było; poczém na końcu wielkiéj galeryi stanęła pokojowa u drzwiczek, które niewidocznie w szpalerowéj ścianie ukryte były; otworzyła je, i wpuściwszy Cherubina, zamknęła.

«Tyżeśto, Gidsa?» rzekł głos niewieści. Cherubino spójrzał w stronę, s któréj głos wyszedł, i poznał brabinę w białéj, lekkiéj muślinowéj sukni, na pysznéj, różowéj sofie spoczywającą; bawiła się puklem swoich długich włosów, które ją, jakby hiszpański płaszczyk, ociéniały.

«Nie, signora, nie jestto Gidsa, ja to jestem,» odrzekł Cherubino.

«Jako? ty signore?» rzekł głos jeszcze czulszym wyrazem.

«Ja, Cherubino, dziécię Madonny.» To mówiąc przystąpił bliżéj ku sofie, która się na kilku stopniach wznosiła.

Hrabina, uderzona tym głosem, oparła się na łokciu, i podniosłszy cokolwiek głowę, patrzyła na niego ździwiona: «Przechodzisz zapewnie od swego pana, młodziéńcze?» zapytała.

«Nie, ja przychodzę od siebie samego, signora?»

«Cóżto ma znaczyć? Nie rozumię.»

«Zaraz wytłumaczę: Widziałem panią dzisiaj w *Chiaja*, gdzieś lody jadła, ujrzawszy ją; *per Baccho*, jakże ona jest piękną!» zawołałem z uniesieniem. Hrabina uśmiéchnęła się. «Jakiś czarno ubrany mężczyzna zbliżył się do mnie, i rzekł mi: »Młodziéńcze, chcesz ty s tą piękną kobiétą, która się tobie tak mocno podobała, zapoznać się bliżéj?» Chcę, odrzekłem. «To nie tak łatwo; trzeba ująć jéj panią domu,» odrzekł mi nato. Mniéjsza oto, ujmę ją; odpowiedziałem. Przyszedłszy ze mną do tych drzwi, zażądał s t o dla siebie, a kazał mi c z t é r y s t a wrzucić w koszyk alabastrowy; oto są.» Cherubino rzucił trzy lub cztéry garście złota w koszyk, który się przepełnił, a dukaty zaczęły się toczyć po gzymsie komina i spadać na posadzkę.

«Co to za szkaradny człowiek ten Mafeo!» rzekła hrabina.

«Nie znam żadnego Mafea, ani wiém, czy szkaradny, ale pani widzisz, że tu jestem, i wiész za jaką cenę.»

To mówiąc chciał się zbliżyć.

«Ani z miejsca! albo na ludzi zadzwonię i z domu cię wyrzucić każę!» rzekła z uniesieniem hrabina.

Cherubino zgrzytnął zębami, zagryzł usta i położył rękę na sztylecie: «Signora, jestem Kalabryjczyk, a jeszcze góral! Pamiętaj o tém! Dzié-

cię, które s Tarsyi do Neapolu głowę zbójcy w chustce przyniosło, a jaką głowę, i jakiego zbójcy? Cezarysa? Rozważto dobrze.»

«Przebóg! Tyś to i tutaj!? wrzasła s przestrachem hrabina.

«Jamto, i tutaj,» rzekł Cherubino spokojnie.

«Precz!... albo...»

«Oho! być tu, kupiłem sobie prawo.»

«Odéjdź, albo.....»

Hrabina wyciągnęła spiesznie ramię, aby chwycić za taśmę od dzwonka. Cherubino jeszcze spiesznéj jednym skokiem od komina był już przy dywanie.

Hrabina wydała krzyk przeraźliwy i zemdlała; Cherubino rzucił sztyletem i przybił jéj rękę do ściany, o sześć cali niżéj od taśmy. —

«Holla! Celestyni! czy wstaniesz ty dzisiaj?» zawołał Cherubino, powróciwszy we dwie godzin do gospody.

Celestini porwał się złóżka, przetarł sobie oczy i wpatrzył się w niego: «Tyś krwią zbryzgany?»

«Fraszka!» — «A hrabina?...»

«Przedziwna kobiéta.»

«Do licha! I czegóżeś mię zbudził?»

«Bo już ani *bajocco* nie mamy w kieszeni, i nim świtać zacznie, w podróż nam się puścić wypada.»

Celestyni wstał. Obadwaj chłopcy wyszli s hotelu, jakto często czynić zwykli; nikt ich nie zatrzymał.

O piérwszéj z rana minęli most *Maddalena*, o piątéj byli już między górami. W głębokim parowie, między skałami, zatrzymali się.

«No, cóż teraz poczniémy?» rzekł Celestyni.

— «To właśnie i moje pytanie. Wrócimyż znowu paść trzodę.»

«Przenigdy . . . na Zbawiciela!»

«Więc zostańmy zbójcami!»

Obadwaj chłopcy podali sobie z radością dłonie, i uderzywszy w nie w znak zgody, przysięgli sobie pomoc i przyjaźń wieczną. Sumiennie dotrzymali słowa, od téj chwili nigdy jeden drugiego nie opuścił.»

«Ale nie, mylę się;» wskazując na grób świéży, rzekł z westchnieniem Giacomo; «przed godziną właśnie jeden opuścił drugiego.»

II.

ANTONIJO.

«A teraz połóżcie się spać; ja za was wszystkich na straży stać będę; na dwie godzin przed świtem zbudzę was,» rzekł Giacomo skończywszy opowiadanie.

Na te słowa każdy szukał miejsca, gdzieby noc mógł jak najlepiéj przepędzić. Nie wiele chwil minęło, a już spali wszyscy. Nie trwożył ich bynajmniéj nieprzyjaciel, który ich otaczał; spali spokojnie, jakbyto w Terracino lub Sonnino do łóżka się pokładli, taki był skutek słowa dowódzcy, któremu ślepo wierzyli. Sama tylko Marya nie

ruszyła się z miejsca, na którém do słuchania powieści usiadła.

«A tyż Maryo, nie myślisz spocząć?» rzekł Giacomo, jak mógł najłagodniéj.

«Nie jestem strudzoną,» odpowiedziała.

«Ale twoje czuwanie może zaszkodzić dziécięciu.»

«Położę się.»

Giacomo rozścielił swój płaszcz na piasku; Marya przylęgła na chwilkę, a potém oglądając się około siebie bojaźliwie, rzekła: «A tyż?»

«Nie pytaj o mnie; ja muszę szukać sposobu, jakby przeklętym Francuzom ze szponów się wymknąć. Nié mogę wierzyć, aby im w tych skałach już wszystkie przesmyki znanémi były, aby już po najtajniéjszych, po najniedostępniéjszych miejscach, straże postawiać mieli. Może się jeszcze gdzie jaka dziura wolną znajdzie; nié możemy przecież wiecznie siedzićć na téj skale; a kiedy ją raz koniecznie opuścić musimy, tém lepiéj dla nas, im prędzéj się to stanie.»

«Ja s tobą pójdę,» rzekła Marya, i już się zaczęła zabiérać do wstania. Bandyta zmarszczył czoło. «Wiesz,» dodała Marya, «umię być ostróżną, krok mój lekki i pewny; wzrok niezawodny, oddech wolny i do przytłumienia łatwy; o, proszę ciebie, weź mię z sobą.»

«Maryo! azaliż się lękasz, abym cię nie zdradził?... Jeżeli ci ludzie na moje słowo usnęli,

tyżbyś mi nie dowierzała?» Dwie duże łzy potoczyły się po licu Maryi; bandyta przystąpił bliżéj: »Dobrze, niechże i tak będzie, pójdź ze mną; ale tu zostaw dziécię, mogłoby się przebudzić i zapłakać.»

«Idź sam,» rzekła Marya, i położywszy się na płaszczu, przytuliła dziécię do piersi.

Bandyta odszedł; Marya wiodła za nim wzrokiem jak długo zoczyć mogła cień jego; lecz skoro go skała oczom jéj zasłoniła, westchnąwszy głęboko, nachyliła się do dziécięcia, a potém, jak gdyby już spała, przywarła powieki. Wszystko tonęło w głęboką ciszę.

Godzin dwie poźniéj dał się słyszéć szelest lekki, téj stronie na przeciw, w którą był odszedł Giacomo. Marya otworzyła oczy i poznała bandytę. Pomimo ciemność tyle dostrzegła, iż twarz jego była zasępiona:

«Jestże nadzieja?» rzekła cichym i trwożliwym głosem.

«Żadnéj. Wszędzie, gdzie tylko jaki był przesmyk, stoją straże; jesteśmy zdradzeni przez włościan lub pastuszków.» To mówiąc rzucił sztućcem o ziemię.

«O Boże! więc nié ma żadnego sposobu s téj skały dostać się na dolinę?»

«Nié ma; z obu stron, jak tobie wiadomo, idzie stromo, a jeżeli nam orły, które tu swoje gniazda ścielą, skrzydeł nie pożyczą, śmierć nas nie mi-

nie. Przeklęte Francuzy! oby dusze wasze djabli w piekle w kipiącéj oliwie wiecznie smażyli!» To mówiąc rzucił kapeluszem o ziemię.

«I cóż poczniemy?» zapytała Marya przytłumionym głosem.

«Musimy to zostać; tu od ich odwiedzin jesteśmy bespieczni.»

«Cóżto pomoże, kiedy nam z głodu pomrzéć przyjdzie.»

«Jeżeli nam Bóg z nieba manny nieześle, nie ujdziem temu losowi; lecz mniéjsza! śmierć na szubienicy lub z głodu, zawsze jest śmiercią, a temu łatwiéjszą, kto się jéj nie lęka.»

Marya, westchnąwszy, przycisnęła śpiące dziécię do piersi i zalała się łzami.

Przez chwilę panowało milczenie, poczém bandyta w te się ozwał słowa: «Dziś mieliśmy dość dobrą wieczerzę, jutro nas jeszcze na taką stanie, a pojutrze..... nie myślmy o tém, jutro, pojutrze... zostawmy czasowi. Teraz utrudzone siły snu wymagają. Idź spać Maryo! Idź mówię! «
— «Już zasypiam,» rzekła.

Bandyta położył się na uboczu.

Giacomo nie omylił się bynajmniéj. Był zdradzonym; nie przez włościan lub pastuszków, jak mniemał, ale prze jednego z bandy swojéj, który, jakeśmy już rzekli, w czasie potyczki był przez Francuzów pojmanym, a chcąc się od stryczka wywinąć, przyrzekł w nagrodę swego uwolnienia

dostawić swego dowódzcę. Aby zaś dowiódł rzetelności swego przyrzeczenia, od tego zaczął, iż sam osobiście po wszystkich znanych mu miejscach porozstawiał straże, s którémi się Hieronimo spotkawszy, od strzału poległ. Jakkolwiek wielkie i uroczyste było to przyrzeczenie, nie był pułkownik, dowodzący téj wyprawie, bez wszelkiéj oględności; kazał on pod ścisłym dozorem trzymać Antonija; jeżeli bowiém, tak myślił sobie, Antonijo ma być od szubienicy uwolnionym, wiele na tém zależy, aby na niéj wprzód wisiał Giacomo. Argument prosty i bardzo naturalny. Pułkownik nie był tak bardzo miałkiego rozumu, aby miał wypuścić więźnia, nim w jego miejsce otrzymał drugiego. Zaledwie tylko dobrze świtać zaczęło, wydał rozkaz, aby mu przystawiono Antonija; ułożył sobie, z nim, jak ze świadomym miejscowości, upatrywać koczowiska zbójców. Jeżeliby ich już nie było na skale, byłbyto dowód, że Antonijo zdrajca, i godzien być dwakroć powieszonym. Wniosek wojskowy, i co się tyczé szubienicy, krótko węzłowaty, a na który i sam Antonijo z dość dobrą miną przystawać się zdawał. Gdy go strzelcy przed pułkownika przywiedli, stanął przed nim ze spokojnością dobrego sumienia; był albowiém w duszy swojéj przekonanym, iż dopełnił przyrzeczenia podług umowy; nie mógł także wierzyć, aby się dawnym towarzyszom jego ujść ze skały powieść mogło, tak dobrze

znał okoliczności, w których zostawali. Pewnym był swego. Noc minęła. Piérwsze promiénie wschodzącego słońca oświécały szczyt skały, a że gór pasmo, po którym Francuzi swoje posterunki mieli, jeszcze w zacieniu tonęło, więc się zdawało, iż ten szczyt, jak ów szczyt góry Synai, okropnym gorzał płomieniem. Od czasu do czasu, i w tymże samym stopniu, w jakim się słońce w górę wznosiło, zaczęły zwolna i mgły uchodzić, a strumienie światła po obu bokach skalistego kolosu płynące, budziły w gniazdach orły, które wzbiwszy się ze swoich napowietrznych siedlisk, tak spieszno swémi skrzydły w obłoki się kryły, jak gdyby w niebo wbieżeć, spoźnić się obawiały. W tymże samym czasie nadleciał i wiatr świszczący z nadmorskiéj strony, który pędząc mokre wyziéwy w doliny, rozbijał je o jodły i drzewa korkowe, u góry podnoża rosnące. Szczyty drzew, zginając się aż ku ziemi, i znowu się podnosząc, pozdrawiały wschodzące słońce. Byłto widok uroczysty. Szum przewlekły liścia zdawał się być mową, którą lasy gadają. Słowem, góra ocknęła się, nabrała duszy, i zdawała się żyć istotnie: sam tylko jéj wiérzchołek był bez ruchu i milczał, jak zaklęty.

A przecież na wiérzchołek ten były wszystkich oczy zwrócone. Sam nawet pułkownik z dalowidem w ręku, nie spuszczał z niego oka. Znudziło go nakoniec natężać wzrok bez ustanku, a zawsze

nadaremnie. Rozgniewany, że nic nie ujrzał, uderzył dłonią tak mocno w koniec dalowidu, że się wszystkie członki jego w jednostkę zsunęły; poczém, obróciwszy się do Antonija, te dwa tylko wyrzekł słowa: «No? jakże?...»

Zaiste, dziwném narzędziem jest słowo, a jego moc czarodziejska jedynie na tém zależy: Kto go, jak go, i w jakiéj okoliczności wymówi. Wtedy albo wklęśnie jak nikłe ziarno, albo się rozedmie jak pęchérz, albo skoczy jak tygrys, albo się jak wąż czołgać będzie, albo wzleci w górę jak bomba, albo spadnie na dół jak piorun. Nie jeden mowca potrzebuje godziny nim swoje zdanie wyłoży, drugi powié tylko słowo, a już zrozumiany. Do ostatniego rodzaju mowców należał i nasz pułkownik; dwa słowa rzekł tylko, ale te dwa słowa były tak dobrze na miejscu swojém usadowione, tak dźwięczne, dobitne, wyraźne, i wiele mówiące, że pojętliwość tego, kogo się tyczyły, mogła w nich od razu wyczytać, myśl następującą: «Mój przyjacielu Antonijo, ty jesteś łotrem, który mniemał, iż tém się od szubienicy odkupi, że mię w pole wywiedzie; ale ja nie jestem tak głupi, jak się panu memu zdaje, i nie dam się za nos wodzić; ponieważ tedy pan nie dotrzymałeś przyrzeczenia swego: ponieważ zbójcy, a jego zacni towarzysze, téj nocy uszli, a my jesteśmy zmuszeni, nito jakie wyżły, tropić ich po jarach i parowach, co na walecznych żołniérzy wcale nie przy-

stoi, a zatém raczysz mi tę niegrzeczność darować, że cię na piérwszém lepszém drzewie powiesić każę, a sam pójdę na śniadanie, bo mi już głód doskwiéra.

Antonijo, którego w ciemię nie bito, i który, lubo rozumu w szkołach się nie uczył, miał przecież z natury rozsądek zdrowy, pojął bardzo dobrze, że się to wszystko razem w owych dwóch słowach mieściło; przeto wyciągnął prędko ramię, i — bądź przez pochlébstwo, bądź, że i sam do téj szkoły należał, któréj mistrzem pułkownik być się zdawał — dość na tém, że wyciągnął ramię, i na owe dwa słowa, jedno tylko odrzekł: *Aspettate;* co po polsku znaczy: cierpliwości! jakoteż w saméj istocie cierpliwym był pułkownik, bo odszedł, nie wydawszy wyroku. Antonijo, z miejsca się nie ruszywszy, wlepił wzrok swój w przeciwległą górę s takiém natężeniem, że nie człowiekiem żyjącym, lecz słupem być się zdawał. Po dwóch godzinach znowu nadszedł pułkownik, znowu jak pierwéj wymierzył swój dałowid na szczyt góry, ale rozgniéwawszy się, że tam zawsze nikogo dostrzédz nié mógł, uderzył po ramieniu Antonija, który chociaż się na jego przyjście nie obrócił, przecież go już słuchem, po jego chodzie poznał Antonijo, spójrzawszy na pułkownika, zadrżał podobnie temu, który nié ma piéniędzy, a razem przed sobą wexel do zapłacenia zobaczy; jednakże jakkolwiek nie mały był przestrach jego, przecież nie stracił

przytomności, bo w téjże samej chwili, chwyciwszy lewą ręką ramię pułkownika, a prawą wskazując w jeden punkt skały, rzekł głosem pełnym tajemnicy: «Tam, tam.»

«Cóż?» rzekł pułkownik spójrzawszy przez dalowid w to miejsce, które miał wskazane.

«Czy wasza excellencya nic nie widzisz tam, w kącie owéj skały? nie widzisz głowy człowieka, który do słupa podobień? tu, tu;» to mówiąc wziął głowę pułkownika w obie ręce i obracał nią jak wiatr kurkiem na dachu; a gdy i to nie pomógł, chwycił za dalowid i wymierzył go w ów punkt, o który mu tak bardzo chodziło, aby przez pułkownika był zoczony.

«Aha! widzę widzę!» zawołał pułkownik, ujrzawszy przedmiot oznaczony; a po chwili spuściwszy dalowid, rzekł: «Jużci to prawda, że to postać człowieka, ale któż mi zaręczy, że to nie jest pastérz, zbłąkanéj kozy szukający.»

«Kozy szukający! *per Dio santo*, skąd waszéj excellencyi teraz koza w głowie,» odrzekł Antonijo prawie rozgniéwany; «alboż wasza excellencya nie widzisz tego kapitańskiego kapelusza skitą, ze wstążkami, tego świécącego się sztućca? Patrzaj wasza excellencya, jak się schyla i w dół zagląda, którędyby się mógł ze skały bespiecznie spuścić. To jest Giacomo, a za nim... patrz wasza excellencya, patrz, stoi Marya. Czy widzisz teraz, czy widzisz?»

Pułkownik podniósł znowu dalowid, przyłożył do oka, a potém po chwili, rzekł przeciągłym głosem: «A... prawda, prawda; teraz i ja zaczynam powoli w to wierzyć, że signore Antonijo wisieć nie będzie.» Ta wiara pułkownika zdawała się być dla Antonija wielce pocieszającą. «Każcie mi tu przywołać doktora,» rzekł pułkownik do służbowego, a potém zwróciwszy się do Antonija, zapytał: «A cóż oni na téj górze jeść będą.»

«Nic, wcale nie;» odrzekł Antonijo.

«Więc, jeżeli im się ujść nie powiedzie, muszą albo się poddać, albo z głodu zginąć?»

«Te im tylko dwa sposoby pozostają,» odpowiedział Antonijo.

«Doktorze, ile dni może żyć człowiek nic a nic nie jedząc?» Na te słowa nic a nic nie jedząc zadrżał doktór s przestrachu; byłto człowiek niskiego wzrostu, bardzo otyły, którego aby sobie wyobrazić figurę, wystawmy sobie ogromną kulę, do któréj jakiś żak ze swawoli głowę i nogi przyprawił; słowem, byłto człowiek, który wcale nie był po temu, aby na takowe zapytanie mógł z własnego doświadczenia odpowiedzieć.

«Nic a nic nie jedząc, pułkowniku?» ze wzdrygnieniem; «nic a nic nie jedząc? ha... trzeba wiedzieć, że dobrze uporządkowany, i podług reguły żyjący człowiek, nie powinien dłużéj jak tylko pięć godzin trawić; a na dzień jeden jeść trzy razy tylko. Co zaś wina się dotyczé, ha... tu trzeba się

stósować i do wieku i do ciała przymiotowości, i do temperamentu.»

«Ja nie żądam od ciebie doktorze, abyś mi tu przywodził przepisy z nauki o zdrowiu, ale się pytam tylko w ogólności, ile dni człowiek bez jadła żyć może, i dodaję zawczasu, że to pytanie nie zmierza bynajmniéj do twojéj osoby doktorze.»

«Jeżeli mi na to dasz swoje słowo honoru pułkowniku.»

«Daję ci, daję.»

«Więc jestem spokojny, i powiadam, żeśmy przy oblężeniu Genuy mieli to doświadczenie, iż człowiek nie dłużéj jak tylko dni siedm zdołał żyć bez wszelkiego posiłku.»

«Więc taką rzeczą będziemy czekali,» rzekł pułkownik, «aż nam się poddadzą, lub z głodu poginą. Dziękuję ci za objaśnienie doktorze; a jeżeliś przy apetycie, proszę do siebie na śniadanie.»

«S całego serca pułkowniku.»

«Juliuszu!» zwróciwszy się do służebnego zawołał pułkownik; «daj znać kucharzowi, że dziś o cztéry osób więcéj będę miał na śniadaniu.»

W skutek otrzymanych objaśnień od doktora i uczynionych zapewnień przez Antonija, uspokoił się pułkownik, i poprzestał na zaleceniu swoim oficerom ścisłego dozoru, a żołniérzom największéj baczności. Ponowiono oraz przyrzeczenie trzech tysięcy dukatów temu, ktoby głowę zbójcy Giacomo do obozu przyniósł.»

Ośm dni upłynęło. Każdego poranku przychodził pułkownik do przedniéj straży, i pytał, ażali się oblężeni już nie poddali, ale zawsze nadaremnie; poczém powracał na miejsce swego obserwatoryum, wymiérzał dalowid, i widział zawsze kilku bandytów, którzy albo na krawędzi siedząc, swoje nogi w przepaść pospuszczali, albo leżąc na skale, na słońcu się wygrzywali. Często zniecierpliwiony kazał przywołać Antonija; ale ten mu zawsze powtarzał: «Przysięgam waszéj excellencyi, że jeżeli oni jak króliki trawy, albo jak krety piasku nie jedzą, więc ja nigdy nie pojmę, czém oni dotąd żyć mogą.» Często posyłał po doktora, który go zawsze zapewniał: «Jutro pułkowniku niezawodnie poddać się muszą; ciało człowieka nié może się dłużéj bez pożywienia nad dni siedm ostać; jutro muszą koniecznie albo się poddać, albo z głodu umrzéć. Pójdźmy na śniadanie pułkowniku.»

Dnia dwunastego już pułkownikowi cierpliwości nie stało; roskazał jak zwyczajnie przyprowadzić Antonija, i posłał po doktora. Tylko tą razą zaszła ta odmiana, że do bandyty rzekł: «Tyś łotrem najniegodziwszym,» a do doktora: «Waćpan jesteś głupcem nad głupcami.» Tak powitawszy obudwóch kazał doktorowi pójść odsiedzieć areszt domowy, a bandycie pamiętać o swojéj duszy, jeżeliby miał jaką. Doktór stał się posłusznym i poszedł cierpliwie podług porządku woj-

skowego, jako niewolnik discipliny, do aresztu; Antonijo zaś prosił pułkownika, aby się wrócił, bo mu cóś ma powiedzieć.

«Panie pułkowniku,» rzekł do niego, «chciéj zważyć, jeżeli mię każesz powiesić, jakaż ci korzyść s tego, że przez chwilę w powietrzu potańczę? a ci tam na górze ani się o jeden dzień prędzéj nie poddadzą, ani umrą; bo oni zapewne wynaleźli jakiś potajemny sposób żywienia się, który ani mnie, ani panu pułkownikowi nie jest wiadomy. Wziąść ich szturmem, tego się nie spodziéwaj excellenza pułkowniku, bo gdyby nic więcéj w obronę swoję nie robili, jak tylko w dół kamiénie spuszczali, których tam podostatkiem mają; jużby całą armiją pogruchotać mogli, a excellenza ma tylko pułk jeden. Gdybym ja signoro na twojém był miejscu, widzisz, mówię to bez trwogi, mówię jak człowiek obeznany z śmiercią w każdéj postaci; gdybym ja na waszéj excellencyi był miejscu, starałbym się naprzód koniecznie dowiedzieć, jakim czarodziejskim sposobem ci ludzie mogli na tym odosobnionym góry grzbiecie, na téj skalistéj, nieurodzajnéj kopule, tak długo żyć bez pożywienia; życzyłbym sobie dowiedzieć się o tém, choćby tylko dla tego jedynie, abym w takowych okolicznościach takich samych użył środków. Starałbym się o to koniecznie, a gdy ku temu jeden tylko pozostaje środek, użyłbym go bez zwłoki.»

«I jakiżto środek?»

«Bardzo prosty; rzekłbym do tego Antonija, którego śmierć dla mnie byłaby bezowocna, a którego życie korzystném byćby mogło: Słuchaj poczciwy Antonijo, nieustraszony bandyto, przysięgniéj mi na krew Chrystusa Pana, że od dziś za ośm dni znowu do mnie powrócisz, a teraz jesteś wolny...»

«A cóżby Antonijo przez te ośm dni robił?»

«Znowuby do swego dawnego powrócił naczelnika; powiedziałby mu, że mu się powiodło uciéc z rąk swego okrutnego kata, i że z nim razem chce żyć i umiérać. Wtedy byłby Antonijo bardzo zabitéj, a Giacomo bardzo przebiegłéj głowy, gdyby się piérwszemu tajemnicę drugiego odkryć nie udało. Odkrywszy tajemnicę, powróciłby powiedziéć ją pułkownikowi, a pułkownik, jako poczciwy człowiek, stósownie do swego przyrzeczenia puściłby go wolno.»

«Ten rozejm zawarty,» rzekł pułkownik.

«I przyjęty!» rzekł Antonijo.

«Przysięgniéj.» Antonijo dobył z zanadrza wiszący na wstążce pokrowczyk, w którym był obrazek święty, i który każdy Neapolitańczyk na piersi jako relikwiję nosi, i który się w języku krajowym *abitiello* nazywa. Ten pokrowczyk dał pułkownikowi, a położywszy na nim swoję rękę, rzekł uroczyście: «Przysięgam na ten obraz, w Rzymie w kościele S. Piotra w palmową niedzielę poświęcony, że od dziś za dni ośm, czy taje-

mnicę Giaccoma odkryłem lub nie, tutaj stawić się nie omiészkam.» Pułkownik, przyjąwszy przysięgę, chciał mu zwrócić obrazek, ale Antonijo nie dozwolił tego. «Zatrzymaj ten święty zakład u siebie excellenza, a jeżeli za ośm dni nie wrócę, rzuć go jako znak mojéj złamanéj przysięgi w płomiénie, a tenże sam ogiéń, który te święte relikwije pochłonie, palić będzie wiecznie i duszę moję.»

«Człowiek ten jest wolny,» rzekł pułkownik do żołniérzy, «niech sobie idzie, gdzie mu się podobać będzie.»

* * *

«Jeszcze tego samego dnia wieczorem już Antonijo był w gronie swoich dawnych towarzyszy; radość ich była wielka. Giacomo, który miał go za powieszonego lub zabitego, przyjął go jak ojciec dziécię swoję. Antonijo opowiadał swoję ucieczkę; każdy temu wierzył; gdy skończył, rzekł Giacomo: «Szkoda wielka, że tak poźno przychodzisz, byłbyś z nami jadł obiad.»

Antonijo zapewniał, że nie jest głodnym, i że może do jutra zaczekać, zwłaszcza, że przed swoją ucieczką dosyć się był pożywił; nie chcę także, dodał, swoim towarzyszom krzywdy czynić, bo jak sądzę, co się tyczé jadła, nié może tu zbytek panować. Nic na to nie odpowiedział Giacomo, ale z jego miny mógł sobie następującą myśl ułożyć: to prawda, nie żyjemy tu w zbytku, ale mamy tyle, że żyć możemy. Antonijo wystawiał sobie,

że zastanie towarzyszy swoich bladych, wychudzonych, i z głodu na pół nieżywych, a przeciwnie, zastał ich w dobréj tuszy, zdrowych i dosyć wesołych. Marya była, jak zawsze, świéża, mocna, a dziécię jéj wcale nic nie uciérpiało; Antonijo mniemał, iż się żywią korzonkami, dzikiémi owocy, a gdy rzucił okiem na płoninę, na któréj koczowali, widział kości porozrzucane, wprawdzie do czysta ogłodane, ale to właśnie dowodziło, że na nich kiedyś mięso było. Jakimże sposobem to mięso dostało się do ludzi na szczycie skały odosobnionych do koła u podnóża góry ściśle strzeżonych? to było nad jego pojęcie, przy piérwszym pomyśle wnosił, że może jaki pastuszek nieznaną ścieżką lub podziemną jaskinią dostarczał im żywności; ale gdy lepiéj rozważył, przyznać musiał, że w takim razie tą samą skrytą drogą byliby mogli wszyscy ujść s téj skały, a Giacomo nie byłby zmuszonym dla saméj zabawki przez dni dwanaście, jak kurek na wieży kręcić się na szczycie skały; to wszystko było dla niego wielką zagadką, i dla jéj odgadnienia byłby gotów nawet djabłu duszę swoję zapisać, gdyby tego po niejakiéj części już pierwéj nie był uczynił.

Nadeszła chwila rozstawienia straży; Antonijo był chętny wyświadczyć tę usługę, ale jéj nie przyjął dowódzca przez wzgląd, że ucieczką za wiele był utrudzony, i dał mu do zrozumienia, że go tą powinnością dopiéro za kilka dni poźniéj zajmie.

Noc nadeszła; każdy spać się położył, prócz straży i Antonija. Ze wschodem słońca wszyscy się ocknęli zdrowo i wesoło, podobnie ptaszkom, których śpiewanie u podnóża góry słychać było; sam tylko Antonijo zdawał się być wysilonym, bo jego duch był niespokojny, ostro czuwający; Antonijo przez noc całą ni oka nie zmróżył. Około siódméj wskazał dowódzca palcem na jednego z bandytów, i rzekł: «Na ciebie koléj.» Wskazany odszedł z dwoma drugimi, nic nie odpowiedziawszy, Antonijo poskoczył i chciał się przyłączyć: «Zostań,» rzekł Giacomo, «trzech ludzi dosyć.»

W cztéry godzin poźniéj spójrzał dowódzca na słońce, i rzekł: «Już czas do obiadu.» Bandyci usiedli na murawie jeden przy drugim; przyniesiono obiad, który się składał: s trzech kuropatw, z jednego zająca i s połowy jagnięcia, któremu było ośm lub dziesięć dni. Dowódzca podzielił sam jadło na równe części, s taką bezstronnością, któraby nawet samemu katowi króla Salomona w zaszczyt pójść mogła. Wody nie było zbytku, ale podostatkiem, bo czysty zdrój świérgotał ze szczeliny skały i płakał najświéższémi łzami, jakby się ich nieszczęściu litował. O chlebie nikt nie wspominał. Widząc to wszystko Antonijo tak zgłupiał, że mu się, co było rzeczywistém, sném być wydawało.

«Miara we wszystkiém,» rzekł dowódzca do Antonija, «to jadło nasyci nas aż do jutra, bo my

tutaj raz tylko na dzień jadamy, a przecież widzisz, żeśmy nie pochudli. Tom ci powiedział dla przestrogi; ściśniéjże mocno brzuch rzemieniem, aby żołądek nie prędko trawił, pośpiech jego byłby nadaremny.» Antonijo chciał się uśmiéchnąć, ale natomiast skrzywił gębę, jakby co niesmacznego zażył; usiadł s trzema na uboczu i zaczął grać *mora*. W godzinę poźniéj przystąpił dowódzca i skinął mu, aby szedł za nim. Antonijo stał się skwapliwie posłusznym. Szli krętémi ścieżki po między skał urwiskami. Dla spłoszenia nudów kazał Giacomo opowiadać sobie szczegóły, w jaki sposób był przez Francuzów pojmanym, i w jaki ujść im zdołał. Antonijo, powtarzając wiernie co już pierwéj opowiadał, poglądał i w prawo i w lewo. Razem spostrzegł niespodzianie wchód do jaskini: «Cóż to jest?» rzekł z obojętną miną do dowódzcy. — «Nasza kuchnia.» — «Kuchnia? Ah, ah!» — «Rozumiész?» — «O! i bardzo.» — «Ta ostróżność była koniecznie potrzebną, aby Francuzi dymu nie spostrzegli;» rzekł Giacomo. — » Ostróżność bardzo rozumna!» — «Bo gdzie dym...» — «Tam i ogień,» przerwał mu Antonijo. — «Gdyby spostrzegli, iż w taki upał ogień palimy...» — «Łatwoby się domyślić mogli, że się to nie dzieje dla ogrzania,» dodał Antonijo. — » A nam oto najbardziéj chodzi, aby myśleli, że tu głód ciérpiémy;» rzekł Giacomo. — «O, że są w téj wierze, za to ci ręczę naczelniku! oni tylko

niecierpliwie téj pory wyglądają, kiedy tu jeden drugiego jeść zacznie,» rzekł bandyta. — «Co to za głupcy!» zawołał dowódzca, wzruszywszy ramionami. Antonijo, nic nie mówiąc połknął także część tego zaszczytnego nazwiska, i wszedł do jaskini. Wiódł oczyma ciekawie, i zaczął się niby podziwiać; uderzył pięścią o ścianę, ale była naturalna i gruba; tupnął nogą, co miał siły; ale odgłos nie wskazał żadnego ukrytego wydrążenia, wzniósł oczy w sklepienie, ale nie ujrzał innego otworu, tylko naturalną rospadlinę, którą dym wychodzi: «A ku czemuż służy ta széroka dziura w skale?» zapytał Antonijo. — «To nasza spiżarnia,» odpowiedział dowódzca. — «Spiżarnia?! nie najlepiéj zapewnie jest ona zasobna.» — » Nie tak bardzo źle, jak ci się zdaje,» odrzekł Giacomo, «zajrzyj!» Antonijo stanął na kamiéniu, wyciągnął szyję jak żuraw', i zajrzawszy w dziurę, ujrzał tamże ostatki jagnięcia, trzy kuropatw, kilka jemieluchów, i dwie przepiórki: «Do djabła! to nie są żarty; ty, jak widzę, panie naczelniku, masz liwerantów, którzy się znają na dostawie, a chociaż nie dostarczają okwicie, przynajmniéj znają się na wyborze.» — «Wielka prawda,» odrzekł dowódzca z uśmiéchem; «te biédaki pracują, jak dla siebie samych.» Antonijo spójrzał na dowódzcę i zrobił minę, która widocznie chciała powiedziéć: niech mię djabli wezmą, jeżeli ja s tego wszystkiego choć cokolwiek pojmuję, lecz Giaco-

mo nie zdawał się spostrzegać zdziwienia jego i wyszedł z jaskini. Antonijo, idąc za nim, zaczął znowu na domysł wpadać, że nikt, jak tylko wieśniacy donoszą nocną porą téj żywności.

Dzień się schylił ku wieczorowi; o kuchni lub jadle nie było już wzmianki; zdawało się, iż każdy się wystrzegał, aby takowém wspomnieniem głodu nie wywołał, który praw swoich sam się dopominać umiał. O dziewiątéj wieczorem przyszła koléj na Antonija, był przez dowódzcę na straż przeznaczonym. Wziął sztuciec do ręki, natkał w kartuzę ładunków i zrobił już ruch do odéjścia na swój posterunek; ale zaledwie postąpił, zaciął się w kroku, i zapytał: «A gdyby kto ważył się zbliżyć, mamże mu w łeb wypalić?» — «To się rozumié,» odrzekł naczelnik. — «Ale gdybyto był... » — «Któż taki?» zapytał Giacomo. — «Wszak mię rozumiész naczelniku.» — «Bynajmniéj.» — » Gdybyto był, naprzykład, przyjaciel jaki?!» — » Dawnożeś tak zgłupiał?» odrzekł mu Giacomo. » Przyjaciel? skądby się on tu wziął? jeżeli nam jaki z nieba nie przyjdzie, na ziemi pewnie żadnego się nie doczekamy; jesteśmy za nadto dobrze przez tych djabłów Francuzów strzeżeni, aby się do nas, na tę łysą skałę, jaki mógł dostać!» — » Przebacz naczelniku, nie wiedziałem o tém,» odpowiedział Antonijo i poszedł spiesznie na stanowisko.

Noc była spokojna i bez żadnego wypadku. Ze wschodem słońca zluzowano Antonija, który

wróciwszy, usiadł na ułomku skały i odpoczywał. Dowódzca, jak przeszłą razą, wyciągnął ramię, wskazał na jednego z bandytów, i rzekł: «Na ciebie koléj,» a ten, nic nie mówiąc, wziąwszy dwóch z sobą, odszedł. Antonijo patrzył, widział, słyszał, lecz tyle rozumiał co i pierwéj.

Nie spawszy przez całe dwie nocy, będąc mocno czuwaniem znużonym, poszukał cieni, narwał mchu, badylów, i co mógł znaléść, zrobił wiązkę, podłożył ją zamiast poduszki pod głowę, otulił się płaszczem, i chrapał smaczno na całe gardło, aż go do obiadu zbudzono. Obiad był tenże sam co i dnia wczorajszego, zalecał się wyborem źwierzyny. Antonijo widział ten sam porządek, ten sam podział, ten sam dostatek wody, i ten brak chleba. Dnia następnego znowu ta sama koléj rzeczy, a po tym dniu znowu ta sama; słowem, sześć dni minęło; Antonijo jadł sześć obiadów, a pojąć nié mógł, jakim sposobem spiżarnia w dostawę się zaopatrywała.

Siódmego dnia z rana zaczął sępieć, był niespokojny, i poszedł na krawędź skały, która się po nad przepaść na morze patrzyła; chciał się przynajmniéj pięknym widokiem rozerwać; lecz trud jego był nadaremny; zawsze sobie, chociaż i nie chciał, na myśl przyprowadzał, iż mu tylko dwadzieścia godzin pozostaje na odkrycie tajemnicy, którą śledził przez dni siedm nadaremnie. To go wprawiło w jakieś niemiłe dumanie, zaczął wo-

dzić okiem po dolinie, po kolcach skał, które w niebo się jeżyły, aż nakoniec tak się mocno w jedno miejsce wpatrzył, jak gdyby tam zjawionego ducha zoczył; wytęża rzenicę i widzi rzeczywiście; lecz sam sobie nie wierzy; byłato nie mała oddal, w którą wlepił oko. Nakoniec, po niejakiéj chwili, wykrzyka nagle i mimo woli: «Oby cię piekło pochłonęło!» Nie daremnie krzyknął, bo poznał stojącego pułkownika na tém samém miejscu, na którém powrócić mu przysiągł. Już teraz nie wątpi bynajmniéj, bo go widzi z dalowidem w ręku, a przy nim jego doradzcę, grubego doktora. Ruch, który pułkownik zrobił, przekonał Antonija dostatecznie, że go spostrzegł; widział bowiém wyraźnie, że dał dalowid pułkownemu lékarzowi, który prosto na niego wymierzył, a potém kiwnął głową, jak gdyby mówił: Prawda pułkowniku, widzę go, to on! «Tak, tak, on to, on!» rzekł sam do siebie Antonijo; «on, Antonijo, ten głupiec, który wam przysiągł powrócić i dać się powiesić.» To rzekłszy zaczął pilnie przypatrywać się grupom drzew u podnóża góry przez dziką naturę najpiękniéj rozsianym, jak gdyby sobie szukał miejsca, gdzieby mógł najprzyzwoiciéj być powieszonym. Gdy się tak w myślach zatapia, czuje, że go cóś po ramieniu uderzyło, obraca się żywo i widzi za sobą dowódzcę: «Szukałem cię,» rzekł Giacomo. — «Mnie naczelniku?» — «Tak jest; na ciebie koléj.» — «Na mnie?» — «Tak jest,

na ciebie.» — «I cóż mam czynić?» — «Ej, do djabła, iść po żywuość.» — «Aha! po żywność; a to wyśmienicie!» — «Nie rozdziawiajże gęby i spiesz się; widzisz, że tam już na ciebie czekają.» Antonijo powiódł oczyma na miejsce wskazane ręką dowódzcy, i ujrzał dwóch bandytów, którzy na niego, aby szedł, głową kiwnęli. «Oto jestem,» rzekł Antonijo, przybieżawszy do nich. «Idźmyż.»

Wszyscy trzej poszli teraz w ową stronę, gdzie ściana skały była najbardziéj przepaścistą, i jakby pod pion ulaną; tam pułkownik nié miał potrzeby być ostróżnym, i żadnéj tam straży nie postawił. Antonijo, przybywszy na miejsce, jak góral z urodzenia, stanął bez trwogi na krawędzi, i zaczął się przypatrywać miejscowości; drudzy zeszli na ubocze, jakby czegóś szukali. Jakże się nie ździwił Antonijo, gdy ich, jednego s powrozem, a drugiego z workiem powracających ujrzał! Jakże pod nim nogi nie zadygotały, gdy się do niego s powrozem zbliżono, i gdy go nim pod ramiona ujęto, i worek mu na szyi zawieszono! «Cóżto u djabła ma znaczyć? co wy robicie?» rzekł Antonijo, gdy go ta ceremonija coraz bardziéj niepokoić zaczęła. Jeden z jego towarzyszy, nic nie powiedziawszy, położył się na ziemi, i tak się naprzód posunął, że tylko głowa jego nad przepaścią wisiała.

«Zróbże teraz to samo,» rzekł do Antonija. Antonijo, chcąc nie chcąc, musiał to uczynić, co

kazano, położył się blisko swego towarzysza i wyciągnął szyję. «Czy widzisz tę, oto tam krzywą sosnę, która się z rospadliny o dwadzieścia stóp pod nami nad przepaść wygięła?»

«Ta już ci widzę,» odrzekł Antonijo.

«Patrzajże dobrze; nie widziszże tam wprost, zaraz za tą sosną, wielkiéj, czarnéj dziury w skale?»

«Tażem nie ślepy, widzę!» powiedział Antonijo.

«To dobrze; w téj dziurze jest gniazdo łomignata.» To słowo: łomignat, tak było niemiłe dla Antonija, że go mimo woli powtórzył. «No, nie znasz łomignata, największego orła w górach kalabryjskich;» rzekł mu dobitnie towarzysz; «skoro cię aż do sosny w dół spuścimy, uchwycisz się jéj lewą ręką, a drugą będziesz plądrował po gnieździe, a co tam znajdziesz, wrzucisz do worka, rozumiész?»

«O, teraz wszystko rozumię. Mam zabrać orlęta?»

«Nie bądźże tak bardzo już głupim, orlętom daj święty pokój, ale zabierz, co im matka i ojciec przynieśli. Trzy części dla nas, a czwartą dla nich.»

Antonijo podniósł się spiesznie z ziemi: «I któż przyszedł na ten pomysł szczęśliwy?» zapytał.

«Głupcze! któż inny jeżli nie nasz dowódzca,» rzekł mu bandyta.

«Myśl wielka, bardzo wielka; *sangue di Christi!* myśl Salomona!» zawołał głośno Antonijo, i uderzył się pięścią w czoło... «A tego człowieka ja zdradzić muszę?» dodał s cicha i z westchnieniem.

Tak było w saméj istocie; Giacomo będąc jak dzikie zwiérzę w około śmiercią otoczonym, i na szczycie skały zamkniętym, nié mając żadnego związku ni z ludźmi ni ziemią, użył za swoich liwerantów orłów nieba, a ci gór i powietrza bandyci, dzielili się z nim zdobyczą. — Wieczorem zniknął Antonijo.

III.

MARYA.

Nazajutrz z rana kazał pułkownik stanąć swoim ludziom pod bronią, a po skończonym przeglądzie, rzekł: «Który z was dziatki, jest pewien siebie, iż we trzech strzałach ze swojego sztućca o sto pięćdziesiąt kroków trzy razy w cel kulę poszle?» Trzech wystąpiło... «Wy? dobrze; zrobimy próbę!» Na skinienie pułkownika postawiono czarną butelkę na białéj skale, w oddaleniu wzmiankowaném. Jeden ze strzelców strzaskał wszystkie trzy butelki; każdy z dwóch drugich tylko jednę.

«Twoje nazwisko?» rzekł pułkownik do tego, który się tak pięknie popisał.

«Jestem André,» odpowiedział woltyżer oparty jedną ręką na sztućcu, a drugą muskając

sobie z upodobaniem wąsy; «jestem André, który, co się tego tyczé, gotów panu pułkownikowi służyć na każde zawołanie;» dodał s poruszeniem ramion, które temu tylko właściwe, kto przez lat dziesięć tornister nosił.

«Czy widzisz tego tam orła, który się nad nami w obłoku jak czarny punkt zawiesił, i nieustannie w około tańca chodzi?»

Woltyżer zrobił dłonią daszek nad swémi oczyma i podniósł w górę głowę: «A prawda, jest! widzi się go, panie pułkowniku; przecież Bogu dzięki,» dodał z niejaką dumą, «człowiek nie jest ślepy.»

«Dobrze tedy,» rzekł pułkownik, «dam ci dziesięć luidorów, jeźli go ubijesz.»

«W tém oddaleniu?» rzekł woltyżer potrząsłszy głową.

«W tém lub w jakiémkolwiek.»

«W locie?»

«W locie lub siedzący, to twoją rzeczą. Jesteś na trzydzieści sześć dni od służby wolny; czatuj dzién i noc, a przynieś mi źwierzynę.»

«No, moja ty kukułko,» rzekł woltyżer do orła, jakby go ten król powietrza mógł słyszéć mówiącego; strzeżże się, strzeż, abym ci twego czubka nie uszkodził! to ci powiadam...» To rzekłszy wziął się s wszelką gorliwością prawego strzelca do przysposobienia; zaczął swój sztuciec oporządzać: założył nową skałkę, wyczyścił każdą cząstkę zamku, wytarł najsolenniéj wewnątrz

lufę, i wybrał z dwunastu kul te tylko, które jéj otworowi najlepiéj odpowiadały; napełnił wódką manierkę, wziął pod ramię bochen chleba, i poprawiwszy sobie czako na bakier, odszedł, śpiéwając tę zwrotkę:

Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie,
Gdy idzie w pole na polowanie!
Ilekroć puknie i kulą świśnie,
Tyle mu sława nad głową błyśnie.
Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie!

Co dowodziło, że woltyżer rad był ze swego stanu, i s tego stopnia, na którym go porządek towarzystwa postawił.

Pułkownik usiadłszy pod namiotem, śledził go tak długo oczyma, aż dopóki mu nie zgasł w owym jodłowym lasku, przez który chropowata ścieżka pod górę biegła. Wziąwszy stamtąd oczy, zwrócił je znowu na orła, który, jakto drapiéżnych ptaków naturą, nieustannie w powietrzu koło opisywał, a teraz zaczął się zwolna ku szczytowi skały zbliżać. Razem, jak łyskawica, w dół się spuścił i zaraz znowu w górę się podniósł, ale już nie sam, tylko z zającem, s którym, jak balon z łódką, chylił się ku owéj stronie skały, gdzie sobie gniazdo był zbudował. Już go nie widać, już jest w swoim domu. W pięć minut poźniéj znowu się pokazał, odleciał w bok na kilkanaście sążni, i usiadł na kolcu skały, która się najwyżéj w niebo wy stérczyła.

Ale zaledwie tylko swoje lotne wiosła do siebie przytulił, już i grom uderzył, już i król ptaków żyć przestał. W dziesięć minut później, niosąc z sobą źwierzynę, wyszedł André z lasku.

«Panie pułkowniku, tu oto jest ów napowietrzny indyk,» to mówiąc rzucił mu do nóg ściérwistą zwierzynę. «Samiec bestya; nie mało się on napolował, aż go ja spolowałem! Cóż robić, tak już na świecie.»

«A tu są owe dziesięć luidorów,» odpowiedział pułkownik.

«Dzięki! Czy za samicę nie byłaby taż sama cena, panie pułkowniku?» zapytał André.

«Podwójna,» odrzekł mu pułkownik.

«Podwójna? dwadzieścia?... Tam do kata! niech się pan pułkownik tém nie urazi, ale masz smak osobliwszy; prawdać to, że o smaku nié ma co gadać: ten lubi tłuste, ów chude, a pan pułkownik, jak widzę, twarde. Basta; dostawię mu i samicę; a jak pan pułkownik raczysz mi roskazać obojga małżonków mchem wypchać, będziesz miał dwa prześliczne wzory drapiéżności.»

«Słyszysz, dwadzieścia luidorów,» powtórzył pułkownik.

«Słyszę, słyszę,» rzekł André chowając piéniądze. «Człowiek przecież, dzięki Bogu, nie głuchy. Bądź pan pułkownik pewien, co André przyrzecze, tego i dotrzyma. Cyl, pal! już leży.» To mówiąc odszedł, śpiéwając jeszcze głośniéj:

Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie!

Tą razą powrócił aż dnia drugiego; ale nie bez zwierzyny.

«A, toś mi walny,» rzekł pułkownik, i omal z radości w górę nie podskoczył, gdy przed nim André zwycięzko stanął.

«To była Imość, panie pułkowniku, więc ją w samo serce pocałowałem; proszę obaczyć;» rzekł André do pułkownika.

«Krwawy s ciebie Kupido,» rzekł mu pułkownik.

«Nie rozumiem co mówisz, panie pułkowniku, ale co prawda, to prawda.»

«Oto masz; weź swoję nagrodę, i odéjdź; jużeś mi nie potrzebny;» to mówiąc rzucił mu kieskę z luidorami, które André w powietrzu chwycił.

«No, pójdźcież do swoich braci, które za wami tęsknią, moje kochane rekruty; już ja was musztry nauczę. Czy nié ma pan pułkownik jeszcze co do roskazania?» rzekł André wyciągnąwszy się po żołniérsku, i przyłożywszy rękę do głowy.

«Nié mam,» odrzekł pułkownik.

«Czy nie będzie trzeba, abym te bażanty oskubał? Może na rosół lub pieczenie...»

«Dzięki ci za takowe przysmaki,» odrzekł z uśmiéchem pułkownik.

«Jak pan pułkownik rozkażesz,» to rzekłszy odszedł André krokiem podwójnym.

* * *

«Panie dowódzco,» rzekł jeden z bandytów nazajutrz za prowijantem wysłany; «zła nowina; nic nie znalazłem w gnieździe.»

«Czy już młode orły wyleciały,» zapytał spieszno Giacomo, a twarz jego pobladła.

«To nie; są jeszcze w gnieździe, ale zdaje się, że ojciec i matka nie dbają o nic, bo już im strawy nie donoszą; za wiele żarły.»

«Dobrze, już dobrze; trzeba żyć jak można; mamy jeszcze cokolwiek z dnia wczorajszego,» rzekł Giacomo zadumany.

Nazajutrz, równo ze świtem, poszedł Giacomo sam na szukanie żywności: kazał się zbójcom ująć w pół powrozem, i spuścić do gniazda, lecz nic tam nie zastał, prócz nieżywych, młodych orłów. Nie gardził niémi i wziął je z sobą.

«Niegodziwy Antonijo! on to nas zdradził, a nie kto inny;» rzekł pół głośno Giacomo.

Jeszcze tego samego dnia spożyli zbójcy młodego orła. Na drugi dzień połowę z drugiego. Na trzeci drugą połowę, i na tém koniec. Ponury smutek zamiészkał na twarzach bandytów.

Giacomo odszedł na uboczę i stanął na krawędzi skały; tam stojąc ujrzał pułkownika, trzymającego dalowid wymierzony w szczyt góry; przy nim stał doktór, któremu zdawał się opowiadać, jakim sposobem Giacomo swoim bandytom dostarczał żywności. Spostrzegł Giacoma pułkownik, bo zawiesił na końcu szpady białą chustkę,

i zaczął nią w powietrzu wywijać. Giacomo spostrzegł to hasło i zrozumiał: chcą z nim w układy wchodzić. Przywołał Maryę, wziął od niéj białą przewitkę, zawiesił w kształt chorągwi na kiju, i zatknął na miejscu najwyższém. Skoro pułkownik ten znak rozejmu ujrzał, zaraz kazał stanąć pułkowi, i zapytał: ktoby chciał wyjść na ochotnika i zbójcom zanieść warunki. André wystąpił.

To poselstwo nie było bez niebespieczeństwa; zbójcy kalabryjscy nie wiele się rozumią na prawach wojennych, i nie czynią sobie s tego żadnego zaszczytu dochować ich święcie; mogliby, będąc sami s pod praw wyjętymi, równie s pod praw wyjąć pana parlamentarza; uczuł tę prawdę sam André, bo prosił pułkownika, aby mu pozwolił kilka słów powiedzieć na osobności; otrzymawszy pozwolenie, i stanąwszy s pułkownikiem na uboczu, dobył owych trzydziestu luidorów i dał je pułkownikowi, mówiąc:

«Panie pułkowniku, bądź łaskaw i weź.»

«I cóżto ma znaczyć?» rzekł pułkownik.

«To ma znaczyć,» odpowiedział André, «że gdyby mi te łotry tam, do których idę, na tamten świat paszport dali; nie miałbym ochoty robić ich dziedzicami mojego majątku; chciéj tedy panie pułkowniku, gdybym od nich nie powrócił, dwadzieścia posłać mojéj staréj matce, a dziesięć wręczyć markietance naszego pułku; zacnato i bardzo

poczciwa dziewczyna, karmi nas, opiéra i naprawia *gratis*...»

«Dobrze, dobrze, poczciwy André; wypełnię wszystko, o co mię prosisz,» rzekł pułkownik, i dał mu zlecenie, jakie warunki ma zbójcom oświadczyć. Zapewniał życie wszystkim, prócz ich dowódzcy.

André puścił się w drogę i zaczął śmiało, jak to czyni wprawny myśliwy, wdziérać się do zbójców na skałę; spuszczał on się na swoję odwagę, którą miał w istocie, i na wymowę, którą, że ma, tak się mu zdawało. Stanąwszy na szczycie, był tylko na pięćdziesiąt kroków oddalony od straży zbójców, która na niego, skoro się pokazał, natychmiast w kalabryjskiém narzeczu zawołała: »Kto idzie?»

«Parlamentarz!» odrzekł André, i szedł swoją drogą. — «Kto idzie?» zawołała po raz drugi. — »Parlamentarz, czopie; albożeś nie słyszał?» odpowiedział André spokojnie, i szedł daléj. «Kto idzie?» zawołał bandyta po raz trzeci i przyłożył karabin do twarzy. — «To jakiś głusiec albo téż głupiec, nie słyszy lub nie rozumié,» rzekł do siebie André, i co miał siły wygłaszał to słowo: par-la-men-tarz po jednéj zgłosce; no, jakże, czyś zrozumiał? *par-la-men-taro;* oto masz i po włosku, ty włoski djable.»

Że to zwłoszczone słowo nie sprawiło pożądanego skutku, było właśnie to dowodem, iż w téj

samej chwili, w której się André tak pięknie filologiją zatrudniał, strzał zbójcy rzucił mu w przepaść czako, które pan woltyżer rzemieniem podwiązać zaniedbał.

«O ty wilczy synu!» rzekł André, który znał historyą rzymską; «pięknieś wymierzył, nie ma co mówić; wszystkie listy od moich kochanek... całą moję kancelaryę djabli wzięli; ale i ja ciebie, przeklęty zbójco, także do nich poszle!... Byłato groźba daremna, bo właśnie w téj chwili, gdy tych słów domawiał, zbójca zoczywszy, że parlamentarz żadnéj broni przy sobie nié miał, poskoczył ku niemu, i chciał go sztyletem ugodzić, w nagrodę, że mu się kulą nie powiodło.

Widząc to André, chwycił machinalnie rękę w to miejsce, gdzie zawsze zwykł był oręż nosić; ale tam się tylko s próżną pochwą zdybał, a w tymże samym czasie już mu bandyta i sztyletem w oczy zaświécił. Nie stracił przecież André wcale przytomności, piorunem schwycił za pięść zbójcę, i odparł cios zamierzony. Tu dopiéro wszczęła się walka atletyczna, chodziło o to, kto był silniéjszy. Plac, na którym się ten popis odbywał, miał wiele wpływu do zwycięztwa; rzecz działa się na dość wąskiéj drodze, która z jednéj strony opiérała się o skalistą, stromo w górę bieżącą ścianę, z drugiéj zaś biegła spadzisto w urwistość na dwa tysiące stóp głęboką. Ta wąska przestrzeń, pokryta śliską, od słońca wygorzałą trawą, była na-

wet dla tych niebespieczną, którzyby nią spokojnie i zuwagą iść chcieli. To niebespieczeństwo mieli też obadwaj zapaśnicy na wielkiéj uwadze, bo co tylko ich siła, chytrość i zwrotność za sobą miały, było tam użytém, aby się ustrzedz stéj strony, gdzie głębia swoję paszczę rostwiérała; jeden i drugi pojmował to bardzo dobrze, że raz się w tę stronę stoczywszy, już nié można było odśpiéwać piosnki *stocato i pojedyńczo*, ale koniecznie w *duecie i ligato*. Obudwóch czekała śmierć najokropniéjsza. Dla tego wszystkie starania bandyty dążyły ku temu, aby mógł wyrwać pięść swoję sklészczów, w które się dostała; André zaś ze strony swojéj łożył na to wszystkie siły, aby zamiary bandyty nie przyszły do skutku. Prócz tego, obadwaj zawodnicy mając jednę rękę wolną, ujęli się nią za szyję tak mocno, że chociaż jeden drugiemu złamania szyi scałéj duszy życzył, przecież ktoby obudwóch był zdaleka widział, zapewne byłby tego zdania, żeto są dwaj bracia, którzy po długiém niewidzeniu się serdecznie się ściskali.

Ta nieruchoma postawa trwała czas niejaki; obudwóch siły ważyły się na równéj szali; długo jeden drugiemu nie dał i na włos korzyści, aż nakoniec zbójca głodem wycieńczony chwiać się zaczął; chciał on jeszcze raz się pokrzepić, chciał zebrać wszystkie siły, na jakie tylko stać go mogło, ale jużto była wysilna ostateczność, już gło-

wa jego, jak wierzchołek podciętego drzewa zaczęła się w tył przeważać; padł ciężko, jak dąb od wichru skorzeniem wyrwany, ale padając wziął z sobą razem i swego przeciwnika.

Ta sama walka, lecz w innem już położeniu i o inną rzecz idąca. Zbójca padając, otworzył dłoń machinalnie i upuścił sztylet, który się aż nad samę krawędź urwiska zatoczył; André chciał koniecznie dostać sztyletu ręką, bandyta zaś usiłował trącić go nogą w przepaść. Obadwaj milcząc, i nie dając żadnego znaku groźby, spoglądnęli rospalonym wzrokiem w stronę przepaści, ku któréj się obadwaj coraz bardziéj mieli. Chociaż członki obudwóch przez zbytnie wytężenie już zupełnie potrętwiały, przecież André tyle miał jeszcze korzyści nad swoim przeciwnikiem, że go mógł jedną ręką za gardło dusić, a palcami drugiéj dotknąć się rękojeści sztyletu. Będąc tak blisko pożądanego kresu, podwoił tém bardziéj swoje usiłowanie, i zachwycił sztylet w rękę... spostrzegł to zbójca i ujrzał się zgubionym. Umrzéć wraz z wrogiem, to była piérwsza myśl jego, i zaraz wziął się ku jéj wykonaniu. Nie spostrzegł André jego zamysłu, nie widział, że jedną nogą zbliżył się ku ścianie; a kiedy mu już André nad piersią sztyletem błysnął, zbójca tak silnie pchnął się z nim od skały, że André, który na nim z wierzchu leżał, ze zgrozą uczuł, iż wraz z nim w przepaści leci... Okropny wykrzyk rozległ się w po-

wietrzu; byłoto podwójne przekleństwo dwóch ludzi, byłto podwójny, ostatni głos dwojga stworzeń, które się na wieki ze światem żegnały. Bandyta i żołniérz, nie mieli już pod sobą ziemi.

W téjże chwili dał się słyszéć drugi wykrzyk; byłto wykrzyk dowódzcy bandytów, którego w tę stronę wystrzał sprowadził, i który już tę walkę zdaleka ujrzał, i właśnie wtenczas nadbiégł, kiedy się upadkiem obudwóch zapaśników skończyła. Krzyknąwszy, wyciągnął za nimi ramię, jakby ich zatrzymać pragnął; ale widząc, że już z ócz mu zniknęli, skoczył jak ów dziki jaguar, i prawie jednym skokiem stanął na krawędzi skały, która się w urwistość zawiesiła; pożądliwém okiem spójrzał w otchłań, i ujrzał na jéj dnie zgruchotane ciało bandyty, od rwiącego strumienia po urwiskach bystro toczone.

«Kamracie!» ozwał się w tymże samym czasie głos pod nim o kilka stóp z dołu idący, «kamracie!...» Giacomo zwrócił oczy w to miejsce, skąd szedł głos ku niemu, i ujrzał woltyżera, jadącego na drzewie, które się z rospadliny skały nad przepaść smukło wygięło.

Obadwaj przeciwnicy, skoro ze skały spadli, zaraz się w powietrzu puścili. André lecąc był tyle szczęśliwym, że się drzewa uchwycił i tak sobą zwiénnie nań chybnął, iż się mu pod siebie wziąść je udało. Byłoto szczęście wprawdzie nie małe, jednakże na nic mu nie przydatne, bo miał nad

swoją głową skałę dziesięć stóp wysoką, a pod sobą urwistą przepaść, w które bandyta naprzód już pomłynkował. «Ah!» zawoła zdziwiony Giacomo; «kto jesteś?»

«Do tysiąc kartaczów! mówi po francuzku; chwała Bo :u, przecież się zrozumimy... Kto jestem? Jestem André Frochot, rodem s Corbeil s pod Paryża, woltyżer 31 liniowego pułku, któremu césarz nadał nazwę: *łyskawica!*»

«Cóż teraz będziesz robił?» rzekł Giacomo.

«A djabli wiedzą; osiodłałem jak widzisz szkapę, s któréj mi zsiąść trudno, a mam do was *ultimatum* od mego pułkownika.»

«Bardzo dobrze,» rzekł Giacomo.

«Jeźli dobrze,» odpowiedział André, «bądźże tak grzeczny, spuść mi co takiego, coby się liną lub powrozem nazwać mogło, i podnieś mię z upadku; zrób tak...» to mówiąc, zaczął naśladować rękami ruch człowieka wiadro ze studni ciągnącego.

Giacomo odszedł kilka kroków na stronę wyciągnął s krzaka, ukrytą, po śmierci orłów za nic już mianą linę i spuścił ją jednym końcem w dół; André chwycił pożądliwie, obwinął ją około siebie, zawiązał mocno, a potém ująwszy obiema rękami nad głową, zawołał: «W górę kamracie!!« Giacomo nie był leniwy, oparł się mocno nogami, i ciągnął, co mu sił stało. André, kręcąc się jak wiszący kłębek nad długiéj nici, zaczął odprawiać

swoją wędrówkę. Gdy już był u szczytu, Giacomo przydeptał silnie nogą linę, aby się nie wyślizgnęła, podał rękę woltyżerowi, który się jéj obiema rękami chwycił, i wszystkie siły w kupę zebrawszy, z dziwną lekkością na skałę wyskoczył.

«Dziękuję ci, kamracie; dobry s ciebie człowiek;» rzekł André; odwiązał linę, która mu za przepaskę służyła, i zaczął po sobie poprawiać, jak gdyby miał stanąć do przeglądu. «Poczciwiec s ciebie wielki; jak będziesz kiedy w podobnym przypadku, André Frochot przybieży ci w pomoc, na to się spuścić możesz.»

«Chętnie temu wierzę; a teraz powiédz, jakie masz zlecenia od swego pułkownika?»

«Otóż patrzaj, przypomniałeś mi rzecz bardzo niesmaczną; jego zlecenia były w mojém czako, a moje czako djabli wzięli. Ten tam poszedł go wprawdzie szukać...» to rzekł rzuciwszy okiem na przepaść; «ale bardzo wątpię, aby mi go przyniósł.»

«Czy nie przypominasz sobie, co te zlecenia zawiérały?» zapytał Giacomo.

«O, to ci na palcach wyliczę.»

«Ciekawym słyszéć.»

«One zawiérały, uważaj dobrze,» to mówiąc przybrał André ważną minę posła, «one zawiérały te dwa ważne artykuły, po piérwsze: że wszystkim bandytom będzie życie darowane, po drugie: że sam ich dowódzca powieszonym zostanie.»

«Nic więcéj?»

«Tylko to, nic więcéj.»

«I tego jesteś pewien?»

«Czy tego pewien jestem? alboż masz mię za śmiészka? Com powiedział, za to ci ręczę mojém słowem honoru.»

«Więc rzeczy dadzą się uporządkować,» rzekł Giacomo. «Pójdź za mną.»

André posłuchał i poszedł. Dziesięć minut nie trwało, żołniérz i bandyta stanęli na owéj płaszczyznie, która już nam znana. Bandyci leżeli na ziemi. Marya siedziała pod głogowym chaszczem i dawała piersi dziécięciu.

«Dobra wiadomość, moi przyjaciele,» rzekł Giacomo przyszedłszy; «Francuzi przyrzekają wam życie.»

Zbójcy porwali się i stanęli na nogach; Marya zamyślona podniosła smętliwie głowę.

«Wszystkim?» zapytał jeden z bandytów.

«Wszystkim,» odpowiedział Giacomo.

«Bez wyjątku?» zapytała wątpliwie Marya.

«Cóż tych poczciwców obchodzi, czy jest wyjątek jaki, byle on ich się nie tyczył,» odpowiedział niecierpliwie Giacomo. — «Dobrze dobrze,» rzekła Marya, i zwiesiła s potulnością głowę, nie czyniąc już żadnéj uwagi.

«To się ma rozumiéć,» rzekł jeden ze zbójców, »iż jest wyjątek, ale ten się tylko samego dowódzcy dotyczé.»

«Być może,» odpowiedział Giacomo.

«A ten, co tę wiadomość przynosi jest . . . ?»

«Ten, a nie inny,» odrzekł Giacomo, wskazawszy na woltyżera.

Bandyta spójrzał z zaiskrzonêm okiem po swoich towarzyszach, a widząc na ich twarzach, że się z jego myślą wszyscy zgadzają, porwał za karabin, i wymierzył spieszno; André nie zadrżawszy wpatrzył się w zbójcę.

«Na krew Chrystusa! co robisz?» zawołał Giacomo, i zasłonił piersiami parlamentarza.

«Chcę tego poganina nauczyć, jak umiémy płacić jego poselstwo,» odrzekł zbójca.

«A temu co się stało?» rzekł André i zaczął, ile mógł, wyciągać głowę, aby ujrzał bandytę, którego mu Giacomo swoim wzrostem zakrywał. «Czy on często miéwa takie napady szaleństwa?»

«Daj temu pokój Luigi,» mówił daléj Giacomo, skinąwszy ręką, «odłóż swój sztuciec; takie jest zdanie twoje; jestżeś pewny, że ono jest całéj bandy?»

«Jestto zdanie wszystkich, nie prawdaż bracia?» zawołał Luigi, zwróciwszy się do swoich towarzyszy.

«Tak, tak; takie jest zdanie wszystkich!» wrzasnęli razem wszyscy; «niech żyje nasz dowódzca! z nim chcemy żyć, z nim i umiérać! niech żyje nasz ojciec! niech żyje Giacomo!» Marya nic nie rzekła, ale po jéj licu potoczyła się łza wdzięczności.

«Wszak słyszysz?» rzekł Giacomo, zwróciwszy się do woltyżera.

«A jużci, że słyszę,» odpowiedział André, »ale niech mię djabli wezmą, jeżeli rozumię.»

«Więc jaśniéj to wyłożę: ci ludzie powiadają, że chcą ze mną żyć lub umiérać; masz bowiém wiedziéć, że ja . . . jestem ich dowódzcą.»

«Ty?» rzekł André, to wymówiwszy stanął w postawie żołniérskiéj, przyłożył rękę do czoła, wyciągnął się jak struna, i złożył swoje wojskowe uszanowanie. «Przebacz, nié miałem honoru znać twojéj godności.»

«Dobrze tedy;» rzekł Giacomo, «gdy mię już znasz, i wiész kto jestem, idźże i powiédz swojemu pułkownikowi, iż Giacomo, chociaż już z głodu umiérający, nié ma w swojéj bandzie ani jednego, któryby życiem swego dowódzcy chciał sobie wolność kupić.»

«No, no, to pięknie; nié ma się czemu dziwić,» rzekł André pomuskując wąsy; «to dowodzi, że nawet między . . . . . jakto mówią, znajdują się poczciwi ludzie. Ja lubię oddać cześć, komu przynależy.»

«A teraz radziłbym, abyś dłużéj tu nie bawił,» rzekł Giacomo, patrząc z niespokojnością na sierdziste twarze bandytów; «mogłoby tu przyjść do sprawy, za którą nie ręczę.

«Do sprawy? hm... są ludzie, którzy się spraw nie bardzo lękają,» rzekł André, spójrzawszy

s pogardą po bandytach; «lecz słusznie mówisz, nie jestto miejsce, gdzie długo rosprawiać można, zwłaszcza,» to rzekł dobitniéj, «że tu wcale nic, a nic jeść nié ma.» Giacomo zmarszczył czoło, i spójrzał iskrzącém okiem na woltyżera. Woltyżer odparł wzrok wzrokiem; a potém, gdy się już twarz dowódzcy ułagodziła, obrócił się, i odszedł wolnym krokiem, nucąc sobie ulubioną piosnkę:

Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie,
Kiedy do bitwy w szeregu stanie!
Ilekroć puknie, i kulą świśnie,
Tyle mu sława nad głową błyśnie.
Powraca z dumą, laurem okryty,
Jako ojczyzny syn znamienity:
Wita go naród, zna uszanowanie,
Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie!

Gdy ostatnią zwrotkę odśpiéwał, stanął, i obrócił się ku zbójcom, aby go snać za tchórza nié miano; pomuskał wąsy, poprawił włosy, spójrzał po sobie, czy wszystko w porządku; i dopiéro po tym przeglądzie puścił się w drogę. Ledwie uszedł kilka kroków, już go skała zasłoniła.

Bandyci stali jak słupy na tém samém miejscu, na którém ich André zostawił; żaden nie przerwał milczenia; ich oczy były w ziemię jak wświdrowane; sam tylko Giacomo patrzył w dal przed siebie, jak gdyby w głębi widokręgu w cóś mocno się wpatrywał. Nie długo trwało, ocknął się, i odszedł, słowa nie rzekłszy. Dopiéro teraz rzucili

się wszyscy szukać sposobu pokonania głodu, który ich srodze pożérał. Jedni wykopywali korzonki, drudzy zbiérali głóg lub inne dzikie owoce; sama tylko Marya, oparta o ścianę skały, i ruchu nie zrobiła, czuła, że jeszcze ma cokolwiek pokarmu w piersiach dla pożywienia dziécięcia.

Po dwóch godzinach powrócił Giacomo; w jednéj ręce niósł kij, żelazem okuty, jakiego rzymscy wolarze do pędzenia trzód używają, w drugiéj powróz, który nam już znany:

«Bądźcie w pogotowiu, pójdziemy w drogę.»

«Kiedy?» z[illegible]zbójcy.

«Téj nocy, je[illegible]» odpowiedział Giacomo.

«Znalazłeś przesmyk dowódzco?»

«Znalazłem.»

Radość oblała twarz bandytów, bo żaden nie wątpił, i wierzył mocno w słowa dowódzcy. Marya, powstawszy z ziemi, podała mu dziécię, i rzekła: «Giacomo oto syn twój, pocałuj go.»

Giacomo pocałował dziécię s taką miną, jaką ma ten, który się boi, aby kto na twarzy jego śladu ludzkości nie dostrzegł i o słabość go nie posądził, a potém wyciągnął ramię ku wschodowi: «Za pół godziny będzie już noc.»

Wszyscy opatrzyli broń, i świéżo nabili.

«Jesteścież gotowi?» zapytał Giacomo.

«Jesteśmy.» — «Za mną!»

Ruszyli z miejsca, i szli od dowódzcy prowadzeni w stronę, która była naprzeciw téj, którą

André był odszedł. Gdy kilkadziesiąt kroków uszli, dowódzca szepnął, a cały poczet stanął: «Za mną, zwolna i cicho, jeden za drugim!» to rzekłszy, spuścił się w dół ścieżką, która była tak wąska, że ledwie na jednę stopę wystarczała; wiodła krawędzią po nad okropne urwisko. Uszedłszy znowu kroków kilkadziesiąt, stanął, i ostrzegł, że się ścieżka przerwała, i że trzeba ją śmiałym skokiem zachwycić. Stało się. Wszyscy przeszli szczęśliwie. Teraz zaczęła się ścieżka zaginać i ciekła w stronę, gdzie przezorny pułkownik czaty postawił; byłto przesmyk, gdzie jeden człowiek dziesięciu wstrzymać zdoła. Wiedział o tém dobrze Giacomo, bo wydał głos cichy, i krótki wprawdzie, ale tak ostry, że go każdy z bandytów zrozumiał, i domyślał się, że tu o życie idzie. Między dwoma ścianami, we dwoje zgięty, sunął się, jak żuraw', jeden za drugim; już się zbliżali ku straży; każdy stłumił dech w piersiach, i trzymał broń w pogotowiu; ale nieszczęście, dziécię zapłakało.

Giacomo spójrzał za siebie, a jego oczy zaświéciły w ciemności, jak oczy tygrysa. Marya wtknęła spieszno dziécięciu w usta piérś wyzdrojoną; dziécię porwało piérś chciwie, i zamilkło! Marya otarła pot śmiertelny s czoła, i westchnęła. Po téj krótkiéj przerwie ruszono naprzód. Nie minęło dziesięć minut, a dziécię, które się zawiodło, i pokarmu w podanéj piersi nie znalazło, zakwiliło znowu... Giacomo wydał ryk, który nié mógł straży baczną zrobić, bo jeżeli go słyszała, miała

go raczéj za wycie wilka, aniżeli za głos człowieka.

Marya drżąca na całém ciele, przytuliła usta swoje do ust dziécięcia, które ssać je zacząwszy, umilkło. Znowu kilka kroków postąpiono, ale dziécię, głodem trawione, znowu zapłakało!...

Jak wściekła hyena skoczył teraz Giacomo, i nim się Marya spostrzegła, uchwycił dziécię za nogę, i wywinąwszy nim kilkakroć w powietrzu, jakto czynią pastérze, kiedy s procy kamiéń rzucają, uderzył nim o piéń drzewa, i rostrzaskał mu głowę.

Marya skamiéniała;... z włosem zjéżonym, z osłupiałym wzrokiem, stała przez chwilę; poczém schyliła się machinalnie, podniosła zgruchotane ciało dziécięcia, włożyła je do fartuszka i poszła spokojnie za rzędem zbójców, na których czele znowu stanął Giacomo. Szli czas niejaki, aż się góra cokolwiek dostępniéjszą robić zaczęła. Instynktem dzikiego źwiérza, pomiędzy chaszcze i skał zakręty przedziérał się Giacomo, aż się dostał do wysokiéj, badylami gęsto zarośniętéj trawy, która ledwo wężowi przejścia dozwalała. Tędy odprawiano pochód przez całą godzinę w największém milczeniu, jeżeli nieustanne pełzanie po ziemi, jeżeli skakanie ze skały na skałę, pochodem zwać można. Nakoniec przyszli do téj części góry, która miała ścianę prostopadle odciętą; było to miejsce cokolwiek płaskie i na przeciwnéj

stronie, o dwadzieścia stóp w oddaleniu, takąż samę płaszczyznę mające; otchłań, która te dwa płaskie wiérzchołki rozdzielała, rozwarła się w skutek wstrząśnień wulkanicznych; zdarzenie bardzo dawne, bo z najstarszych ludzi nikt nie zapamiętał, aby te dwa bliźniaki jedną górą były. Nie małe było zdumienie zbójców, że Giacomo w tę stronę ich zaprowadził; nie mogli pojąć, coby tu robić mieli; to ubocze góry dobrze im było znane; będąc otoczeni żołniérzami, każdy z nich szukał wycieczki, a przeto każdy z nich aż do tego dostał się miejsca; ale skoro tak okropną przepaść pod nogami ujrzał, skoro okiem zmierzył tak wielką széro-kość od zbawiennéj ziemi rozdzielającą, zaraz zwiesił głowę i wrócił skąd przyszedł. A przecież teraz na téj krawędzi, nad tą przepaścią zatrzymał ich Giacomo i kazał im w pół-kole stanąć. Wykonali rozkaz, bo wiedzieli z doświadczenia, co to za człowiek; jenijusz jego nie raz ich wybawił z największéj przygody, ileżto razy, gdy ich witała śmierć oczywista, nie wyszukał sposobu zbawienia! Stanęli, i czekali, co przedsięweźmie.

Giacomo miał wzrok spokojny i wypogodzony; rozwinął powróz, rosciągnął go na długość całą, skinął na jednego z bandytów, i przywiązał mu do pięści jeden koniec powrozu, a drugi przymocował do środka kija, żelazem okutego; wzniósł kij nad głowę, rozmachał go jakby spisę w powietrzu, i rzucił nim s całéj swéj siły na drugą stronę. Bandyci, przyzwyczajeni widzieć

w noc najciemniéjszą, puścili oko za lotem spisy, i widzieli, jak na przeciwnéj stronie, pomiędzy dwa dęby z jednego pnia idące, przeleciawszy, w ziemię ustrzęgła. Teraz odwiązał Giacomo koniec powrozu od pięści bandyty; zaczął powróz wyprężać s całéj swéj mocy, aż nim wyrwał kij z ziemi, i ciągnąc go ku sobie, przyciągnął ku dwom dębom, gdzie przez horyzontalne położenie oparty, już się daléj ciągnąć nie dawał, a to właśnie było zamiarem bandyty. Tego dokonawszy, otoczył trzykroć około drzewa drugi koniec powrozu, który w ręku trzymał, i zawiązał go na kilka guzów; potém raz go jeszcze około drzewa obwinął, i znowu na guz zawiązał. Teraz poszedł na krawędź; usiadł, spuścił nogi w przepaść, ujął powróz obiema rękami, zsunął się w otchłań, i tak, siłą swoich pięści, ze zwieszonémi w przepaść nogami, po tym napowietrznym moście zaczął odbywać przeprawę.

Z otwartą gębą i wytrzyszczonémi oczyma patrzali za nim bandyci. Widzieli, jak on, kładąc rękę po ręce, tak lekko naprzód pomykał, jak gdyby się nogami po ziemi opierał; w ten sposób dosunął się spiesznie do brzegu przeciwległéj strony, zebrał jeszcze raz wszystkie siły, dźwignął chyżo nogi na powróz, uchwycił się korzenia owych dwóch dębów i jednym śmiałym, silnym ruchem, wyskoczył na płaszczyznę... Tu, opatrzywszy s wszelką przezornością kij i powróz, znalazłszy, że dosyć są mocne do przeprawy dla wszystkich,

dał znak swoim ludziom, aby się ku niemu tąż drogą puścili.

Bylito odważni, rzutliwi górale; na skinienie dowódzcy, tuszni w siły swoje, puścili się śmiało jeden za drugim, i wszyscy stanęli u celu szczęśliwie.

Marya czekała aż się przeprawił ostatni; gdy na nią przyszła kolćj, wzięła dolne końce fartuszka w zęby, chwyciła powróz obiema rękami, i podobnie drugim przebyła przepaść bez wszelkiéj obawy.

Teraz dopiéro wolno odetchnął dowódzca, bo widział wszystkich swoich ludzi około siebie zdrowych i wesołych; uratował im życie, i w ten im sposób odwdzięczył tę spaniałość: że ceną życia jego, żaden wolnym być nie chciał. S pogardą spójrzał na posterunki Francuzów, których ognie łyskały od stai do stai; a potém zwróciwszy się do swoich, zawołał z dumą i głośno: «Naprzód!» Bandyci ruszyli wesoło i sporym krokiem.

W godzinę ujrzeli wioskę u podnóża, góry i spuścili się w dolinę. Giacomo wszedł śmiało do chaty włościanina, nazwał się po imieniu i oświadczył, czego ludzie jego potrzebni: z największym pośpiechem zostali przez włościan we wszystko zaopatrzeni. Zapłaciwszy hojnie dostawę, puścili się znowu w drogę, i w pół godziny byli już między górami. Giacomo poszedł na rospoznanie miejsca, czy jest bespieczne; lecz nie dłu-

go bawił, i powróciwszy dał znak, że tu nocować i wieczerzać będą.

Z wielką roskoszą wykonaném zostało to wydane hasło, bo chociaż każdy od głodu był pożérany, przecież nie śmiał jeść wprzódy, aż na to dowódzca nie wydał pozwolenia. W kilku minutach płonął wielki ogiéń; bandyci usiadłszy w koło, dobyli jadła, i nagradzali sobie z wielką gorliwością czas długiego postu; Giacomo powiódł oczyma, i nie ujrzał Maryi; porwał się z ziemi, i odszedł spieszno. Puścił się tą samą drogą, którą przyszli, biegł z góry ku wiosce; razem krok zaciął, i stanął jak wryty; ujrzał Maryę pod rozłożystym dębem klęczącą: wydrążała rękami dół w ziemi na grób swego dziécięcia...

Gdy to Giacomo ujrzał, wypadł mu chléb, który trzymał w ręku; patrzył na nię przez długą chwilę; a nié mając serca przemówić do niéj, powrócił smutny i zamyślony do koczowiska.

Już było po wieczerzy; Giacomo wydał hasło, i rozstawił straże; uczynił to więcéj ze zwyczaju, aniżeli z obawy. Bandyci, potrzebni spoczynku, legli wokoło ogniska; Giacomo rozścieliwszy płaszcz na uboczu pod krzakiem, poszedł za ich przykładem. Płomiéń, niczém nie podsycany, coraz słabiéj wymykał się z ogniska; długo mykał w niebo, aż nakoniec omdlał i w zarzéwiu skonał; czarny płaszcz nocy okrył zasypiających. Straż niewczasem wysilona, nié mogła się ustrzedz od snu napaści. Najbardziéj uczuł tę przemoc bandy-

ta, mający straż w okręgu koczowiska; bojąc się, że go sen zwalczy, zaczął się krzepić raźnym, wprzód i wzad przechodem. Nie długo trwało, nadstawia ucha, i słyszy głos łagodny, a razem smutny, nazwisko jego wymawiający; obraca się i poznaje — Maryę.

«Luigi! nie lękaj się, odłóż broń; ja to jestem ja Marya.»

Luigi zrobił znak szczérego uszanowania.

«Biédny młodziéńcze,» mówiła daléj, «jesteś utrudzony, sen ci zamyka powieki, nié możesz ustać na nogach, a masz straż odbywać.»

«Cóż czynić? taki rozkaz dowódzcy;» odrzekł Luigi.

«Mnie Bóg snem nie pobłogosławił,» rzekła Marya głosem smutnym; «mnie sen unika, bo jestem — nieszczęśliwą matką.» To mówiąc wskazała na skrwawiony fartuszek. «Krew mego dziécięcia spać mi nie daje, słyszę jego kwilenie; oh! ja nie zasnę... Ty wiész, że mam wzrok i słuch dobry, daj mi twój sztuciec, ja za ciebie na straży stać będę; gdy zacznie świtać, przebudzę cię; dwie godzin snu, chętnie ci użyczę. Przyjm ten podarek.»

«Ależ dowódzca... gdy się dowié, że ja...» rzekł Luigi snu spragniony.

«Wszak i twój dowódzca pod snu przemocą, skądże się dowié?»

«To wszystko prawda, ale... któż mi zaręczy, że...»

»Ja ci zaręczam i wszystko biorę na siebie.« Bandyta oddał sztuciec, i nie szukając długo legowiska, uszedłszy kilka kroków, padł jak nieżywy.

Marya, oparta na sztućcu, stała długą chwilę z oczyma w ziemię spuszczonémi; nakoniec ocknąwszy się z zamyślenia, spójrzała w około siebie ponurym wzrokiem; a widząc, że wszyscy twardym snem uśpieni, opuściła stanowisko, i poszła między śpiących, tak lekkim i cichym krokiem, że się zdawała być duchem, ziemi niedotykającym. Stanąwszy przy krzaku, pod którym spał Giacomo, odwiodła kurek, przyłożyła sztuciec do jego piersi, zwróciła oczy do nieba, i..... grom runął po całym lesie.

«Cóż tó jest? co to znaczy? jesteśmy napadnięci!» krzyknęli zbójcy ze snu się porwawszy.

«Nic to, nic,» odrzekła Marya spokojnie; «to moja nieostróżność. Luigi, za któregom na straży stanęła, nie przestrzegł mię, że sztuciec był nabity i kurek odwiedziony; przypadkiem dotknęłam się, a sztuciec wypalił.»

Bandyci, mruknąwszy słowa niezrozumiałe, pokładli się i posnęli znowu.

Giacomo nie wydał najmniéjszego jęku; kula przeszyła go skróś serca.

Marya oparła sztuciec o drzewo, odcięła od tołuwia głowę Giacoma, zawinęła ją w ten sam fartuszek, który był krwią jéj syna zbryzgany, i poszła ku dolinie. —

Nazajutrz rano uwiadomiono pułkownika, że jakaś dziewczyna mówić z nim żąda, która, jak powiada, miała zgładzić zbójcę, Giacomo zwanego. Pułkownik rozkazuje wprowadzić ją do namiotu. Marya przyszedłszy, stanęła przed pułkownikiem, wypuściła z ręki jeden koniec fartuszka, a głowa bandyty potoczyła się do nóg pułkownika.

Pułkownik, chociaż do wszelkiéj zgrozy śród tylu bojów przyzwyczajony, nié mógł się przecież nie wzdrygnąć na taki widok; a potém zwróciwszy oczy na dziewczynę, która jak posąg rospaczy, z bladą i surową miną, przed nim nieruchoma stała, zapytał: Ktoby ona była?

«Wczoraj byłam jego żoną . . . dziś, jego wdową!»

«Niech jéj wypłacą trzy tysiące dukatów,» rzekł na to pułkownik.

* * *

W cztéry lat po tém zdarzeniu, umarła w Rzymie zakonnica, w klasztorze Śgo Krzyża, a sława wielkiéj świętobliwości towarzyszyła jéj do grobu; bo nie tylko, iż prowadziła życie przykładne, od chwili, w któréj klasztorną przysięgę złożyła, przyniosła także z sobą posagu 3,000 dukatów, które klasztor po jéj śmierci odziedziczył. Bliższe okoliczności jéj dawniéjszego życia zupełnie były nieznane; wiedziano tylko, że siostra Marya była rodem s Kalabryi.

BAJKI NOWE.

CZY JEST PIEKŁO?

Wielcy ludzie pewnego otoczyli człeczka
Szeptając między sobą: « On ma w głowie ćwieczka.
Pytali : « Czy jest piekło ? » ten rzekł : « Co żartować ?
» Lepiéj nie iść do niego, niż czy jest, próbować. »

Maskarada.

Raz djabeł chciał udawać anioła pokoju,
Lecz widać już zapomniał o anielskim stroju.
Bo uciekały dusze wszystkiémi drogami :
» Jakto » krzycząc « być może anioł s pazurami ? »

ŻEBRAK I BOGACZ.

Fukał bogacz : « Jakiémi jesteście sługami,
» Dopuszczacie iż żebrak jęczy pod oknami. »
Odszedł żebrak ; słyszano tylko słowa jego :
» Gdybyś znał, korzystałbyś s przyjścia ubogiego. »

JEŻ I LIS.

Jeż do lisa rzekł: « Kradniesz! » — « Co! taki uczynek
» Zarzucasz mnie ; wyzywam cię na pojedynek. »
— Wyzywasz, tamten powie, to bardzo jest ładnie,
» Lecz jednak nie dowodzi to, że pan nie kradnie. »

PSZCZÓŁKA.

» Wolność,» krzyczała pszczółka, «niebiosa mi
(dały!
» Nie chcę praw, coby moje chęci tamowały.»
— «Dobrze;» rzekły jéj inne, «rób co myśl przynie-
(sie,
» Ale wynieś się z ula i siedź jedna w lesie.»

Indeks i Dzwonek.

» No na co zégarmistrzu ten dzwonek w zégarze?»
Mówił indeks «bez niego już ja czas pokażę.»
A ten rzekł: «Niechaj jego głos ci towarzyszy,
» Jest taki co nie widzi, to może usłyszy.»

STROFOWANIE DJABŁA.

» Ze mną się sprzéczać!» szatan raz duszę strofował,
» Ze mną com archanielski urząd już piastował!»
Te rzekły: «my twém słowom nie odmówim wzglę-
(du,
» Lecz staraj się byś wrócon znów był do urzędu.»

CHŁOP I PIES.

Szedł chłop s prośbą do pana, i chléb po kawale
Psom rzucał, «nie ukąszę» jeden z nich przyrzekał.
» Mam kij,» rzecze, «twych zębów nie lękam się
(wcale;
» Lecz dla tego ci daje, ażebyś nie szczekał.»

Włosek i Kółka.

Lskniące kółka w zégarku z włoska żartowały:
» Niepoczesna figurka ! » tak ciągiem szeptały.
W tém ten prysnął, te stoją. Poznały inaczéj
Niepoczesna figurka, czasem wiele znaczy.

MAŁPECZKA.

Małpka, co ludzie robią, ona naśladuje;
Rozłożyła raz książkę, nad nią medytuje.
Cóż że siedzisz nad książką, małpeczko kochana?
Gdy nie rozumiész jaka tam rzecz napisana.

O DAWNYCH STROJACH.

Jakążkolwiek mamy wiadomość z dziejów i pomników o strojach dawnych narodów Europy, zawsze jasno postrzegamy to ogólne prawidło, że w miarę postępu w oświéceniu, ukształcają ludy swe stroje i ubiory, czyli raczéj stopniowie przejmują je, od ludów i narodów, za których pośrednictwem oświaty nabiérają, zachowując z mniéjszém lub większém upodobaniem, smak swój narodowy. Z Azyi oświécenie przyszło dwiema do Europy drogami, przez morza Grekom przyległe

i przez Don. Trzeci zaród cywilizacyi, ukształcił się niejako w samej Europie, na północy u nadbrzegowców morza Baltyckiego, Skandynawów. Trzy także rozgałęzienia się strojów w Europie postrzegamy.

Grecy przyjęli stroje od Egipcyan, Feników, Sydończyków i innych, związkiem handlu z sobą połączonych narodów, których wpływ wyprowadził zdziczałych żołędziożerców z niewiadomości i prostoty. Smak prawdziwy, ta jedyna cecha Greczynów starożytnych, przyłożył się do udoskonalenia patryarchalnych swych nauczycieli. Rzymianie przyjąwszy polor od swych sąsiadów wschodnich, przyjęli też ich ubiory; zostawszy zaś panami całéj im wiadoméj Europy, przelali innym narodom, jeżeli nie smak dobry w ubiorach, to przynajmniej świetności ich wyobrażenie. Dla tego przez upadek Rzymu, przez okropnych zniszczeń długie i krwawe czasy, przez wyginienie na ostatek rodu prawdziwych Rzymian, a przez odrodzenie się na drodze zepsucia i barbarzyństwa Greków, utworzone nowe narody, z mięszaniny nabiegłych barbarzyńców, potworzyły sobie nowe stroje, ani na wzór swych narodowych, ani na wzór rzymskich, lecz zupełnie w smaku i upstrzeniu głów swoich, z barbarzyństwa wychodzić poczynających. Owóż to jest zasadą strojów i ubiorów południowéj Europy, tak dziwacznych i tak niestałych w swéj formie; ich przetworzenia i mody, zaledwie pojęciu możne,

dotrwały do dni naszych. Dziwić się tylko należy, że za wzrostem oświecenia i smaku w rzeczach rozumu, tak poźno te oświécone i oświécające świat narody, zwróciły wzrok na dziwaczność odzienia swego, rzecz, zdaje się, najbliżéj człowieka zastanawiającą.

Nie taką drogą ukształciły się stroje Sławian i Litwinów. Scyty, naród urosły do niezmiernéj ludności, w najpiękniéjszéj ziemi Europy środkowéj, przelelí w dziedzictwie potomkom swym, stroje azyatyckie: bo pochodzili sami z Azyi: szczególniéjszą cechą tych strojów jest: krótkie, z dołu podgalane, noszenie włosów, spólne narodom całéj Azyi. Jeżeli uczeni usiłowali dowodzić pochodzenie starożytnych Germanów od Azyatów, czyli Partów, dla podobieństwa w mowie, powinniby byli i to uważać za dowód, że dawni Germani głowy w czub golili, po azyatycku. Sami mnisi, klassa ludzi z Azyi swój początek biorąca, z azyatycka włosów noszenie przyjęli. Co zaś do przodków Sławian, oni podobno nie podgalali włosów, ponieważ średnich wieków zabytki, niestrzyżonego włosa, nad czołem rozdwojonego i na tył zaczesanego, przypominają noszenie sławiańskie. Wszelako ucinali na tyle głowy równo s karkiem; mając za hańbę włos długo spadający, i mieniąc to być krótkiego i niewieściego rozumu cechą. Co się tycze podgolonego włosa i ostrzyżonego, zwyczaj ten powstawać musiał u Polaków,

zajętych już wojnami: albowiém i dziś przyznano, że dla żołniérza włosów trefienie, jest rzeczą więcéj jak zbyteczną, a ostrzyżenie nisko zdrowiu i wygodzie służącą. Nietrzeba więc miéć baaczenia na zarzuty cudzoziemców, naigrawających się z dawnego zwyczaju naddziadów naszych, golenia głowy. Jednak nie należy brać za przykład obrazy starców niektórych, z wysoko nazbyt podgolonémi włosami, s przyczyny wypadnienia s przodu, czyli łysiny, oni, zaokrąglając swoje czupryny, zbyt ich rozmiar uszczuplali; weszło to w modę od czasów Jana III Króla. Uważając zaś foremne, po polsku, noszenie włosów, postrzegamy, że zaledwie wyżéj uszu podgolone być powinny, czupryna spuszczona do ucha, nad czołem i skroniami wyżéj, jak do pół czoła. Skład taki włosów, dawał pozór szérokiego czoła z wejrzenia, które w tym razie przybiéra postać kwadratową, jednę z najpiękniéjszych zalet głowy. Nie piérwszy Gall pochwalił takie czoła: znali je i starożytni, wydając posągi ludzi mądrych i pięknego wejrzenia.

Polacy, miłośnicy zawsze przyjemnych i pożytecznych zwyczajów, zachowywali ubiory przez przodków zapożyczone od Azyatów, które przepych i zbytek rozmaicąc s perska, z arabska, czerkieska i węgierska, rozlicznie ukraszały. Ani ich kiedy pociągała chęć naśladowania ubiorów południowo-zachodnich sąsiadów. Bo jeżeli

w dowód przywiązania swego do Królów, za ich upodobaniem, ubiorem swym lubili niekiedy cechę modności nadawać, gdy dla gustu Króla Stefana, w węgierkach i bekieszach długo się kochali, mało znaleźli Królowie, z domu Saskiego, naśladowców niemiecko-francuzczyzny. Golenia głów, wojowniczo-azyatycki zwyczaj, długo się utrzymywał, prawie do końca XVIII wieku, wniesiony do Polski, za czasów Zygmunta I, po bitwie s Tatarami pod Łopuszną roku 1512-go; z razu i długo dość przez samo żołniérstwo naśladowany, a pod Zygmuntami powszechniéjszy w wyższych stanach rycérstwa.

Skandynawy, czyli nadbrzegowce Szwedzkiego, Duńskiego i Norwegskiego lądu, lud krzepki, wrodzoną bystrością dowcipu obdarzony, tak, jak do swojéj cywilizacyi, światła od Rzymian zbyt odlegle mieszkających nié mógł zasięgać, tak téż z Azyi Zadońskiéj nie zasięgał; mało nawet należał do związku z Sasami, Frankami i Brytańskich wysp miészkańcami. Oni przeto winni ukształcenie swoje, prawie sami sobie, i ukształcili się dość wcześnie, podług tego, co na różnych miejscach Narbutt w dziele: *Dzieje Litwy*, powiedział; ubiory Skandynawów zdawna były krótkie, opięte, ciepłe, włos długi, ale strzyżony, chociaż nie tak wysoko jak Sławian. Pokolenia fińskie nie znały strzyżenia włosów, tak jak Węgrzyni, dziś jeszcze wziąść głowę wie-

śniaka Szwedzkiego i Żmójdzkiego, będą zupełnie prawie tego samego kształtu, jak równie Estończyka i Węgrzyna. W piérwszych wpływy zbyt zagęszczone, w drugich pokrewieństwo, są tych podobieństw skutkami.

Starożytni Litwini, zupełnie się nosili ze Skandynawska, a przynajmniéj z małémi wyjątkami, jakie i dziś zachodzą między wieśniakami obu krajów, które spowodowała różnica mienia. Kobiéty zaś bliżéj są w strojach do siebie podobne, przynajmniéj w niektórych prowincyach.

Starożytni Sławianie północni, także naśladowali Skandynawów, jeżeli nie co do noszenia włosów, to w ubiorach. Zdarzyło mi się widziéć malowidła, staréj daty, uważane za należące do dawnych Skandynawów, Litwinów i Sławian, pod panowaniem domu Rurika będących, ubiory rycerzy i wodzów, prawie téż same we wszystkich.

Sprzytoczonych uwag, w tych krótkich i nawiasowych badaniach zawartych, postrzegamy, że trzy podziały strojów początkowych naznaczyć w Europie należy, jako trzy osobne źródła cywilizacyi upatrujemy.

Piérwsze poszło od Greków, a przez Rzymian rozniosło się po całéj Europie zachodnio-południowéj, aż do wysp Brytańskich. Stąd u tych narodów postrzegać się dawała mięszanina strojów Rzymskich z barbarzyńskiémi, któréj odmia-

ny i odcienia do naszych czasów dotrwały, w strojach damskich, żołniérskich i męskich. Europejki oświécone, pod nazwaniem mody, mają szał w przemianie strojów formy i w niéj kołują z dziwactwem niewypowiedzianém: albowiém ubiory zarzucone, po wieków upływie, wracają na scenę mody, z dziwną tożsamością. Dziś naprzykład, ujrzysz strojną panią, zupełnie tak ubraną, jak dama na obrazie malowanym, na ścianie po prawéj ręce w Kaplicy Ś. Kazimiérza w Wilnie, przy kościele Katedralnym przez Dakersa za Władysława IV, gdzie jest wyobrażenie rzeczy, dziejącéj się w wieku XV; albo ujrzysz jaką urzędniczkę w teatrze, mającą na sobie tyle materyałów do stroju, że z niego wygodnie możnaby trzy panny ubrać do szlubu, podług mody przed lat trzydziestą byłéj. Mundury także idą za modą: kto wié, czy dawniéjsze nie wygodniéj przydawały się do potrzeby wojennéj. Dzięki Anglikom, ich krawcy ustanowili systema ubiorów mężczyzn, dla całéj Europy, pozostaje tylko niewiele odmian waddytamentach dla mody. Już nawet i Polacy przyjęli to systema. Drugie źródło oświécenia, powstało w Skandynawii, stroje Skandynawskie, wspólne ludom Litewskim, poszły w klassie wyższéj w zapomnienie, wieśniacy nawet wiele przemiénili, same kobiéty w niektórych częściach krajów, przez Litewskiego plemienia ludy zamiészkanych, jeszcze dochowują te zaby-

tki. Niéma co mówić wreście o trzeciém źródle oświécenia, przyniesionego przez Don z Azyi: ono wprawdzie przyniosło było ubior najwspanialszy, najlepiéj s potrzebą wojenną zgodny, bogaty, wytworny, prawdziwie majestatyczny; ale upadł on między nami, i ledwie w części między Kozakami pozostał w Europie. Bardzo zaś byłoby rzeczą pożądaną, i wielką dla dziejów korzyść przynoszącą, żeby uczone które zgromadzenie, z istnących w Europie, wyznaczyło środek i osoby, do zrobienia opisów i rysunków dokładnych wszystkich strojów, używanych w państwach europejskich, przez jakiebądź klassy ludu, z wyrażeniem badań historycznych, o ich należeniu do narodów i ludów. Stąd mielibyśmy pomoce do dziejów starożytnych Europy większe, niżeli się spodziéwano.

NIÉ MA NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM.

PRZEZ MICHAŁA QUIN.

W NAJNOWSZYCH czasach odkryto, że niektóre z najważniéjszych kunsztów i wynalazków, którémi się chlubimy, na wiele wieków, za nim je w Europie zaprowadzono, już w Chinach były

znane; wymiéniny tu między innémi tylko najcélniéjsze: sztukę drukarską, igłę magnesową i proch do strzélania. Rozszérzając się nad tą uwagą, byłoby łatwą i ciekawą rzeczą okazać, iż także inne kunszta i rzemiosła, które się nam nowoczesnémi być wydają, nie tylko w starożytności w ogóle, mianowicie w poźniéjszych i świetniéjszych jéj epokach, ale nawet w czasie, w którym Południe Europy jeszcze w grubéj śpoczywało ciemnocie, na półtora tysiąca lat przed erą chrześcijańską, w piérwiastkowéj kolébce wszelkiéj cywilizacyi, to jest: w Indyach, Egipcie, równie jak i na całym Wschodzie wykonanémi były. Początki wszelkich dziejów są ciemne i zagmatwane; jednakże, ile z doniesień biblijnych, tudzież z innych podań i pismiennych pomników, a szczególniéj z zabytków monumentowych wnosić można, obok prostoty patryarchalnego życia, jakie nam S. Pismo przedstawia, znajdujemy narody, które się już za owych czasów wyrabianiem różnych przedmiotów zajmowały, co o znacznym postępie kunsztów cywilizowanego życia poświadcza. Znajdujemy bowiém narody, które do wysokiego stopnia doskonałości przyprowadziły swe rolnictwo, które po dalekich morzach wysyłały handlowe swoje nawy, ogromnémi wojskami prowadziły z sobą wojny, które broń, powozy, hełmy, tarcze, pancérze i ubior tak zręcznie i wytwornie wyrabiać umiały, że ich w téj mierze je-

szcze po dziś dzićń prześcignąć nié możemy. Hijob w swych żalach nadmienia o zburzonych i w perzynę obróconych miastach, pustkami stojących domach, o skarbach, które na długi czas przed nim w ziemi zakopanémi zostały. Ileżto upłynęło wieków nim powstała ludnność, która te, podówczas już w gruzy zapadłe miasta, wzniosła i upiększyła? Jakim sposobem nabyły te narody owych kunsztów i rzemiosł, bez których wielkie miasta na żaden sposób ostaćby się nié mogły? Mniemanie, że przez zamożne narody, które w dawnych czasach kwitnęły, zakopane są skarby w ziemi, jest jeszcze po dziś dzićń tak powszechném na Wschodzie, iż tameczni miészkańcy każdego podróżnego mają w podejrzeniu, że nie w innym zamiarze przybywa do ich kraju, jak tylko dla odkrycia i przywłaszczenia sobie tych skarbów. Hijob nadmiénia także o zupełnie zwyczajnym związku handlowym, w którym na wymianę za złoto i srébro drogie kamiénie z Etyjopii i różnobarwne materye z Indyów do jego ojczyzny sprowadzano. Przepych taki dowodzi, że Etyjopija, Syrya i Indye już podówczas na wysokim stopniu kultury zostawały. Jakoż ślady miast i świątyń, które przez potopy, trzęsienia ziemi i wylewy morza w Indyach przepaści pochłonęły, niezliczone gruzy miast we wszystkich częściach Syryi, o których nazwisku tak w dziejach, jak w podaniu nawet pamięć zginęła, nakoniec ogro-

mne zwaliska na brzegach Nilu, są najlepszym téj kultury dowodem, Egipt, dokąd się schronił Abraham, wypędzony głodem ze swojéj własnéj ojczyzny, zdaje się, że już za owych czasów więcéj niż na 1800 lat przed erą chrześcijańską, był spichlerzem narodów. Z opowiadania w biblii okazuje się, iż Józef zastał Egipcyan nadzwyczajnie biegłych w wielu kunsztach, które do ukształconego stanu społeczeństwa należą. Faraon dał Józefowi w podarunku pierścień z swéj własnéj ręki, jedwabny płaszcz, złoty łańcuch i powóz. Widać, iż cała przestrzeń Egiptu w owym czasie była już uprawioną. Także pieniądze były już powszechnie w używaniu, albowiém Pismo Ś. nadmiénia, iż bracia Józefa dla zapłacenia za zboże znaczne summy z sobą przynieśli. Puhar, który w kieszeń Benjamina włożono, był srébrny. Nawet nabalsowanie było podtenczas już w zwyczaju, a gdy Józef odprowadził zwłoki swojego ojca, towarzyszył mu wielki orszak jeźdzców i powozów. Małżonka jego była córką pewnego kapłana z sławnéj świątyni w Heliopolis, któréj obeliski jeszcze po dziś dzién poświadczają, do jakiego stopnia już przed owym czasem wznieśli się byli egipscy artyści w obrabianiu granitu, to jest w operacyi, w któréj teraz jeszcze z największémi trudnościami walczyć potrzeba.

Gdy Józef swoim braciom zarzucił, że są szpiegami, używał wyrazów, w których ta rzecz

na szczególniéjszą zasługuje uwagę, iż o słabszych częściach kraju nadmiénia; s czego, równie jak spomników Beni-Hassan (1) i w Tebach, okazuje się dokładnie, że Egipcyanie już podówczas orężem Azyę najéżdżając, strasznych tamże nieprzyjaciół zastali. Pomiędzy tymi byli Shajretanowie, ile z nazwiska wnosić można, zapewne przodkowie Saracenów, którzy azyatyckie wybrzeże tuż przy Egipcie zamiészkiwali. Powszechne panuje zdanie, że hełmy i pancérze od czasu wojen krzyżackich pochodzą. Shajretanowie nosili przyłbice i kołczugi, z szérokich, jedna na drugiéj opartych płyt metalowych złożone, które do kształtu ciała przyrządzone i pasem do bioder przymocowane były. Naród ten różnił się od Egipcyan jasnym włosem, cerą twarzy, równie jak orlim nosem. Miészkańcy tego kraju nosili kulce i posiadali wiele okrętów, s czego widać, że równie handlującym, jak odważnym i bitnym byli narodem. Cała ich postać, jak ją egipsy przedstawiali artyści, jest postacią ucywilizowanego plemienia ludu.

Ci sami artyści zachowali nam także rysy wielu innych narodów, których nazwiska zaginęły w strumieniu czasu, a które, ile z wizerunków ich poznać można, do takiego stopnia ukształcenia się wzniosły, jaki nawet Egipcyanom podów-

(1) Tak się zowią groty na wschodnim brzegu Nilu, w pobliżu Speos - Artemidos.

czas był nieznany. Naród nazwany Rebo często z mieszkańcami Nilu w nieprzyjaźni zostawał. Naród ten prowadził ogromne wojska do boju i był nadzwyczajnie biegłym w sztuce wojennéj; miészkał w Azyi, w znaczném oddaleniu od Egiptu, o czém nawet stąd wnosić można, że jak umiarkowana strefa, w któréj przebywał, tak zewnętrzne ukształcenie jego były prawie uropejskie. Ubior narodu tego miał na sobie przepyszną barwę, był bogato szyty, i fantastycznémi przyozdobiony symbolami; prócz tego miészkańcy tego kraju nosili kulce, naszyjniki, tudzież inne ozdoby. Naczelnicy narodu tego, podług meksykańskiego i peruwiańskiego zwyczaju, zdobili głowy swoje piórami i malowali, czyli narzynali sobie w ciało różne figury. Od ludów afrykańskich różnili się oni orlim nosem, błękitném okiem i rzadką, a rudą brodą. Wiadomość ta, że podówczas istniał naród, który zaopatrzony we wszelkie znamiona dobrze uorganizowanéj potęgi, z umiarkowanego, a zatém z bardzo dalekiego kraju Azyi z ogromnémi przyciągnął wojskami, i który na przeciw potędze przez Egipcyan wystawionéj, nie raz szczęśliwy stawił opór, na starożytne dzieje świata zupełnie nowe światło rzucić powinna. — Innén również sławném plemieniem, którego pamięć w wizerunkach egipskich jest przechowaną, są Szarowie. Pomiędzy ozdobami, jakie ten naród nosił, znajdują się naszyjniki, przy

których mały krucyfix był zawieszony. I Rebowie nosili częstokroć krzyż na ten sam sposób, albo też na sukniach wyszyty, a to na 1500 lat za nim godło to stało się świętém znamieniem naszego zbawienia. Pod ten sam czas znajdujemy także naród, zapewne Lidyjczyków, który w powozach o cztérech kołach staczał bitwy i zdaje się, że posiadał mnóstwo kosztownego gatunku drzewa, kości słoniowéj, a nawet złote i srébrne wazy najpiękniéjszéj formy i roboty, równie jak i pierścienie s tychże samych metalów i dzbany porcélanowe z wyborną gumą i żywicą, któréj za kadzidło używał, a którą podobno z Arabii otrzymywał.

Nowoczesne mody nasze zmiéniają się tak często, że w istocie wiedziéć nié można, ażali w obecnéj chwili szérokie lub ciasne rękawy, kutasy, frendzle, długie albo krótkie rękawiczki są w używaniu. Co się zaś owych czasów dotyczé, znajdujemy, że Indyjskie damy zwykle długie rękawiczki i szérokie fałdziste szaty nosiły, które u bioder paskiem spięte, a u dołu trzema rzędami kutasów przyozdobione były; że rękawy ich raz były szérokie i otwarte, raz znowu ciasne i w około ramienia opięte, i że niektóre z nich nosiły kapelusze, z długim, wiszącym kutasem, inne znowu, zapewne dziewice, obwijały sznurek około głowy, i po obu bokach spuszczały włosy w piękne kędziory utrefione. Teraz wyobraźmy sobie jeszcze potrójny garnirunek, rękawy z bufami i

spodnicę na rogach *en vogue*, na 3300 lat przed naszą erą chrześcijańską!

Nowy, egipski salon, który nie dawno w angielskiém muzeum otworzono, należy do najciekawszych w Europie. Widzimy tam zbiór przedmiotów, znalezionych w grobach, mających obecnie około 4000 lat i stanowiących niezaprzeczony dowód o stopniu cywilizacyi, nad którą się uczeni zdumiéwają. Widzimy tam małe figury bóstw egipskich, czworonożnych zwiérząt i ptaków, które z bronzu, kamiénia i porcélany są wyrobione; krzesła, a s tych niektóre tak prostéj roboty jak nasze zydle kuchenne, inne znowu wykładane i spaniale przyozdobione; wklęsłe stołki o trzech nogach do wygodnego siedzenia, nierównie wygodniéjsze, niż nasze horyzontalne; model domu i mnóstwo różno-kształtnych waz z bronzu, śkła, gliny i alabastru; skórzane sandały i trzewiki, źwierciadła metalowe, grzebiénie drewniane, zupełnie naszym podobne, iglice do włosów z drzewa i kości słoniowéj, czarki, książki i łyżki, kilka kaczek pieczonych, które w jednym tebańskim grobowcu znaleziono; drabinę z sznurów, po któréj zapewne jakiś Don Juan owych czasów wdziérał się do swojéj Dulcynei, naczynia do pisania i malowania, różne flakoniki i zupełny zasób narzędzi stolarskich: młotek, piłkę, dłuto, siekiérkę, świder, gwoździe, razem s koszem, w którym je znalazł pan Burton; wszystko to jest

prawie zupełnie na ten sam sposób zrobione, jak narzędzia, których rzemieślnicy tego rodzaju jeszcze po dziś dzień używają. Także wachlarze, małe puszki toaletowe s kości słoniowéj, grupy małych dzieci, narzędzia muzyczne, kulce, pierścienie ze złota, kości słoniowéj i różnych metalów, oraz naszyjniki ze złota, pereł, śkła i innych materyj, jak i niemałą ilość mumij wieszczów i kapłanów, tudzież trunny, które tak pięknie są ozdobione i malowane, że złudą swoją nawet wstręt od śmierci niweczą. Szczątki rzeźbiarstwa i malarstwa, darowane nie dawno angielskiemu muzeum przez niektórych przedsiębiérczych podróżnych, którzy się zgłębieniu starożytności egipskich szczególniéj poświęcili, rozszérzyły nie mało zakres wiadomości naszych, tak pod względem historyi owoczesnych zwyczajów, jak i pod względem stosunków nadmiénionego kraju. Badania pana Champolliona i prof. Rosellini, a mianowicie pana Wilkinson, na rzeźbiarstwo i malarstwo w Beni-Hassan i Tebach rzuciły wielkie światło. Ten ostatni wydał swoje najnowsze dzieło: O zwyczajach i obyczajach starożytnych Egipcyan, które przyozdobiwszy mnóstwem litografowanych kopij tamecznych nieocenionych pomników, dołączył także bardzo ciekawe opisanie i daty z jak najgruntowniéjszem odwoływaniem się do powagi autorów i pomników, które przy rozwiązaniu tego wielostronnego zadania za skazówkę mu służyły.

Swszystkich tych źródeł okazuje się, że już na 1800 lat przed Narod. Chrystusa istniał stan cywilizacyi, w któréj ludzie prawie témi samémi zajmowali się zatrudnieniami, jakiémi obecnie się zajmują. Ludzie bogaci mieli wille z ogrodami, przeznaczonémi na kwiaty i źwierzyńce dla dziczyny, tudzież winne góry i plantacye drzew owocowych. W wycieczkach dla zabijania zwiérząt towarzyszyli im strzelcy, którzy wyprowadziwszy psy w pole, na polowaniu pod swym dozorem je trzymali, poczém zabrawszy zdobycz do domu nieśli. Możni panowie mieli także statki prywatne i do tego należących wioślarzy. Podówczas podobnie jak i teraz byli kramarze, muzycy, budowniczy, mularze, publiczne stelmachy, notaryusze, rzeźbiarze i złotniki, garbarze, stolarze, kucharze, słowem wszelkie klassy rzemieślników, prócz tych, którzy za wprowadzeniem światła gazowego i pary niedawno między nami powstali.

Przed kilku laty, gdy w Londynie do wszelkich zamiarów zawiązywały się publiczne towarzystwa, celem zaopytrywania miasta mlékiem, któreby nie było wodą rospuszczone, dostarczania do każdego domu morskiéj wody dla używania kąpieli, prania bielizny tak, ażeby jéj nie podrzéć, pieczenia chleba, któryby zdrowiu nie szkodził i golenia bez mydła i brzytwy, pewne towarzystwo, podające sposób do wylęgnienia kurcząt bez używania kwoki, wzbudziło w wielkim sto-

pniu podziwienie obywateli. Jeżeli jest jaki pomysł, któryby za zupełnie nowy poczytać można, temu wynalazkowi dałby podobno każdy nad innémi piérwszeństwo. Atoli pokazało się, iż cała ta operacya już Egipcyanom wiadoma była, i jeszcze po dziś dzień dostarczają ludzie na targi w Alexandryi i Kahirze drobiu, który sztucznym sposobem ocieplonéj temperatury wylęgnionym został. To jest, kładą się jaja w piec, który odpowiednie do zamiaru jest ocieplony, i czuwa się s troskliwością, pokąd się pożądanego skutku nie osięgnie. Operacya ta wymaga dni niemal dwadzieścia i jeden.

Gdym ostatnią razą zwiédzał kąpiele Tytusa w Rzymie, stałem długo zdziwiony przed pięknémi arabeskami, jakiémi te zabytki césarskiego przepychu są ozdobione. Przewodnik opowiada każdemu, że takie same dekoracye zdobią boazerye wschodów i galerye Watykanu; Rafał był piérwszym, który je przyniósł z nadmiénionych łaźni, malowanych *al fresco.* Dopokąd tych ostatnich przez uprzątnienie rumowiska, którém były przysypane, dokładnie nie wyświécono, uważano Rafała powszechnie za wynalazcę tego rodzaju upiększenia. Sposób zastósowania i niezrownanego wykonania jest jego własny. Jednakże choćby nawet nie oczyszczono nadmiénionych łaźni Tytusa, domy odgrzebane w Pompei, na których podobne dekoracye widziałem, byłyby zniweczy-

ły wszelkie jego prawa, co się dotyczé wynalazku jednéj z najpiękniéjszych ozdób architektonicznych. Można sobie wyobrazić jak mocno byłem zdziwiony ujrzawszy w drugim tomie dzieła pana Wilkinson całą stronnicę napełnioną témi saméni dekoracyami, które z nagrobku w E'Siut odwizerunkowano, a które na nim przynajmniéj na 1600 lat przed erą chrześcijańską malowane były.

——ooooooooo——

BOGU SIĘ POLEĆ.

Gdy piorun nieszczęść uderzy,
Wśród ciebie drogę otwiéra;
Komuż twa dusza powierzy,
Tę boleść co ją rozdziéra.

Spójrz po znajomych swych tłumie,
Ten zniknie, urągnie inny;
Ten uda że nie rozumié,
Tamten powié: «Sameś winny.»

Najlepiéj, bież do ustroni,
Przed Panem wyléj łez rzékę;
I proś, niech wyrwie s téj toni
Jemu się oddaj w opiekę.

I tylko w wierze bądź stałym
Z sercem zaufaj Mu całem.
Nie troszcz się jak ci poradzi,
Już Pan Bóg cię wyprowadzi.

Czasem On ratując ciebie,
I duszę wybawia drugą;
Przyśle w pomoc twéj potrzebie
By się okryła zasługą.

Czasem tak byłeś głęboko
Aż z rąk Jego wsparcie miałeś,
A tak zmamione twe oko,
Zda ci się że sam powstałeś.

HORTENZYA BEAUHARNAIS.

Skończyła się wyprawa wojenna w roku 1805. Napoleon wróciwszy do stolicy swojego państwa, powitał Francuzów nazwiskiem wielkiego narodu. Oddał się pracom pokoju, ukończył wielkie dzieło ustawodawstwa i utworzył nowe królestwa, na których tronie swych braci usadowił. Podczas gdy ze wszystkich kończyn Francyi przybywali deputowani dla złożenia zwycięzcy swych życzeń pomyślności, podczas gdy w kościele *Nótre-Dame* w Paryżu brzmiały hymny pochwalne i śpiéwy uroczyste, a niezliczony orszak dworzan otaczał szczęśliwego Monarchę, Hortenzya, siostra księcia Eugeniusza, mająca twarz powabną i tkliwe, bijące serce, stała w pokoju

przy ogrodzie Tuileryów, sama jedna w głębokiém zanurzona dumaniu. Działo się to z nadejściem nocy, blady księżyc zaglądał przez okna do pokoju. Wszystkie inne gmachy rzęsisto oświetlone były, tylko ten, w którym się znajdowała młoda królowa holenderska, rozwidniony był słabym promiéniem nocnéj gwiazdy i mocno zdawał się zgadzać z stanem jéj duszy. Oparłszy głowę na srébrném tkaném wezgłowiu i złożywszy na krzyż ręce na piersiach, dumała nad przyszłością, jaką dla niéj przygotowywano, gdy oto Felicya Longroy, *dame d'annonce*, weszła do jéj pokoju s prośbą, aby jednéj s przyjaciółek jéj młodości, raczyła dać na krótką chwilę posłuchanie: «Jestto jedna z nieszczęśliwych, Najjaśniéjsza Pani,» rzekła Longroy, «chciéj W. K. Mość wyświadczyć jéj tę łaskę.» Wkrótce potém weszła pani Delelée do pokoju i s płaczem rzuciła się do nóg królowéj.

«Wstań, moja droga,» ozwała się królowa, »powiédz mi przyczynę swego smutku; poczytam się za szczęśliwą, jeżeli go ukoić zdołam.» — «Jestem małżonka pułkownika Delelée, który jenerała Moreau był adjutantem. Gdy tego jenerała za zdradę stanu uwięziono, mąż mój bawił przy familii swojéj w Besançon . . . nie było jeszcze roku, jakeśmy miłość naszę węzłem małżeńskim u ołtarza stwierdzili . . . ach, byliśmy tak szczęśliwymi, królowo! . . . gdy oto jednéj nocy przy-

byli żandarmowie z rozkazem uwięzienia mojego męża. Zawieziono go do stolicy. Nie dozwolono mi nawet z nim się widzieć, dzień i noc chodziłam w około jego więzienia, jednakże nigdy nié mogłam mu przesłać, aby jednego słowa pociechy!... Nakoniec wydano wyrok na jenerała, uznano niewinność mego małżonka i uwolniono go z więzienia; atoli odebrano mu stopień i wysławszy go do jednéj z najgorszych prowincyj, już go nie policzono pomiędzy walecznych... Już cztéry lat minęło jak w bezczynności i zapomnieniu pędzi swe życie: towarzysze jego idą ciągle drogą sławy, a on, który we Włoszech i na brzegach Renu krew swoję za ojczyznę przeléwał, przymuszony jest pędzić swą mło łość na wygnaniu.» — «Nie błagałże on nigdy łaski Césarza?» — «I owszém królowo, błagał kilkakrotnie, ale zawsze nadaremnie. Teraz gdy prowincye wysyłają deputowanych, celem życzenia Césarzowi pomyślności do nowych zwycięztw, miasto Besançon wysłało w tym charakterze mego małżonka. Chciéj W. K. Mość wziąść go w swoję opiekę. Jedno słowo przez W. K. Mość do Monarchy wyrzeczone, mogłoby powrócić życie temu, którego kocham nadewszystko.» — «Dobrze, moja droga, chętnie wstawię się za nim, przyrzekam ci to uroczyście. Uspokój się i miéj nadzieję.»

W godzinę poźniéj, w celu rozerwania się przyszedł Napoleon podług swego zwyczaju do

Hortenzyi, do któréj jako ojciec czuł najtkliwsze przywiązanie. Przy jéj boku zapominając o troskach swojego panowania, podawał się najczulszéj roskoszy i słodkiemu odpoczynkowi; dla niéj nie odmówił on żadnéj prośby. Ale tą razą miał twarz ponurą, chmury sępiły czoło jego. Usiadłszy przy Hortenzyi ścisnął ją za rękę i rzekł: «Żądają odemnie, abym znowu wiódł wojnę, chcą znowu krwi rozléwu... dobrze, zobaczymy! Ale, wszakże ja tu nie przyszedłem, abym cię zasmucał Hortenzyo... powiédz mi téż co pocieszającego; jednakże, jeżeli się nie mylę, i ty jesteś dziś bardziéj niż za zwyczaj posępną... wyglądasz, jak gdybyś zapłakaną była... Cóż ci to, Hortenzyo?» — «Najjaśniéjszy Panie! mam cię prosić o jednę łaskę.» — «O łaskę, a to dla kogo?» — «Przyrzeknij mi W. C. Mość, że mi jéj nie odmówisz?» — «Dla kogóżto? mówże, przyrzekam.» — «Najjaśniéjszy Panie! dla pułkownika Delelée.» — «Jako, dla adjutanta jenerała Moreau?» — «Dla tego samego.» — «Odwołuje moje przyrzeczenie... on jest moim nieprzyjacielem, nie chcę ani słyszéć o tym człowieku.» — «Najjaśniéjszy Panie,» rzekła Hortenzya, zaniechawszy swojéj zwyczajnéj łagodności na chwilę, «wszakże sędziowie uznali go za niewinnego, a W. C. Mość go potępiasz?... on jest niewinnym, walecznym, a za to karzesz go wygnaniem i zniewagą! Chciéj go przynajmniéj wysłuchać!»

To rzekłszy wlepiła mocno wzrok swój w Césarza. Ten powstawszy założył na krzyż ręce i zaczął się przechadzać po pokoju. I Hortenzya powstała; poczém siadłszy do fortepianu zaczęła śpiéwać piosnkę, któréj Bonaparte słuchał z upodobaniem, i która zawsze miała przystęp do jego serca:

„*Vous me quittez pour aller à la gloire!*
Mon triste coeur suivra partout vos pas.
Alez, volez au temple de mémoire,
Alez, volez, mais ne m'oubliez pas."

Podczas śpiéwania zwracała zawsze oczy na bohatéra. Postrzegła, iż powoli zaczęło wypogadzać się czoło jego, uśmiéch usiadł na jego ustach. Napoleon przystąpiwszy ku niéj oparł się na poręczu jéj krzesła i stał jak człowiek, który słodkim urokiem jest pokonany. Hortenzya zaledwo to postrzegła, już powstała i rzuciwszy się mu do nóg, rzekła: «Najjaśniéjszy Panie, miéj litość nad biédnym pułkownikiem... stroskana małżonka błaga cię mojémi usty.» — «Psotnico!» odrzekł Napoleon, podnosząc ją uprzéjmie. «Wstawiasz się za moimi największymi wrogami. Miéj się na ostróżności, aby Fouché o tém się nie dowiedział;» dodał z uśmiéchem i nie rzekłszy więcéj ani słowa, wyszedł s pokoju.

Deputowani miasta Besançon stawili się przed ministrami. Zdziwiono się powszechnie, że gmina wysłała pana Delelée, który u Césarza

w tak wielkiéj był niełasce. Zaklinano więc pułkownika, aby się nie przedstawiał, inaczéj narazi się na gniéw Césarza. Ale Delelée odrzekł: » I owszém, Césarz musi mnie wysłuchać, niech mnie każe rozstrzélać, jeżeli się mu tak podobać będzie; życie, które pędzę, jest gorsze niż śmierć sama.»

Szérokie sale Tuileryów były pełne świécących się od złota mundurów. Urzędnicy państwa, jenerałowie, ciało dyplomatyczne, deputowani ze wszystkich prowincyj i prefekcyi w różne grupy podzieleni, czekali na przybycie Césarza. W jednéj z tych grup widać było wojskowego, ubranego w skromnym mundurze, na sposób jak noszono w piérwszych latach rzeczypospolitéj francuzkiéj. Wszyscy inni wojskowi mieli krzyż legii honorowéj na swojéj piersi, tylko on nie był nim ozdobiony. Byłto pułkownik Delelée. Niektórzy z starych jego towarzyszów broni zdawali się go nie poznawać, drudzy, którzy go znali, nie śmieli z nim mówić. Nakoniec rozwarły się podwoje, a odźwierny wystąpiwszy zawołał: » *l'Empereur!* » Grupy stojące rozdzieliwszy się, uformowały dwa rzędy. Delelée stanął w piérwszym. Napoleon przechodząc przez środek przemówił do każdego kilka słów z uprzejmością i już ukończyć miał cały ten przegląd, gdy nagle postrzegł oficera, o którym sobie przypomnieć niémógł, aby go kiedy widział: «Kto waćpan je-

steś?» — «Najjaśniéjszy Panie! pułkownik Delelée, niegdyś jenerała Moreau piérwszy adjutant.» Słowa te, wyrzeczone mocnym, donośnym głosem, wprawiły wszystkich obecnych w straszne oczekiwanie. Napoleon cofnąwszy się wstecz, spójrzał na pułkownika owym wzrokiem, którym zwykle na wskróś ludzi przenikał. Delelée wytrzymał stale ten ostry wzrok Monarchy. «Powiédz waćpan czego żądasz?» — «Najjaśniéjszy Panie, tego, czego się nadaremnie od cztérech lat dopraszam, żądam, albo żeby mi powiedziano zbrodnię, jakąm popełnił, albo żeby mi oddano moje epolety, które sobie na polu chwały zasłużyłem.» Gdy to wyrzekł dreszcz przejęła wszystkich obecnych. Napoleon zabiérając się do odpowiedzi, postrzegł u drzwi obok césarzowéj, Hortenzyę, któréj błagający wzrok mówić się zdawał: «Nie zapominaj, żem cię o łaskę prosiła!» Lecz Césarz udał, jak gdyby jéj nie widział i spójrzawszy na Delela uśmiéchnął się i odszedł.

W kilka dni poźniéj rozlegał się zgiełk oręża w Paryżu. S wszystkich części Francyi zgromadzały się nowe wojska dla zapełnienia starych pułków, które w bitwach były zmniejszone. Znowu rospoczęła się wojna. Napoleon zapowiedział, iż odbędzie wielki przegląd wojskowy. Jednakże nim stanął pośród wojsk swoich, przyglądał się im wprzódy z okien swego pałacu. Józefina i Hortenzya stały przy jego boku. Wymiéniał im

po nazwisku wszystkie swe pułki; a gdy woltyżerowie gwardyi się zbliżyli, rzekł do Hortenzyi: »Patrzno Hortenzyo, coto za waleczni ludzie! Widzisz owego oficera, który trzecim pułkiem dowodzi? Jako, Hortenzyo! uśmiéchasz się do niego?... Cóżto ma znaczyć?» — Byłto pułkownik Delelée. — «Najjaśniéjszy Panie,» odrzekła Hortenzya, «po łasce W. C. Mości nic innego spodziéwać się nié mogłam.» Napoleon zostawiwszy swoję małżonkę i Hortenzyę przy oknie, ukazał się wkrótce śród grzmiącego okrzyku. »*Vive l'Empereur!*» na czele swojego wojska. Césarz przejéżdżając po przed czoło gwardyi woltyżerów zatrzymał się, i przywoławszy pułkownika do siebie, rzekł: «Waćpan walczyłeś z nami w wielu bitwach, a jednak krzyż legii honorowéj nie zdobi jego piersi. Oto go masz! Mianuję waćpana oficerem tego orderu.»

—✻✻✻✻✻—

SONET

POŚWIĘCONY CIENIOM SZESNASTOLETNIÉJ

Maryi M.

O! smutno — kiedy róża w roskwitnienia chwili
Skłoni kielich uwiędły zanim westchnie wonią,
Nim się jéj ranek życia błękitem przymili,
A już dla niéj żałobną pieśń słowiki dzwonią,

O! smutniéj — gdy dziewica bladą skroń pochyli,
Kiedy młode jéj myśli roje uciech gonią;
Wiosna ją wita szczęścia i roskoszy dłonią,
A ona — westchnąć po raz ostatni się sili.

Westchnęła — i tak czysty wionął duch dziewicy
Jak w chwili, gdy się z Boga wyronił prawicy:
I świat z morzem nadziei zagasł w jéj źrenicy!

I tylko łza do lica przystygła — jedyna —
Błyszcząca, jak w promieniach księżyca ruina,
I od ludzi się wspomnień i łez dopomina! —

***

Kraków dnia 26 kwietnia r. 1839.

O KOBIÉTACH POLSKICH.

(Z NIEMIECKIEGO.)

„Teraz padnij na kolana, albo przynajmniéj zdéjm kapelusz. Mam mówić o polskich kobiétach. Umysł mój unosi się nad brzegi Gangesu, szuka tam najpiękniéjszych, najpoważniéjszych kwiatów, ażeby je z niémi porównać. Lecz czémże są względem tych nadobnych wszystkie wdzięki kwiatów najwonniéjszych wschodu. Gdybym miał pendzel Rafaela, melodyą Mozarta, i Kalde-

rona wysłowienie, możeby mi się wtedy udało natchnąć cię tém czuciem, którembyś był niezawodnie przejęty, gdyby się przed twojém uszczęśliwionem okiem, prawdziwa Polka, wysilona Afrodyta, okazała. — Lecz czémże są pociągi pendzla Rafaelowskiego w porównaniu s témi obrazami świątyni piękności! czém są Mozartowskie tony przeciwko tym słowom, tym słodyczom duszy, które z różanych ust tych słodkich bogiń płyną! czém są wszystkie Kalderońskie gwiazdy ziemi i kwiaty nieba, przeciwko tym powabnym, którebym w prawdziwie Kalderońskiéj mowie aniołami ziemi nazwał, gdyż ja aniołów nieba Polkami być mienię. Jeżeli mam mówić o charakterze Polek, uważam tylko naprzód iż to są kobiéty: a któż się podéjmie opisać charakter kobiéty! Nie chcę ja przeto rozumiéć iż kobiéty nié mają żadnego charakteru: i owszém mają one codzień inny; nie chcę także ganić téj ustawicznéj przemienności w charakterze: jest ona nawet pewną zaletą. Każdy charakter powstaje s pewnego zbioru stereotypowych zasad: jeżeli te zasady są błędne, to i całe życie człowieka, który je systematycznie w umyśle swoim uszykował, będzie tylko wielkim i długim błędem. My to chwalimy zwykle i mówimy «że to jest miéć charakter» kiedy ktoś podług stałych zasad postępuje, a niepomniémy na to że taki człowiek utracił raz na zawsze niepodległość woli własnéj, że umysł jego

żadnych nie czyni postępów, i że on sam jest ślepym służalcem zastarzałych myśli swoich. Zowiémy to także stałością umysłu i mocą przekonania, kiedy ktoś stoi przy tém co sobie raz postanowił, i jesteśmy tyle pobłażającémi, iż nieraz uwielbiamy głupca lub uniewinniamy złoczyńcę, dla tego że nie odstąpił od swego postanowienia, że działał według swego przekonania. To moralne ujarzmienie siebie samego, u samych się tylko prawie mężczyzn przytrafia; swobodność zawsze jest żywą i w ustawicznéj czynności w umyśle kobiety. — Codziénnie zmiénia ona swój sposób widzenia rzeczy, pomimo nawet wiedzy swojéj. Wstaje rano jak niewinne dziécie, układa w południe systemat s pomysłów własnych, który jak pałac s kart na wieczór się obala. Jeżeli dziś ma złe zasady, założy się iż jutro najlepsze miéć będzie. Mniemania odmiéniają się u kobiét jak ubiory; kiedy nié masz w umyśle żadnéj panującéj myśli, wtedy nastaje najprzyjemniéjszy stan jego, to jest bez królewie umysłowe. I to u kobiét w najczystszym składzie i najmocniéj działa, i przewodniczy im bespieczniéj po drodze pożycia, jak nasze rozumowo-abstrakcyjne latarnie, które mężczyzn tak często w obłąkanie wprowadzają. Nie myśl jednakże ażebym tu chciał grać rolę Advocati diaboli, i chwalić w kobiétach brak charakteru, nad którym nasze młokosy i siwosze, jedni przez Kupidyna, drudzy przez Hymena pokrzywdzeni,

ubolewają. Z resztą pamiętać powinieneś że ja tu mówiąc o wszystkich kobiétach, szczególniéj Polki mam na względzie i że Niemki pół na pół spod tych domniemań wyjąłem. — Cały naród Niemiecki ma bowiém, przez wrodzoną skłonność do głębokiego zagłębiania się w myślach, szczególne zakłady zdolności do stałego charakteru, tak dalece iż się i kobiétom pewien zarodek jego dostał w udziale."

„Polki nieskończenie się różnią od Niemek. — Duch Sławiańszczyzny w ogólności, i zwyczaje Polski w szczególności są przyczynami téj różnicy. Nie mówię ja iż Polki godniéjsze są pomiłowania od Niemek: pod tym względem nie można ich z sobą porównywać. — W kwiesistéj dolinie przy jasném świetle słońca chciałbym miéć Polkę za towarzyszkę; w lipowym ogrodzie promiéniem księżyca oświéconym, wybrałbym Niemkę. — Podróż do Hiszpanii, Francyi, i do Włoch chciałbym odbywać w towarzystwie Polki, lecz podróż życia z Niemką. — Rzadkie są między Polkami wzory gospodarności, wychowania dziecinnego, skromnéj uległości i wszystkich cichych cnot niemieckich kobiét: (1) lecz te przymioty i u nas najwięcéj się tylko w miejskim stanie przytrafiają, lub między tą szlachtą, która się przez sposób ży-

(1) To jedno zdanie przekonać nas może i powinno, iż Autor nader krótko między naszémi Polkami przebywać musiał.

cia do mieszczan zbliża, u reszty zaś szlachty niemieckiéj częściéj i bardziéj brak tych cnot domowych czuć się daje jak u Polaków. U téj klassy Polek nigdy przynajmniéj pewnéj zalety lub wartości do braku tych cnot nieprzywięzywano, co się u niejednéj niemieckiéj damy zdarza, która nieposiadając dosyć siły umysłu i piéniędzy, ażeby się nad stan miejski wyniéść mogła, przez pogardzanie cnotami mieszczanina i zachowanie nic nie kosztujących wad szlacheckich, od tegoż stanu odróżnić się usiłuje. Polskie kobiéty niechełpią się z urodzenia swojego, i żadna polska Panna nie wpadnie na myśl szczycenia się s tego iż przed kilkuset laty jaki jéj przodek, był wielkim rycérzem od stóp do głów uzbrojonym. Uczucia religijne są głębiéj wpojone w umysły niemieckich jak polskich kobiét. Te bowiém więcéj żyją dla powiérzchownych pociech: są to wesołe dzieci które się żegnają przed świętémi obrazki, i przez życie jak przez piękną balową salę przechodzą, śmiejąc się, tańcując i nęcąc wszystkich swémi powabami. Nienazywam ja swawolą ani lekkomyślnością tego sposobu myślenia Polek, któremu sprzyja swobodność polskich obyczajów z lekkim francuzkim tonem pomięszana, lekki język francuzki z upodobaniem i jako rodowity w Polsce używany, i lekka nakoniec literatura francuzka któréj wety, to jest romanse Polki łakomo pożywają: bo co się tyczé czystości oby-

czajów, przekonany jestem, iż Niemki w niéj Polek nieprzewyższają.—Prócz tego pamiętać trzeba że Polki są piękne, i że piękne kobiety dla wiadomych przyczyn na złośliwe języki najbardziéj są wystawione, i ich potwarzom nigdy nieuchodzą, zwłaszcza kiedy jak Polki, wesołe i swobodne życie pędzą.‟

OPISANIE OBRAZÓW W KOŚCIELE FARNYM ŻÓŁKIEWSKIM.

Kościół parafialny w Żółkwi zbudowany jest w kształcie krzyża, mającego jednakowe promienie, czyli boki; każdy s tych długi sążni 7, a blisko 4 széroki, tak, że cztéry wklęsłości s płaszczyzną środkową takiéjże saméj wielkości, tworzą dość obszérną i umiarkowaną całość, która i zewnątrz i wewnątrz jest przyjemna. Kościół ten nieco na wzniesioném miejscu, rozmaitémi rzeźbami ozdobiony piękny stawia widok, we środku jest biały i widny, co go uprzyjemnia i podnosi ducha. Wchodząc wielkiémi drzwiami, są po obiedwóch stronach kaplice, a w tych widać obrazy Marszałków i Wodzów w postaci naturalnéj; naprzeciw

wchodu wielki ołtarz, po obiedwóch stronach onegosz umieszczone pomniki Żółkiewskich; po prawéj bohatéra pod Cecorą; po lewéj innych dwóch znakomitych mężów tegoż domu z marmuru czerwonego; mężczyzni wystawieni w zupełnéj zbroi, kobiety w dawnych ubiorach. Napisy na obudwóch tych pomnikach już nie znaczne tylko ślad pozostał, gdzie były litery.

Nieco więcéj ku przodowi są pomniki: Księcia Jakóba Sobieskiego i Wojewody Daniełowicza, dziada Jana III. po matce, takowe wyrobione z marmuru czarnego z białémi figurami, lecz ponieważ te w połowie nadwerężone, dla tego własności onych nie są do poznania.

Tu umieszczone są także dwa wielkie obrazy, s tych

Piérwszy,

Zawieszony wprost nad pomnikiem Żółkiewskiego, wystawia bitwę pod Kluzynem.

Przedmiotem tego obrazu wiekopomne zwycięztwo, które Żółkiewski odniósł w dniu 8 Lipca roku 1610.

U góry unoszący się anioł trzyma napis: *Dextera Domini fecit virtutem*. Chwila ta jest uchwycona, gdy oba wojska stanęły w szyku do boju. Z obu stron podzielone wojsko na małe hufce, które we cztery i pięć szeregi stoi w niejakiém oddaleniu. Rozmaitość narodów rospoznać s chorągwi, ubiorów i t. p. Zupełnie na widni jest oddział

piechoty za rogatką, na któréj piérwszy széreg piechoty klęcząc opiéra broń swoję. Przeciwko tym żywo naciéra konnica, i to poruszenie okazuje początek bitwy. Po lewéj stronie obrazu widać obóz palisadami otoczony; namioty rozmaitego koloru, nie gładkie jak zwyczajnie, lecz u wiérzchu s kopułkami. — Po téj saméj stronie twiérdza z wozów, których budowa nakształt teraźniéjszych prochowych, i tak są w koło poustawiane, że jednego dyszel podchodzi pod wóz przeciwległy; na obrazie widać tylko półkole; nakrycia rozmaite. W pośród téj twierdzy z wozów jest kilka namiotów okazałych i kilku jeźdzców onych dosięga. — Tu i owdzie ukazują się małe chatki i zagrody, s tych niektóre po prawéj stronie od Polski płoną w ogniu. Wszystko zaś ma las w głębi. Ton tego obrazu walczy między ponurością i wesołością, tak właśnie, jak umysł wielkiego męża w dniu owym być musiał. — Jakkolwiek obraz wspomniony jest szacowny we względzie historycznym, bo naucza o szyku bojowym, o obronie, okopach, użyciu broni, ubiorach i t. p.; wszakże chociażby i nie tak ciemnego był koloru, nié może być uważany za dzieło mistrzowskie. Figury wszystkie są prawie jednakowéj wielkości; te, co są na przodzie, nié mają więcéj nad stopę, a żadna z nich nie jest szczególniéj wydatną, aby bohatéra dnia tego rospoznać można było. Koloryt za jednostajny, oprócz na-

miotów i wozów, które czerwono, biało i niebiesko są oznaczone, lecz, że nadto są drobne, przeto w oddaleniu tylko pstrociną się wydają. Cały obraz nie najlepiéj zachowany, ma rysy i dziury na stopę długie, s tego powodu może główněj figury nie dostaje.

Drugi,

Obraz naprzeciwko piérwszego będący, przedstawia bitwę pod Chocimem, w któréj Jan Sobieski pokonał Turków roku 1673.

Jenijusz unoszący się trzyma u wiérzchu skromny napis: *Dextera Domini percussit inimicum.* — Chwila ta jest wziętą, gdy na obóz nieprzyjacielski ze wszech stron uderzono. — Po drugiéj stronie Dniestru widać obóz w kształcie pół miesiąca, okopany tak, że jednę stronę zasłania rzéka. Turcy uciekają; wielu ginie w rzéce; Polacy napadają obóz ze wszystkich stron; wszystko to w głębi bardzo dobrze wystawione z należytém zachowaniem perspektywy. Na jaśni ukazuje się naczelny wódz w wielkości naturalnéj; okryty zbroją, po któréj aż do boków spada skóra tygrysia. Koń pod nim gniady, spina się, lęka, płaszcz czerwony unosi się w powietrzu. — Strach — niepewność. — Jak wielki upał był dnia owego, świadczy to wódz odkrytą mający głowę, atoli s pewnością prawica jego dzierży buławę hetmańską; na twarzy maluje się surowość i spokojność, wyrazy zwycięztwo oznaczające. Koloryt obrazu

jest żywy, a bohatér rozstropnie na widni położony. U spodu napis: *In expugnatis direptisque Turcarum ad Chocimum castris, ibique plusquam octoginta millibus barbarorum deletis, altero ab obitu Michaelis Poloniae Regis die, virtute et imperiis Joannis Sobieski, pro tunc supremi regni et campi Marschalei, nunc feliciter Poloniae Regnantis. Joannis III. ac victoris Dei MDCLXXIII. Nov. XI. ipso divi Martini, militum et heroum patroni die.* —

Niestety! mistrzowskie to dzieło najwięcéj ze wszystkich uszkodzone; po lewéj stronie jest dziura do sześciu stóp kwadratowych i wiele innych rys znacznych. Wielkość obrazu taka, jak piérwszego, długość wynosi sążni 4, a szérokość niemal podobna, stąd nié ma zupełnego kwadratu. Obadwa umieszczone w należytém świetle, można je uważać nawet odmiéniwszy stanowisko.

Trzeci,

W kaplicy po lewéj stronie, przedmiotem tegoż jest odsiecz dana Wiédniowi przez Króla Jana III. w dniu 12 Września roku 1683.

Opisanie historyczne mogę pominąć, gdyż zdarzenie powszechnie wiadome. Przystąpmy zatém do obrazu.

Ta chwila właśnie jest tu główną, gdy zwycięztwo zaczęło sprzyjać, a Turcy ucieczką się ratować. U góry trzyma anioł w jednéj ręce nad głową Króla palmę zwycięztwa, w drugiéj napis:

Ne quando dicant gentes, ubi est Deus eorum CXIII. Ps. W głębi po lewéj miasto okryte dymem i płomieniami, zaledwie tylko rospoznać się dające po kopułach kościelnych i wieży S. Stefana, s któréj można całe nieszczęście przejrzéć. W środku świetny obóz turecki, obszérny jak miasto oblężone, bez okopów zewnętrznych takowy opasujących, jakotéż przeciwległych nieprzyjacielowi, właśnie świadczący o dumie Pohańców. Namiot szkarłatny Wezyra, ślkni się złotogłowiem i rozmaitą tkaniną. — Ze strony prawéj zbliża się Król w postaci naturalnéj na czele swoich zbrojnych rycérzy, którzy od postawy góry Kalenbergu postępują mając długie piki s chorągiewkami. Król ma na sobie zbroję pozłacaną, głowę jego okrywa srébrny chełm, na któréj orzeł w groźnéj postaci z rospostartémi skrzydłami. Siedzi na dzielnym koniu bułanym, pod onegoż nogami wije się Turek w niebieskim ubiorze. Za Królem postępuje rycérz z długą piką, na końcu któréj przymocownne są pióra i dwa skrzydła, jestto znak, który objawia obecność wodza. Co widząc Kara Mustafa, dopiéro przekonał się, że Król przy wojsku; po nad Króla przelatuje orzeł s Kalenbergu. Do owego czasu wierzono jeszcze, że lot ptaków rokuje zwycięztwo. Król trzymając buławę w ręku, wydaje rozkaz do uderzenia na nieprzyjaciela. Przed nim ucieéra się już kilka chorągwi, między

któremi szczególniéj się odznacza dwóch zbrojnych zjazdy polskiéj. S tych jeden z wyciągniętémi rękoma pędzi przeciwko dowódzcy Spahów; drugi s piką w ręku goni innego. Turcy uciekają na lewo. Aby bogactwo i miękkość wodzów tureckich wystawić, bardzo rosstropnie umieścił autor na téjże lewéj stronie siedzącą na pięknym wielbłądzie, Wezyra faworytę, którą janczary starają się uprowadzić. By sprzymiérzeńców tureckich z ich stanawiska wywabić, na saméj jaśni przedziwnie jest wystawiony uciekający Siedmiogrodzianin. Odzież zielona i opięta, spodnie niebieskie s czerwonémi sznurkami, szarfa różowa i czapka graniasta rozróżniają go; ucieka on bez broni, obziéra się trwożliwie, i z obudwoma naprzód wyciągniętémi rękoma spieszy. Pod nim na samym kraju zielonego tła widać imię artysty: Altamonte. —

Obraz ten najlepiéj zachowany; prawie nieznaczne ma rysy. Zresztą jak jest ważny we względzie historycznym, tak równie zasługuje na imię mistrzowskiego dzieła. Wyraz surowości i godności na obliczu Króla, boleść i usiłowania Turka, który zdaje się leżéć pod nogami jego konia, trwoga i przestrach uciekającego Siedmiogrodzianina należycie oddane i zasługują na uwagę. Światło dzienne sprzyja malowaniu, ton obrazu jest bardziéj ponury, a tło zielonkowate.

Czwarty,

W kaplicy po prawéj stronie, wystawia bitwę pod Granem (*Strygorium* po węgiersku *Esztergom*), zaszłą na dniu 9 Października, a zatém we 4 tygodnie po bitwie pod Wiédniem.

Król Jan III. korzystając ze zwycięztwa pod Wiédniem, puścił się za Turkami do Węgier. Oddzieliwszy jazdę swoją od wojska, gonił za nieprzyjacielem. Pod Parkanami oparł się mu młody bohatér Kara Mahmud, i pobił Króla. Zaszło to dnia 7 Października. Król z otwartością wielkim ludziom właściwą wyznał błąd, połączył się z wojskiem Rzeszy, i we dwa dni poźniéj, to jest dnia 9 Października roku 1683 dla pomszczenia się zniewagi swojéj ruszył przeciwko nieprzyjacielowi. Młody bohatér, ten sam Kara Mahmed, z rospaczą zajął stanowisko. Obóz jego przytykał po lewéj do Donaju, po prawéj do łańcucha gór, w tyle miał rzékę Gran. Zaledwie do wiary podobna, iż ci sami Turcy, którzy w liczbie 200,000 pod Kara Mustafą piérzchli przed 70,000 chrześcijan, tu pod sprawą Kara Mahmeda śmiało stawią czoło podwójnéj sile nieprzyjaciela. Ich uderzenie było straszne; lecz zemsta ożywiała przeciwników i uledz musieli; byłato rzeź straszna, jakiéj rzadko przykładów. Wszyscy bez litości utracili życie; most na łyżwach na Donaju do Gran zniszczono, a Turcy, którzy mściwego uszli oręża, znaleźli śmierć w nurtach rzéki. Tę to krwawą bitwę wystawia piękny ten

obraz. Po drugiéj stronie Donaju widać miasto Gran, z zamkiem na wysokiéj skale; s téj strony są Parkany. Most, po którym Turcy chcą siebie ocalić, w połowie zburzony; wszystkie ich usiłowania zmiérzają do tego, aby się na brzég przeciwległy wydostać. — Na jaśni Król w naturalnéj postaci przodkuje swym rycérzom. Zbroja wyzłacana i pięknie ozdobna okrywa pierś jego, a hełm srébrny z orłem jak na poprzedzającym obrazie, jego głowę. Oprócz tego ma wstęgę błękitną orderową. Obok Króla Książę Jakób, podówczas dopiéro szesnaście lat liczący, w zupełnéj zbroi, odbiéra on rozkazy swego ojca. — Po prawéj widać polskich puszkarzy, którzy dla okazania dnia tego potrzeby, z wielką szybkością ogromne działa nabijają.

Obraz ten, téj saméj co i poprzedzający wielkości. Obadwa zrobione dokładnie według obszérności ścian, na których zawieszone; i obadwa przez tegoż samego kunsztmistrza Altamonte. Ostatni nié ma potrzebnego światła, ółtarz zasłania okno po prawéj, i s tego powodu nabiéra ponurego tonu! U góry pięknie oddany anioł, korzystnie się wydaje, trzymając w jednéj palmę nad głową bohatéra, zaś w drugiéj ręce następujący napis, którego do tak okropnego widoku nadużyto: *Flavit spiritus tuus et submersi sunt quasi plumbum in aquis vehementibus.*

RZADKA POŻYCZKA.

Przed kilku laty pewien bogaty bankier paryzki pożyczył jednemu młodemu literatowi piéniężną kwotę, którą tenże na zjednanie sobie literackiéj sławy użyć zamyślił. «Dopiéro wtedy zwrócisz mi waćpan tę należytość,» rzekł do niego uprzéjmy bankier, «gdy wydasz dzieło, które doskonałém będzie.» Młody autor uzyskawszy swobodny czas przez tę pożyczkę, napisał trzy romanse jeden po drugim. Bankier przeczytał je, ale nie wspomniał wcale o zwróceniu swojéj należytości. Aż oto autor wkrótce znowu czwarty romans wydaje. Bankier waha się jeszcze upominać o swoję należytość, jednakże usłyszawszy, że najznaczniéjsze dzienniki oddają mu wielkie pochwały, pisze do autora tegoż romansu w ten sposób: «Jeżeli wierzyć mogę zdaniu, jakie w pismach publicznych o najnowszém dziele waćpana umieszczono, sądzę, iż teraz przyszedł czas, abyś mi pożyczoną summę wypłacił.» Na ten list odebrał bankier od autora zamiast piéniędzy następującą odpowiédź: «Przyznaję, że ostatnie dzieło moje jest dosyć dobre, ale ja mam nadzieję, że poźniéj jeszcze lepsze napiszę!»

JEDEN BŁĄD TYLKO.

POWIEŚĆ PRAWDZIWA.

Gdyby wszystkie kobiéty, zdradzające wiarę małżeńską, mogły przewidziéć upokorzenia, bojaźń i męczarnią, jakie im s tego względu doświadczyć wypadnie; zapewne przyznałyby piérwszeństwo, szlachetnemu postępowaniu, s którego wynika spokojność duszy, i szacunek publiczny. O jakże częstokroć kobiéta, przez *jeden błąd tylko*, staje się okrutną dla siebie saméj, wyrządza krzywdę w ogóle płci swojéj, któréj doznaje zemsty w pogardzie; naraża na niebespieczeństwo swój pokój, sławę, życie i wszystko: co jest jéj najdroższém. Jeżeli mniema, iż utracając zaszczytne imie, zyska nagrodę w dogodzeniu namiętności; o próżna nadziejo! ten dla którego znieważyła małżonka, zdradzi ją nawzajem niezawodnie. Obojętność, wzgarda i opuszczenie, są korzyścią wszystkich jéj ofiar, a ogień, którym płonie, łzami ugaszony zostanie. Dotknięta sprawiedliwém potępieniem, przymuszona usunąć się ze sceny świata, na którym grała rolę tak świetną, tak okazałą; ukrywa wyrzuty sumienia w ustroniu, pod imieniem przybraném, aby uniknąć hańby, wszędzie ją ścigającéj. Żyje tam odosobniona, żaden jéj związek nie łączy, nié ma świadka udręczeń swoich. Brzydzi się obecnym czasem, lęka

przyszłości, spogląda jak leniwym krokiem zbliża się nieszczęśliwa starość i przekonywa, lecz niestety! zbyt poźno: iż największém nieszczęściem ze wszystkich, jest znienawidzenie siebie samėj.

Kamilla Epernay, córka Komendanta Placu, w jednėm z miast przy granicach Flandryi, zajęła najżywszą miłością młodego Saint-Lambert, jedynego dziedzica, znakomitego fabrykanta w Valenciennes. Na próżno familia, uważająca ten związek za przeciwny uszczęśliwieniu jego, przekładała mu niestósowność połączenia i odwodziła od ukochanego przedmiotu; przecież dla samėj tylko żyć pragnął Kamilli, niezdolny w żaden sposób oprzéć się wdziękowi zachwycającemu jėj postaci, i roskosznemu wyrażeniu spójrzenia. Kamilla, któréj Ojca całym majątkiem była posada, sądziła, iż nié może być połączoną s człowiekiem pokrewnionym z najbogatszémi domami okolicy: i dla tego, z niemałém podziwieniem uwierzyła, iż Saint-Lambert po wielu trudnościach, otrzymał wreście pozwolenie rodziców, którzy ceniąc młodéj osoby piękność, przyjemność i dobre wychowanie, razem dostrzegali w niéj chęć niepotrzebną podobania się, przeciwną ustawom, jakim małżeństwo podlega. Saint-Lambert przenosząc piękną Epernay, nad wszystkie widoki, mniemał iż przez samą wdzięczność pozyska wzajemność, a nawet się mu zdawało, że mocno już był kochanym. Najdoskonalsza

wprawdzie zgodność, istniała w skłonnościach i charakterze obojga; a powszechnie mówiono, iż przeznaczenie utworzyło ich dla siebie: Związek ten pożądany, z największą przyjemnością ojca Kamilli, zawarty nareście został.

Saint-Lambert, więcéj roskochany jak zwykle, w postępowaniu żony, samą tylko dostrzegał władzę, jaką wdzięki i piękność wywiérają. Im bardziéj świetnieć starała się, tém bardziéj jego duszę unosiła, i dogadzała mężowskiéj próżności. —Jeszcze rok szczęśliwego pożycia nie minął, a Kamilla została matką, wydawszy na świat córkę, która tém ściśléj węzeł małżeński połączyła.

Dla odmian zaszłych w rosporządzeniu miejsc, mężny *Epernay* otrzymał korzystniéjszą posadę w Valenciennes, a razem zyskał sposobność miészkania przy córce, widzenia, jak wzrastała, i jak coraz piękniéjszą stawała się maléńka Adela, któréj przyjemna postać, i rzadka piękność, zapowiadały, iż równie jak matka, będzie zachwycającą. — Kamilla zaś przez szczególną troskliwość około dziecka, codzień droższą była dla serca Saint-Lambert, widziała się na łonie obfitości, otoczona poważaniem publiczném, ubóstwiona od małżonka, i z roskoszą codziénnie oddychająca, w uściskach ukochanego ojca, któremu przykrą starość osładzała; cóż więcéj potrzeba było do jéj zupełnego szczęścia? Używała go istotnie, w czasie piérwszéj młodości Adeli,

któréj władze umysłowe, rozwijając się szczęśliwą cudownością, czyniły ją roskoszą rodziców. Była ona bożyszczem dobrego Epernay, a gdy na ręku trzymał ulubione dziécię szczęśliwszym się mienił od wszystkich śmiertelnych: mając zaś wyobrażenie, iż życie jego odradzało się w téj niewinnéj istocie, spoglądał bez trwogi, na śmierć przybliżającą.

Nadeszła chwila, w któréj przeznaczenie miało zachwiać szczęście téj familii. Saint-Lambert w przeciągu kilku miesięcy utracił ojca, matkę, i został właścicielem ogromnego ich majątku, przez cztérdziestoletnie prace nabytego; a zwłaszcza z sławnéj koronek rękodzielni. Gdy upłynął czas, jaki tkliwość synowska poświęciła żałobie, Kamilla oddawna pragnąca opuścić Prowincyą, na któréj potwarzy złośliwych ludzi, tak ciężko uniknąć; zachęcała męża, aby zimę przepędzić w Paryżu mało jéj znanym, w celu uszczęszczania na widowiska, dla poznania w całéj świetności sztuk pięknych, wreście aby dać piérwsze s korzyścią zasady, edukacyi Adeli. Saint-Lambert, mając sam tajemną skłonność do okazałości, i zbyt wcześnie tworzący w swéj wyobraźni, romaite widoki względem wychowania i zamęścia córki, z łatwością uległ naleganiom żony. Powierzył zatém przyjacielowi godnemu, zarząd bogatych rękodzielni, przypuszczając go w pewnéj części, do odnoszonych korzyści; a wynająwszy wprzódy

miészkanie okazałe, na jednéj z najpiękniéjszych ulic Paryża, udał się tam w końcu Października s familią, w towarzystwie Kommendanta Epernay.

Stolica Francyi zachwyciła Kamillę, w niéj była już wolną, od nieznośnego wystrzegania się, od téj obmowy w mieście małém, która częstokroć, najczystszym zamiarom nie przepuszcza, i głosi jakby wielkiéj wagi, rzeczy nieznaczące. W piérwszych domach handlowych przyjętą była z rzetelném uniesieniem, zgoła wszędzie jéj wyrządzano, hołdy najpochlébniéjsze. Jakże! miałaż być niepoważaną młoda, piękna, bogata osoba, w stolicy podstępów, zbytku i zepsucia?.. Nabyła wkrótce najmodniéjszą karétę, i przyjęła stósowną liczbę służących. Jeden dzién w tygodniu, poświęcała przyjmowaniu gości, w którym na wyborny obiad, zgromadzało się wielu biesniadników, przyjaciół wylanych, i uczynnych wielbicieli. Przydano Adeli Ochmistrzynią, na chwilę niespuszczającą jéj z oka co uwolniło Kamillę, od ciągłych obowiązków, właściwych czułości macierzyńskiéj. Saint-Lambert korzystając s pobytu w Paryżu, starał się wsławić liczne wyroby swoich rękodzielni, i dla tego większą część dnia, bywał nieprzytomnym w domu. Kommendant zaś Epernay, czas niejakiś przepędziwszy z dziećmi, musiał powrócić do Valenciennes, Kamilla podówczas, mogła się oddać bez wahania, najży-

wszym uniesieniom, duszy i wyobraźni. Widziano ją na wszystkich uroczystościach publicznych, na częstych schadzkach, obfitych w liczbę dam i mężczyzn, stanowiących mody. Zajętą była nadzwyczajnie wszystkiém, co się tylko uwadze przedstawiało; skutki zaś stąd wynikające, lubo nié miały przystępu do serca, przecież łechtały Kamilli próżność, a węzeł łączący ją z małżonkiem zawsze był poważany, przez wdzięczność tylko.

Spomiędzy osób, najczęściéj zapraszanych i połączonych s Panem Saint-Lambert widokami handlowémi, był Juliusz Brevanne, bogaty kapitalista, człowiek przyjemny, na wszystkich zabawach pożądany, używający zręcznie obrotów, do zajmowania sobą służących. Liczył lat cztérdzieści, a przecież zachował wszystkie rysy młodości. Zakładał swą chwałę na podobaniu się najpiękniéjszym kobiétom, na przekonaniu ludzi, jak strasznym był, dla odbywających z nim pojedynki: sławny z niektórych usług zaszczytnych, i głośny z intryg miłosnych, był na przemiany: wielkim, wspaniałym, poświęconym dla przyjaciół, dumnym, interessowanym, a nawet podstępnym, gdy chciał jakiéj zdrady się dopuścić, albo uwieść niewinną kobiétę, jednem słowem był to Proteusz modny, prawdziwy intryg bohatyr, zrodzony dla ozdoby i nieszczęścia towarzystw.

Jeden rzut oka przekonał go, o zagrzanéj wyobraźni Kamilli, nieprzyznawającéj małżeństwu rościągłego panowania; poznał, iż wdzięczność uważała za miłość, i że przywiązanie do małżonka, niebyło wystarczającém dla jéj serca. Kamilla piękna, tkliwa, niewinna jeszcze, a zdolna najwyższą pałać miłością, chlubną zdobycz przedstawiała. Brevanne nic nie zaniedbywał, czém mógł jéj sprawić przyjemność. Przekładając często zacnemu Sain-Lambert, rady swoje w trudniéjszych czynnościach handlowych, gabinetu jego nieopuścił nigdy, bez udania się do pokoju Kamilli, aby jéj złożyć należne uszanowanie; gdzie potrafił tak zręcznie się układać iż od obojga był upragniony. Pozyskał zaś całkowite zaufanie szanownego małżonka gdy piérwsze spekulacye, podług jego przedstawienia wykonane, bardzo się szczęśliwie powiodły. W końcu tak umiał zająć Kamillę, tkliwością hołdów, i czułémi pochlébstwy, trafiającémi do serca młodéj kobiéty, iż coraz stawał się jéj droższym; tym sposobem, w domu istotnych przyjaciół, takie nadał znaczenie sobie, iż wkrótce wszystko się tam działo, podług jego rozkazu i woli.

Zgodzono się, aby Kamilla ustaliła na zawsze pomieszkanie w Paryżu, a Saint-Lambert miał corocznie, przepędzać trzy miesiące w Valenciennes, dla dopilnowania rękodzielni. Kupili przeto pałac na ulicy Spokójnéj, i utrzymanie domu, u-

czyniono zgodném z ogromnémi dochodami, podwojonémi przez spekulacye bankowe, do których Brevanne, także jako spólnik należał. Jego zamiary względem Kamilli, tak dobrze były ułożone, a postępowanie w przytomności męża tak umiarkowane, iż ten ani pomyśléć nié mógł, o najmniéjszém podejrzeniu, na człowieka tyle przyjemnego, od którego co dzién odbiérał nowe dowody, poświęcenia i zacności. Saint-Lambert nie był tak wyrachowanym i dowcipnym, jak Brevanne: przecież miał wielki rozsądek, i wyrozumiałość; a zwłaszcza potrafił zachować krew zimną w okolicznościach przykrych, łącząc s pomiénionémi darami, najpoważniéjszą godność.

Nadeszła wreście chwila, trzechmiesięcznéj podróży Pana Saint-Lambert do Valenciennes. Kamilla i jéj wielbiciel, od przykrego wystrzegania się uwolnieni, mieli ciągłą przyjemność widzenia się ustawicznego. Brevanne nie wątpiąc już o przewadze, jaką odniósł nad sercem młodéj osoby, zachwycał ją wdziękiem niewyrażonym, który umiał nadawać swoim twiérdzeniom, i obłąkał w całéj zupełności, przez upajające zapewnienia przywiązania i stałości. Postrzegano zawsze ich razem w Paryżu, i okolicach jego; publiczność źle to uważała, przyjaciele szemrali, służący nawet Kamilli skarżyli się na zbyteczne wymagania Juliusza Brevanne, który Pana w sobie uważać im nakazywał, a nawet do tego zapomniał się stopnia, iż dnia pewnego, starego

Germain dobrego i wiernego sługę, świadka jeszcze urodzenia się Pana swojego, chciał oddalić s powodu, że ten poczciwy starzec, ciérpiéć nie mógł, aby niegodny człowiek hańbił Panią, korzystając z nieobecności męża. Skoro Saint-Lambert powrócił z Valenciennes, natychmiast był uwiadomiony, o nieprzyzwoitém postępowaniu żony, a chociaż niewierzył skargom, przecież uważał za powinność, wyjaśnić niebespieczeństwo, na które wystawiało go niedoświadczenie. Chcąc nadto uniknąć rozmowy zawsze przykréj z żoną, i pogardzając rostropny małżonek graniem roli zazdrosnego, znalazł sposób ostrzeżenia Kamilli o swéj krzywdzie, używając posłańca, który na niéj powinien wielkie sprawić wrażenie. Rozkazuje Adeli, oddać list matce, od najlepszéj przyjaciółki z Valenciennes, miéniąc go przesłanym. Dziécie pełni wskazany obowiązek. Pani Saint-Lambert rospoznaje pismo mężowskie, i czyta te wyrazy: «Kamillo, zguby swéj żądasz!.....» — «Wszystko odkryte!» zawołała mimowolnie... — «Cóż ci to droga Mamo?» rzekła Adela strachem przejęta. — «Nic kochane dziécię.... tak, nic mi niebrakuje... lecz wyjdź córko moja!.. sama zostać potrzebuję.» Adela odchodząc kilkakrotnie s czułością spogląda na matkę. Powraca do gabinetu ojca, i żali się strwożona. «Cóż mi dałeś do oddania Mamie? Ah! gdybyś widział jak okropnie zbladła!... a potém zawo-

łała: wszystko odkryte!» — «Co powiadasz? zawołała: wszystko odkryte!» — «Tak jest istotnie, wreście padła prawie bez zmysłów drżąca, i spoglądała na mnie oczyma!... ah! oczyma, które mnie bojaźnią przejęły: zbliżyłam się błagając mamę, lecz odéjść mi roskazała... Ah Ojcze! spiesz ją zobaczyć, jestem pewną, że w téj chwili płacze. A jeśli ci się zdarzy, od podobnie nikczemnéj przyjaciółki list odebrać, proszę cię sam go odnieś mamie, albo lepiéj schowaj, aby jéj nie czynić zgryzoty.» — «Przestań! i powróć córko moja do twéj matki, nieopuszczaj jéj na chwilę dopóki ci nieroskażę.»

Ta scena nieprzewidziana, dłużéj powątpiéwać niedozwalała, aby Kamilla niezgwałciła wiary małżeńskiéj. W piérwszym zapale swojego oburzenia, Saint-Lambert chciał zerwać znieważone związki, lecz matka Adeli, błagała o przebaczenie, dla zbrodniczéj małżonki. S tego względu zajął się naprzód zniszczeniem całego stowarzyszenia finansowego z Juliuszem Brevanne i poświęcił się w obecnych okolicznościach, na wielkie straty osobiste, aby wzbronić do swego domu natychmiast wstępu, człowiekowi niebespiecznie podstępnemu. Poczém odwiédził Kamillę, przed którą ukrywając z godnością, głęboką ranę serca swojego, w te się odezwał wyrazy: «Zerwałaś związki które nas łączyły... pozostaje mi ta pociecha tylko, iż postępowanie moje, nié mogło ci je

uczynić przykrémi . . . nie usłyszysz odemnie, ani żalu, ani wyrzutów: zbyt trudną byłoby rzeczą, upokarzać matkę córki mojéj. Ten jedyny tytuł, pozostaje ci w mojém przekonaniu; wszystkie inne, są zniszczone na zawsze. . . . Kamillo! jeżeli przyrodzenie ma jeszcze wolny przystęp, do obłąkanéj duszy, naśladuj mnie proszę: znośmy nawzajem dla naszego dziecka, ciężar widzenia się codziénnie, i miészkania pod jednym dachem, niedoświadczysz odemnie żadnéj nieprzyjemności, obojętność milczeniem pokryję, a nieżądam od ciebie, ani przywiązania, ani wyrzutów sumienia. Żyjmy jak dwie istoty, które po raz piérwszy się napotykają, bądźmy złączeni i rozdzieleni. Niech Adela nasza, stanowi pierścień, do którego się wiązać będą, dwa końce zerwanego łańcucha; ona sama nakazuje, zachować w oczach świata, podobieństwo związku potrzebnego, do jéj szczęścia, do jéj ustalenia. . . Jeden tylko zakładam warunek, iż nigdy widziéć się nie będziesz, z niebespiecznym zwodzicielem, który nas rozdziéla. . . . Jego przytomność w tém miejscu, życiem byłaby przypłaconą; i mam nadzieję, iż gdy wyrządzam dla matki Adeli, największą ofiarę, jakiéj tylko uledz może poczciwy człowiek; zapewne ta, przez wdzięczność, nie narazi dni ojca swéj córki, przestając może, na wydarciu mu spokojności i szczęścia. . . » Uniesienie boleścią przejętego Saint-Lambert, w téj chwili by-

ło nadzwyczajne. Wybiégł, przeto, aby go nieokazać, i zostawił Kamillę w rospaczy niepodobnéj do opisania.

Z jednéj strony tkliwość macierzyńska dla Adeli, i wspaniałość małżonka, przeszywały udręczeniem jéj duszę, wyrzucając zdradę z niewdzięcznością; z drugiéj, Brevanne zapalił w duszy płonący ogiéń, który już niepodobną rzeczą było ugasić. Prawa przyrodzenia, honoru, łączyły ją z małżonkiem i córką: z ukochanym zaś Brevanne, wszystkie uczucia zbytecznéj miłości. Jakże! czy i do zapomnienia o nim, wystarczą jéj siły? Czyliż zasługuje, aby mu poświęcała całe szczęście swoje?... Takie były rozwagi i męczarnie, jakim się Kamilla poddawała, gdy pewnego rana służąca, którą Brevanne ująć potrafił, przynosi bilet jego. W tym zaś z szczególną wyraził obrotnością i mocą godną nikczemnego człowieka, okropną niemożność jéj oglądania; oświadczając razem, iż gdyby nadal miał być pozbawionym tak wielkiego szczęścia, a przynajmniéj słodkiéj pociechy pisywania do niéj; tedy w ustronie dzikie poniósłby z sobą, nieszczęśliwą miłość, i obraz jedynéj kobiéty, na świecie rzetelnie ukochanéj; zakończył wreście zapewnieniem, że w przeciągu trzech dni, nieodebrawszy własnoręcznego odpisu Kamilli, podda się wyrokowi, jaki mu swojém milczeniem przeznacza. Młoda kobiéta, strwożona, widząca już myślą na zawsze

oddalonego człowieka, dla którego tyle udręczeń poniosła, waha się przez chwilę między obowiązkiem świętym, a nieszczęsną namiętnością: lecz nagle chwyta za pióro, i wyraża drżącą ręką: » Nie oddalaj się! » Ta odpowiédź Kamilli, przekonała zdrajcę, o wielkości władzy, jaką nad nią posiadał. Nie tylko zatém s Kamillą utrzymywał ciągłą korrespondencyą; ale nawet częstokroć się z nią widywał. Ileżto ostróżności i usiłowań, wymagał ten zbrodniczy związek! najmniéjszy pozór szanownego Saint-Lambert mógł go zniszczyć zupełnie, i rozszérzyć odgłos hańbiący. Wszystkie listy kawalera Brevanne, odbiérała powiernica od wysłańca, któremu nawzajem udzielała odpisy Pani; trzeba więc naprzód było, zapewnić sobie, tych dwóch osób milczenie. Odźwierny pałacu, widząc codziénnie przybywającego człowieka, powziął podejrzenie, które udzielił innym domownikom, wciągając ich do tajemnicy. Jakże sroga kara dla młodéj osoby! ileż przymuszoną była rosprószyć złota, ileż znieść upokorzeń, polegać na łasce służących, ciérpieć ich poufałość, wystawiać się na obmowy, na wzgardę!... «Ah! ciągle wołała Kamilla, dokądże mnie doprowadził *jeden błąd tylko!*

Ależ to ciérpienie, było wstępem tylko, do smutnego przeznaczenia, jakie ją czekało. Jeden z listów P. Brevanne, podczas niebytności służącéj przyniesiono: stary Germain właśnie przyto-

mny w miészkaniu odźwiernego, ofiaruje się odnieść go Kamilli; a nie wiele mając pamięci, i z usposobienia rostargniony, przez pomyłkę oddaje go Panu, który otwiéra, poznawszy pismo Juliusza Brevanne. Ten nikczemnik, tłómaczył się Kamilli w poufałych wyrazach, dowodzących jawnie o bezczelnéj zażyłości. Znaglał ją usilnie, do spełnienia przyrzeczonego słowa w opuszczeniu męża, od którego nié może spodziéwać się więcéj, prócz obojętności, i saméj pogardy. Ofiarował podzielić z nią majątek, który znacznym być mienił, zakończył wreście oznaczeniem dnia i godziny, w jakiéj s córką jéj oczekiwał, s którą rozłączyć się nie chciała, i że wszystko tak dobrze przygotował, iż w ciągu dwóch dni, za granicą Francyi znajdować się będą.

Saint-Lambert wyczytywszy okropną wiadomość, uczuł całe oburzenie, na jakie szlachetny małżonek i najtkliwszy ojciec, zdobyć się może. Jednakowoż, ukrył tak wielkie ciérpienie w swéj duszy, i myśląc tylko o zachowaniu skarbu najdroższego, oświadcza córce w przytomności Kamilli, iż jednego s przyjaciół, na wsi przyrzekł odwiédzić; dla uprzyjemnienia zatém podróży, postanowił ją wziąść z sobą. Adela z uniesieniem przyjmuje to wezwanie, a matka żegnając się s córką, doświadcza boleści serca, któréj odgadnąć nié może przyczyny. Blisko było południe: Pani Saint-Lambet, korzystając s tego oddalenia,

pisać chciała do Juliusza Brevanne; lecz zaledwie zdobyła się na wiérszy kilka, gdy staruszek Germain, przynosi jéj list od cnotliwego małżonka, i odchodzi natychmiast wyrzekłszy: «Polecono mi, w twoje własne ręce, oddać go Pani.» Kamilla pismo drżącą otwiéra ręką; dreszcz śmiertelny wszystkie przejął jéj członki; a smutne przeczucia spełniają się, gdy czyta następujące wyrazy.

«Musiałem uprzedzić cios okropny, jaki mi zgotowałaś: córka jest w mojéj mocy, i nigdy w twoje się niedostanie.... Jeżeli aż dotąd wszystko poświęciłem dla matki Adeli, winienem był i dla siebie i dla dziecka mojego, pokazać w téj nieszczęsnéj okoliczności, godność człowieka i powagę ojca... Nie powrócę do domu, póki z niego nieustąpisz... nadewszystko proszę, nie zostawiaj nic, co jest twoją własnością: bo i tak już, nadto liczę pamiątek bolesnych, przedstawiających ciebie... porzuć mię bez oporu, bez rozgłaszania tego światu!... Pomnij, że mam w ręce nadto jasne dowody; nie żądaj więc, abym w sądach hańbił córki mojéj matkę.

Saint-Lambert.»

«P. S. Na przypadek méj śmierci, 6,000 franków intraty, zapewnione ci w warunkach małżeństwa, rzetelnie wypłacane będą; prawem słusznie nabytém, ponieważ nie żyje więcéj dla ciebie.»

Do tego listu dołączonych było sześć biletów bankowych; Kamilla wpiérwszém uniesieniu chciała je odesłać; lecz po chwili namysłu, przekonała się, że ta ofiara była nowym dowodem czułości, tchnącego dobrocią Sain-Lambert, który nie żyjąc wspólności majątku, i nie wziąwszy posagu, aby go teraz zwrócił, przecież zrywając węzeł małżeński zniegodną Kamillą, niedozwalał aby matka Adeli, potrzebowała wsparcia zwodziciela.

Wzruszenie najżywsze zapełniało duszę ciérpiącą młodéj kobiéty, upokorzonéj aż do usunięcia się zdomu własnego; oczy jéj ciągle były zwrócone na pismo małżonka, i wyléwały łzy gorzkie, odczytując ostatnie wyrazy: «nie żyje więcéj dla ciebie.» Natychmiast rozkazuje służącéj ułożyć suknie i drobiazgi, do ciągłego jéj użytku służące; wsiada do pojazdu, oddala się s pałacu bogatego, w którym była ukochaną, i największego doświadczała poszanowania, zaledwie zdolna wymówić drżącémi ustami: «*Dokądże mię prowadzi jeden błąd tylko!*»

Jednakże miała jeszcze tyle mocy nad sobą, iż nie udała się do Juliusza Brevanne; lecz wynajęła kilka porządnych pokojów, na przedmieściu Saint-Germain, odpiérając odważnie, wszystkie nalegania obmierzłego człowieka, który pragnął ją skłonić do zamiészkania z sobą, albo też zyskać, wprowadzenia się do niéj pozwolenie. Brevanne,

tak szkodliwy członek towarzystawa, nie przestawał na najmocniéjszém przywiązaniu Kamilli, żądał jeszcze aby rozgłoszono bezwstydne jego czyny, tym sposobem dogadzał swéj dumie, i mniemał nabywać chwałę u świata. Saint-Lambert scórką wkilka dni powrócili. Powiedziano Adeli, że jéj matka wdaleką podróż wyjechała, wcelu polepszenia zdrowia; czemu łatwo wierzyła, ponieważ żadna widoczna odmiana, nie zaszła wpokoju Kamilli. Saint-Lambert zaś, któremu klucz oddał Germain, od biórka żony, mocno się zdziwił, znalazłszy tam zostawione pierścienie, kléjnoty i wszystkie listy do niéj pisane. Na ten widok przejęty pamiątką drogą i bolesną, wychodził zmiejsca, wktórém tak wiele razy zyskiwał od Kamilli wyznanie miłości, i udaje się do salonu. Podziwienie jego zostało pomnożone; gdy nie postrzegł obrazu żony, przez Robert-Lefévre wypracowanego, wzorowego dzieła sztuki, gdzie Kamilla była wystawioną, czytająca Adeli ustęp, zWieczorów Zamkowych Pani Genlis, z największą uwagą, i ciekawością od córki słuchany. »Jakże zawołał Saint-Lambert, Pani swój portret zabrała?« — «Owszém zostawiła go odpowiedział Germain, roskazała tylko wmiejscu innėm zawiesić, to jest wpokoju Adeli; wyraziwszy wprzódy, jakiś napis u góry, który łzami skropiła.» Znalazł tam go istotnie Saint-Lambert, a na karcie którą Kamilla, zdaje się czytać

Adeli takie spostrzegł wyrazy: «*Jeden błąd nas rozdziela.*»

Saint-Lambert lękając się spotkania w Paryżu Kamilli z niegodziwym pulubieńcem, tém bardziéj, że jego przytomność potrzebną była w rękodzielniach, pojechał do Valenciennes, w towarzystwie Adeli i sług najwierniéjszych. W miejscu urodzenia, spodziéwał się znaléść pewne osłodzenie ciężkich zgryzot, i jakąś rozrywę tęsknym wspomnieniom; lecz niestety! wszystko mu przypominało Kamillę, a zwłaszcza Kommendant Epernay, przed którym trzeba było odkryć wszystko, co tylko się stało. Surowy ten człowiek, w piérwszém uniesieniu gniéwu swojego, chciał szukać Juliusza Brevanne, i domagać się krwi za nieszczęścia, jakiémi familią jego obarczył; lecz Saint-Lambert, uspokoił porywczość szanownego zasługami żołniérza, i nié mógł dozwolić, aby człowiek honoru, sędziwy starością, narażał na niebespieczeństwo dni życia swojego, naprzeciw zdrajcy, któryby w nim może nie uczcił ojca Kamilli.

Tym czasem Brevanne, zwolna odzwyczajał się od przedmiotu tak namiętnie ukochanego: czyli to, że młoda kobiéta, ogołocona z okazałości, bogactw, zajmująca proste miészkanie, zdała się mniéj zachwycającą; czyli téż, że podejrzliwy, jak wszyscy zwodziciele, posądzał Kamillę o niedochowanie wiary; czyli téż nareście, że ich

związek miał los spotkać, jakiemu podlegają wszystkie nie oparte na szacunku: stéj przyczyny, coraz rzadziéj odwiédzał Panią Saint-Lambert, doświadczał przy niéj pewnéj niespokojności, okazywał obojętność i znudzenie, które bynajmniéj nie uszły rzadkiéj przenikliwości nieszczęśliwéj ofiary. Stałość jéj nie pozwalała czynić zażaleń, wołała raczéj ciérpićć tak sprawiedliwie. W końcu dowiedziała się, iż Brevanne w nowe związki był wciągniętym, i że nad nią przekładał, jedną stych niewiast śmiałych, na wszystko się odważających, obrotnych wprowadzeniu intryg, niewychodzących s przedpokojów Ministrów, zatrudniających wszystkie bióra nawałem rozmaitych interessów swoich i pędzących czas nareście w domach grom poświęconych. O! jakimże ciosem dotkniętą była Kamilla, widząc nad sobą przewagę podobnéj rywalki. Wieleżto przykréj goryczy, wieleż łez żałujących, kosztowało ją nieszczęsne przywiązanie! Zamiéniła byt najświetniéjszy, w samotność nieznaną, wyrzekła się szacunku publicznego, aby dziś nie miéć odwagi pokazać się światu; zdradziła człowieka szlachetnego, łatwowiernego męża, najszczérszego przyjaciela i dla kogóż?.... Ale jeszcze nie stanęła u kresu smutnych doświadczeń, jakie ją czekały. Brevanne którego duma wyrównywała niestałości, umieścił wszystkie kapitały w banku Paryzkim, upadek zaś tego w roku 1818 nieprze-

widziany, zubożył go równie, jak wielką liczbę bardzo bogatych ludzi. Oszukany wswoich rachubach, trawiąc czas na grach niebespiecznych, utracił prawie cały majątek i widział się przymuszonym, szukać lepszego losu w obcym narodzie. —Jakoż szczęśliwie, miał w Hollandyi summ kilka, jedyną własność jego składających, opuścił więc Paryż, gdzie był obciążony długami, wziąwszy z sobą małżonkę podstępną, mającą mu być użyteczną, w przedsiewziętych zamiarach; a Kamillę porzucił, dręczoną wyrzutami sumienia, i najokropniéjszą rospaczą. Wiedziała ona s pewnością, iż Brevanne nie tylko dla niéj saméj pałał uczuciami miłości; lecz nie sądziła, aby s taką dzikością, był zdolnym opuścić kobiétę, która dla niego wyrzekła sie męża, dziecka, spokojności, dobréj sławy i świetnego powodzenia. Jestestwo jéj niszczało pod natłokiem boleści; niebespieczeństwem utraty życia zagrożona była; które gdy minęło, lękano się o jéj rozum..... a w stanie tak godnym litości, nieszczęśliwa odbiérała pomoc z rąk najemniczych tylko, lub od serc czułych, uznających jéj niewinność, słysząc wołającą ciągle z obłąkanémi oczyma, i głosem pomięszanym: «*Otóż gdzie mnie prowadzi jeden błąd tylko!*»

Kilka dni upłynęło, a Kamilla z większą poczęła już znosić odwagą, ciężar przywalający: gdy w tém list jéj oddano: Rospoznaje pismo ojca

swojego: piérwszy byłto bilet poważnego starca, od czasu rozdzielenia się z małżonkiem. Jeszcze nieczytała, już całuje z uszanowaniem harakter święty i przyciska do serca swojego. Nakoniec z radością przerażającą zawołała: «Mój ojciec mi przebacza! moje nieszczęścia rozbroiły gniéw jego. Ah! czułam wielką potrzebę, pozyskania tego balsamu pokrzepiającego, tego ratunku ojcowskiego!...» Chce czytać pismo, lecz przeszkadzają łzy radości spływające z oczu. Alež jaki cios nowy jest zgotowanym dla duszy, już i tak okropnie ściśniętéj?... Ah! czyliż jéj siły pozwolą, wytrzymać niesłychane udręczenie?... Ten list tak drogi, tak pożądany, zawiérał następujące wyrazy:

«Umiéram z ręki twego zwodziciela,... Szukałem śmierci, aby uniknąć hańby, którą ściągnęłaś na starca, siwizną okrytego.... Kończę życie przebaczając tobie... Żegnam cię Kamillo... Obyś mogła samėj sobie przebaczyć!...

Epernay.»

Pośród najmocniéjszych ciérpień, i rozdziérających krzyków, Kamilla dokończyła czytanie pisma strasznego i dotkliwego: które jéj sprawiło okropniéjsze, nad wszystkie dotąd wyciérpiane męki. Powtarzała bezustannie z zapałem posuniętym do szaleństwa, iż zamordowała ojca, i że niebo nigdy nieusprawiedliwi przebaczenia, jakie pozyskała od umiérającego.... Wkrótce dowie-

działa się, o szczegółach smutnego wypadku. Kommendant Epernay znajdując się w Mons, w interessach urzędowych, spotyka w Biórze placu, człowieka krzyżami ozdobionego, przybyłego w celu sprawdzenia paszportu, w podróży do Holandyi. — Przeczytawszy w nim Epernay, iż nazwisko Juliusza jest Brevanne, zapytuje się natychmiast, czyliby nieznał w Paryżu P. Saint-Lambert, a gdy odpowiedzią przekonał Ojca Kamilli, iż sam los sprowadził osobę, którą dopiéro szukać postanowił; wtenczas pokrywając tajemnicą nazwisko, i mieniąc się bliskim krewnym małżonka znieważonéj, oświadcza nikczemnikowi, iż krwią tylko zmyć potrafi zbrodnię wyrządzoną, i s taką nadludzką wybucha gwałtownością, że Brevanne chociaż przekładał nierówność wieku, dającą znakomitą przewagę nad wyzywającym, przecież był przymuszonym stanąć do walki, w któréj za drugim wystrzałem, pada nieznajomy, i dopiéro naówczas odkrywa, że jest Ojcem Kamilli.

To zdarzenie, wkrótce rozgłoszono w całéj okolicy, pogrążyło Pana Saint-Lambert i córkę jego w najgłębszym smutku. Pisma publiczne nad tym upadkiem rozumowały: a jak każdy czyn, z ust do ust przechodzący, co raz nową postać przybiéra, podobnie i w tym razie, powiadano: że Juliusz Brevanne, zakochany w Kamilly Epernay, zabił umyślnie jéj ojca w pojedynku,

który raczéj był podłém morderstwem. Odtąd Panią Saint-Lambert uważano, jak córkę wyrodną, rozkazującą człowiekowi ją hańbiącemu, wydrzéć życie sławnego cnotami ojca. Na próżno usiłowała, zniszczyć dzikie oskarżenie, bo wszystko co uderza wyobraźnią Publiczności, niełatwo zatartém być może. Tak imie Kamilli Epernay, w powszechném miano obrzydzeniu. Ofiara strasznéj potwarzy, postanowiła opuścić Paryż, i schronić się pod imieniem przybraném, na wieś w okolicy aby jéj widok, nie sprawiał oburzenia pomnażającego zgryzoty, od których pożéraną była. Pragnęła zamiészkać ustronie, przyległe łasom spokojnym, gdzieby mogła żyć nieznana od całego świata, i gdzieby żaden śmiertelnik, niewzbraniał opłakiwać bolesnego zdarzenia. Obrała więc schronienie pustelnicze, pomiędzy wioskami Brunoy i Bausserons; tam prowadziła życie najoszczędniéjsze, aby mogła s pensyi przeznaczonéj od małżonka, udziélać pomoc nędzy otaczającéj, i osładzać nieszczęście swoje dobroczynnością.

Postanowiwszy na zawsze, zostawać w tém miejscu utajonem pod nazwiskiem Pani Holler, chciała samotność swoję cokolwiek uprzyjemnić, i ulżyć ciężkie brzemie zgryzot; s tego względu, oddała się nauce Botaniki, aby wyczérpanych wiadomości, korzystnie używała, dla nieszczęśliwych chorych w okolicy. Miészkanie jéj było

gatunkiem Aptéki, zawiérającéj w sobie wszystko, co tylko przyniéść pomoc mogło ciérpiącéj ludzkośoi; widziano ją zawsze przebiégającą lasek Senart, i wdziérającą się na góry, dla zbiérania uzdrawiających roślin, co było ulubioném Kamilli zatrudnieniem. Nie wydawała na własne potrzeby, jak trzecią część dochodu, a resztę przeznaczała na wsparcie i jałmużny, przynoszące jéj powszechny szacunek i błogosławieństwo. Niemówiono o niczém w przyległych wioskach, jak tylko o dobréj i wspaniałéj Pani Holler. Zbiegano się ze wszystkich stron, do małéj wioski Bausserons, szukać ratunku dla chorych, i zasilenia w niedostatku. Kamilla ciągle odbiérała dziękczynienia, słyszała same tylko wyrazy, zapewniające o wdzięczności, i już widziała przyświécający słaby promień szczęścia... Córka jéj licząca naówczas lat szesnaście, dowiedziawszy się o przyczynie wstrzymującéj matkę w oddaleniu, i przewidując dotkliwe s tego powodu ciérpienia; wymogła na ojcu pozwolenie pisywania do Kamilli, czém największą matce, w pustelniczém życiu przyjemność sprawiała. Pani Saint-Lambert z swéj strony, nieprzestawała z głębokiém uczuciem, udzielać córce rad zbawiennych, względem niebespieczeństwa w wyszukiwaniu hołdowników, i zdradliwego błyszczenia na świecie. Adela wszystkie listy pokazywała ojcu, w mniemaniu: iż stopniowo zdoła zmniéjszyć

gniéw jego, i pojednać s czasem rodziców. Miłość dziecinna zaślepiała tę duszę niewinną, przypuszczającą możność takowego połączenia..... Od dwóch lat miészkała w Paryżu; piękna, przyjemna i jedyna dziedziczka ogromnego majątku, wielką znalazła liczbę dobijających się o jéj rękę czcicieli. Kilka miesięcy już upłynęło, jak Saint-Lambert połączony ścisłą przyjaźnią s Panem Montmartel, najpiérwszym bankierem Paryzkim, do stowarzyszenia z nim handlowego przystąpił. Szanowny ten człowiek, miał dwoje dzieci: córkę, najtkliwszą skłonność ku dobréj Adeli czującą i dwudziestopięcioletniego syna, mocno ujętego wdziękami oraz mnóstwem wzorowych przymiotów Panny Saint-Lambert, przyjmującéj z niemałém upodobaniem grzeczności jego. Tajemne uczucia nieukryły się przed baczném okiem przyjaciółki Adeli, umiejącéj tak dobrze wspiérać życzenia brata, iż w krótce związek małżeński, był pożądanym przez obie familie. Przedstawiał on wzajemną korzyść, i dogodność w stowarzyszeniu; a przeto w Montgeron, gdzie Montmartel posiadał włości najpiękniéjsze, połączenie to nieodwołalnie postanowione było. Poczém Adela powzięła zamiar, donieść o niém osobiście matce, któréj lat siedm już nie widziała; a témbardziéj, że tylko jedna mila drogi ich rozdziélała. Był to czas najdłuższych dni lata, a pogodna wesołość nieba, zgadzała się z uczuciami

serca Adeli. Przybiéra do tajemnicy, dobrego i wiernego Germain, ciągle w usługach ojca zostającego; objaśnia go, że Pani Holler, o któréj w całéj okolicy bez ustannie z wielkiémi pochwałami mówiono, była Kamillą, i że ma nadzieję, iż ją zaprowadzi do wioski przez matkę zamiészkałéj, aby mogła sama oznajmić, o zamęściu swojém, otrzymać jéj pozwolenie i pozyskać błogosławieństwo. Uczciwy sługa, uważał w tym postępku, powinność córki i zamiar najsprawiedliwszy. Wychodzą przeto z Montgeron o wschodzie słońca, minęli już lasek Senart, i w przeciągu godziny, przybyli do Bausserons. Pytają się o miészkanie Pani Holler, kołatają do małych drzwi chaty pustelniczéj, i otwiérającéj wieśniaczce oświadczają: iż pewna młoda dama, żąda pomówić s Panią Holler. Służąca budzi Kamillę, która mniemając, że jéj pomocy potrzebują, zrywa się natychmiast i wybiega do małego ogrodu botanicznego; na piérwszy rzut oka, poznaje starego Germain, i już znajduje się w objęciu córki, któréj wzruszenie jakiego doświadcza, zaledwie wyrzec dopuszcza wyrazy: «Moja Matko!... O moja matko!....» Któż zdoła odmalować podziwienie, i rosczuloną duszę Pani Saint-Lambert?.. Widzieć Adelę, być zachwyconą jéj wdziękami, i przyciskać do serca gwałtownie bijącego! otóż wszystko, co niewyrażone pomięszanie, z niespodzianego pochodzące wido-

ku, dozwala Kamilli.... Odzyskując wreście głos na chwilę utracony, krzyczy upojona radością: «Moja córka!.... Moja Adela!... moja krew!... moja jedyna pociecha!.... Pójdź, ah! pójdź wrócić życie łonu, które cię wykarmiło.... Do ciebie tylko należy, kochane dziécię, choć na chwilę przywrócić mi szczęście, na zawsze utracone.»

Oprowadza ją następnie po miészkaniu, którego zaopatrzenie, składały tylko przedmioty nieodzownie potrzebne do życia. W pokoju Kamilli znajdowało się książek wiele, arfa, niektóre sprzęty i laboratorym chemiczne; wszystkie zaś pozostałe skromnego miészkania izdebki, zamykały szczególnego pielęgnowania wymagające rośliny, których użyteczność, w uzdrawianiu przez Panią Holler całéj okolicy, doświadczoną była. Adela nié mogła bez ciérpienia przebiégać oczyma to smutne ustronie, w porównaniu do pysznych świetnością pokojów, w pałacu ojca swojego. Przecież nieokazuje tego Kamilli, lecz donosi raczéj o szczęśliwém zamęściu, mającém wkrótce jéj los ustalić; oddaje sprawiedliwą pochwałę zaszczytnéj familii s którą się połączy, a zwłaszcza przyjemnemu małżonkowi, jakiego jéj niebo przeznacza: «W szczérości serca mogę wyznać mamo, Alfons jest dla mnie bardzo drogim, on tak dobry, poważany, tak wspaniały!... a nadewszystko jest to brat, najlepszéj przyjaciółki

mojéj .... ja ci go przyprowadzę.... Ręczę że polubisz Alfonsa równie jak córka twoja, i przyznasz sama, iż s takim małżonkiem, powinnam znaléść szczęście życia mojego.... On jeszcze nie wié, że tak blisko miészka ciebie; lecz serce jego, będzie w porozumieniu z mojém, aby matkę naszę z smutnéj wyrwać samotności, przywrócić do przyzwoitego bytu, i pośród nas posiadać.» — » W pośród was córko moja?.. oddzielisz się więc od ojca twojego?...» — D a czegóż mam tracić nadzieję odpowiada Adela całująca ręce matki, aby i ojciec sam nawet?... jakże! czyliżby mógł się wzbraniać, uzupełnić szczęście moje?... Lecz zapominam się, czas upływa, a ja powinnam wrócić do Montgeron wcześnie, aby niedostrzeżono mojéj nieobecności. Żegnam cię matko! obaczymy się jeszcze przed zamęściem mojém.... racz go potwierdzić w téj chwili, i oznaczyć piérwsze ze mną widzenie, udzieleniem błogosławieństwa!..» — «Tak jest, błogosławię cię, dobre i ukochane stworzenie, za chlubny zaszczyt poczytując, żem matką twoją.... Obyś córko moja, w związkach które zawrzesz, zachowała niewinność i wierność na zawsze!... a jeśli kiedy ułudzenia otaczać cię będą, pamiętaj!....— Matko moja!.... zawołała Adella z uniesieniem, mówić jéj daléj niedozwalająca przez ciągłe najtkliwsze w usta pocałowania; a rumieniec występujący, ostrzégał Kamillę, że córka jéj niechce

wiedzieć o występkach matki.... Rozdzielają się z największym żalem. Pani Sain-Lambert odprowadza jeszcze Adelę i jéj przewodnika do bitego gościńca: a stamtąd okiem rosczuloném, spogląda za córką tak daleko, dopóki zupełnie nie znikła.... Naówczas wraca do swego domku, gdzie uważając już w sobie tylko Panią Holler, oddaje się dobroczynnym zatrudnieniom.

Najżywsze uczucie, którém przejął jéj duszę i roskoszny widok Adeli, uniosły jéj wyobraźnię i kołysało najsłodszą nadzieją. Mniemała, iż będzie mogła pokazać się światu, gdzie czas i długie oddalenie już może ułagodziły oburzenie, którego była sprawczynią. Wiedziała dobrze, że połączyć się z mężem, niepodobną było rzeczą; lecz s tém wszystkiém, mogłaby miészkać przy córce, przyzwyczaić zwolna małżonka do swéj obecności, znaléść gorliwego obrońcę w zięciu, w jego godnéj familii podporę opiekuńczą; widziałaby ciągle kochaną Adelę, przy któréj względach zyskałaby jeżeli nie szacunek, to przynajmniéj pobłażanie, a może s czasem nawet przypomnienie błędów. O jakże ta przyszłość szczęście obiecująca, goiła rany i pocieszała jéj serce!.. Z jakimże zapałem, i z jakąż radością, przesłała potrzebne pozwolenie, do tak ważnego związku, który był jéj najdroższą nadzieją, i jedyną ucieczką!... Lecz pewnego wieczora, gdy wróciła do miészkania, zamyślona przedmiotami zbliżającej się ro-

skoszy, postrzegą w odległości starego Germain, postępującego z miną smutną i krokiem wolnym; wybiéga do niego, a piérwsze pytanie było o związek tak świetny, s takim zapałem oczekiwany.... «Niestety!» odpowiedział, nie śmiejąc spójrzéć na jéj oblicze: «wszystko zerwane Pani.» — «Sprawiedliwe nieba! z jakiegoż powodu?» — «Racz przeczytać sama.» Oddaje jéj list od strapionego Saint-Lamberta, s którego się dowiaduje, że w chwili podpisania układu małżeńskiego pomiędzy Adelą a Alfonsem Montmartel, rodzice jego dowiedziawszy się, że matka panny, którą uważali za rozdzieloną prawnie z małżonkiem, była to Kamilla Epernay, oskarżona powszechnie o zabójstwo ojca, sprzeciwili się temu połączeniu, a nawet młody Alfons tak mocno zakochany w Adeli, zadrżał, przekonawszy się czyją była córką; wszystkie zaś dowody, do zniszczenia krzywdzącego oskarżenia służące, niémogłyby nigdy rosproszyć uprzedzenia i zarzutów, spływających na Adelę i owszém, zawsze szkodziłyby jéj ustaleniu. Wreście zakończył Saint-Lambert, oświadczeniem żonie, iż chcąc uchronić siebie i córkę od hańby, ściągniętéj przez osobę, która ich szczęściem zająć się była powinna: opuści Francyą, i za granicą ojczyzny poszuka schronienia, gdzie poświęci życie, na uspokojenie boleści swego dziecka, na przywrócenie obłąkanego rozumu, dotkniętego przez świéżą

zniewagę, na uleczenie, nareście gdyby tylko można, młodego serca gorejącego miłością, i na usunięcie wszystkich nieszczęść któremi obarczyła ją matka... Kamilla zniszczona, na w pół już umarła, daje znak oddalenia się starcowi: sama chciałaby wrócić do pustelniczéj groty, lecz mimowolnie zatrzymuje się, przy łodydze drzewa wzniosłego, jakby piorunem uderzona. Wzruszenie konające jéj oczu, nadto jest gwałtownem, aby zdolne były, jednę łzę uronić; a usta zdrętwiałe, słowa wyrzéc nié mogą.... Długo pozostaje w tak strasznem osłupieniu, nie usuwając wzroku s pisma nieszczęsnego, zawierającego dopełnienie miary jéj nieszczęść. «Także więc,» zawołała, odzyskawszy siły, «wypędzam na zawsze mojego małżonka! moje dziécię!... Shańbiwszy związek święty małżeństwa, niszczę go w chwili, gdy moja córka zbliża się do niego.... Ojciec! najlepszy mój ojciec! zginął ręką zdrajcy, którego zastawionych sideł ujść niezdołam!... Mając szlachetne serce z urodzenia, obdarzona wszystkiémi korzyściami starannego wychowania, stałam się żoną zbrodniczą, córką ojcobóstwem splamioną, i matką wyrodną. O kobiéty!... o młode kobiéty! tak nierostropnie się naigrawające s przysiąg świętych, która was obowiązują: posłuchajcie nieszczęśliwéj Kamilli; lękajcie się wyrzutów sumienia, męczarni jakich doświadcza: i poznajcie wszystkie nieszczęścia,

do których stopniami może doprowadzić.....
jeden błąd tylko.»

CHRYSTUS
PO
ZMARTWYCHWSTANIU.

W domu Symona ucznie się zebrali,
Płacząc o śmierci Pańskiéj rozmawiali;
W tém Jezus jawnie stanął między niémi:
»Pokój wam!» słowy przywitał ich témi.
Jakże Twe każde wielkie słowo Panie!
O! pokój, w czyje Ty zajdziesz mieszkanie,
Lecz dom omijasz zbrudzony grzéchami!
Wymieść westchnieniem, oczyszczać go łzami;
Pokorą stroić, najlichsza, uboga
Lepianka, w gości doczeka się Boga.
W tenczas niech w koło grzmi burza straszliwa,
Spokojno w domku, kędy Bóg przebywa.

SIERRA MORENA.
(Z ROSSYJSKIEGO.)

Na odwiecznie kwitnących błoniach Andaluzyi, gdzie potężnie szumią wzniosłe topole, gdzie mir-

towe gaje zieją najprzyjemniéjsze wonie, gdzie spaniały Quadalquivir s powagą toczy swoje wody przezroczyste, a Sierra Morena rozmarynem uwieńczone ma czoło; ujrzałem anielską dziewicę, która oparta o nagrobek swego Alonza, stała jak posąg boleści. Poranne słońce pozłacało swoim promieniem białą, w czarne prążki urnę, ten symbol nieutulonego żalu, i dodawało w smutku pogrążonéj Elwirze wdzięków, które w miłym nieładzie wolno się rozwijały przed mojémi oczyma. Strumień kruczych włosów, spływając w pierścienie na alabastrowe jéj ramiona, osłaniał zimny, czarny marmur, podobnie do bluszczu, który wije się w około wysokiego drzewa. Kochała ona Alonza i była nawzajem kochaną. Już się zbliżał dla obojga pożądany dzień zaślubienia, gdy srogi los, zajrząc szczęścia dwojga kochanków, rozłączył ich na wieki! Okręt, na którym Alonzo płynął z opoczystéj Majorki, od dawna siedziby przodków swoich, rozbił się podczas burzy o morskie skały i zatonął w bezdennéj przepaści. Straszna wiadomość ta pogrążyła w smutku Elwirę. Odtąd wszystkie jéj dni zatrute były bolesném wspomnieniem tych chwil pięknych, których niegdyś na łonie czystéj, niewinnéj miłości doznawała! Jednakże czas jest pewnym, acz nie zawsze łagodnym lékarzem udręczonéj duszy! Nieobecność i czas, są to dwie skały, o które się łamie smutek i żal człowieka, gdy go na-

dzieja zawiedzie, szczęście omyli, lub gdy najukochańszą istotę utraci! Ten sam czas wywarł i na Elwirę swoje skutki; albowiém nieukojoną boleść jéj zamiénił na cichą i łagodną tęsknotę, a nieuśmierzony żal, w przyjemną osępiałość, która jak zmrok wieczorny na jéj licu osiadła. Kazała ona wystawić pomnik marmurowy, do którego uczęszczając codziénnie, wyléwała rzewne łzy nad nieszczęsnym zgonem swego kochanka. Razem z Elwirą i ja płakałem, żałość jéj odbijała się we łzach, które z moich oczu płynęły; Elwira widząc w mojém sercu swoje własne uczucia, nazwała mię swoim przyjacielem!

Przyjacielem! ah, jakaż roskosz spoczywała w téj nazwie przyjaciela! Jakże miło i słodko brzmiało to słowo w lubych ustach, które je wymawiały! Byłoto podówczas po raz piérwszy, gdy ucałowawszy jéj rękę, spójrzałem w jéj jasne okno i wniknąłem w najskrytsze tajniki jéj pięknéj duszy! Elwira zaś wyliczała przedemną, jako uczestnikiem swojego żalu, wszystkie cnoty swego Alonza; jego piękną, spaniałą duszę, jego miłość, dobroć, uprzéjmość; przywodziła na pamięć owe szczęśliwe chwile, które obok niego przeżyła; opowiadała, jaka żałość, jaka rospacz opanowała jéj duszę, gdy tę straszną odebrała wiadomość; nakoniec opisywała w tém nieszczęściu smutną swoję uległość, pocieszającą wytrwałość i tkliwe uspokojenie serca, które znowu

odzyskała w związku słodkiéj przyjaźni! Lecz natenczas żywszym ogniem błyskało Elwiry oko, świéższym rumiéńcem pałało śniéżne jéj lice, i z radosném zaufaniem ściskała moję rękę. Lecz moja drżała mimowolnie!

Niestety! wulkan miłości zaczął się srożyć, okropnie wichrzył w piersi mojéj, zbyt prędko spłonęło serce moje tą zażogą, wrząca krew rospiérała me żyły, a ja — ja musiałem w głębi serca przytłumiać ten ogiéń, który mnie bez ustanku dniem i nocą trawił!

Ukrywałem moję namiętność, ukrywałem ją długo; i nie śmiałem przed Elwirą wyjawić tych płomieni, które się w mém sercu srożyły, albowiém Elwira przysięgła, że nikogo prócz swojego Alonza kochać nie będzie, przysięgła, że już nigdy po raz drugi nie odda się uczuciom miłości, przysięgła, że się w cichém, samotném zagrzebie ustroniu. Okropna straszliwa przysięga! Onato zamknęła moje usta, żem uczuć najgorętszéj miłości objawić się nie ważył. Byliśmy nierozdzielni. Jakby złączeni jedną duszą przechadzaliśmy się wzdłuż srébrnych wiérzb, które się na spaniałym brzegu Quadalquiviru wznoszą; przypatrywaliśmy się téj szumiącéj rzéce, która tak leniwo snuła się po żyznych błoniach, iż się zdawało, jakby z nich ustąpić nie chciała; w smutnych i uroczystych chwilach siadywaliśmy przy żałobnym pomniku Alonza, i oddając się żałosnym

dumaniom, przepędzaliśmy czas w ponurém milczeniu; wtedy tém mocniéj przemawiały nasze spójrzenia i tém żywiéj biły serca nasze! Gdy oko moje spotkało się niekiedy z okiem Elwiry, gdy tonęło w anielskiéj jéj postaci, wtedy ona wlepiała na chwilę wzrok swój w ziemię, i znowu go błagalnie w niebo wznosiła. Wykradające się z naszych piersi westchnienia unosił zefir w przestwory błękitu. Uczułem, że tkliwe serce Elwiry w objęciu lubéj przyjaźni zadrżało; widziałem, że piękne jéj lice ogniem spłonęło; czułem, iż wrząca krew w jéj żyłach bić zaczęła, domyśliwałem się, że tęskniąc za pokojem, płomienie kochającego serca przytłumić się starała. Chciała mówić, lecz słowa na jéj ustach zamiérały, a moje udręczenia, moje niewysłowione boleści, które sercem mojém wichrzyły, były dla mnie najsłodszą, najszczęśliwszą roskoszą! Nie raz czarna noc, rospostarłszy swe skrzydła, zaskoczyła nas w pustéj i odludnéj samocie, gdzie miły szum nieprzeliczonych wodospadów, od skalistych ścian Sierry Moreny stokrotnie powtórzony, straszliwie się po pieczarach i dolinach rozlegał. Burza parła powietrze, i s takim pędem gnała, jak goni rwący strumień z gór przepaścistych, okropne błyskawice rozdziérały chmury, a blady księżyc chwilowo tylko spoglądał na ziemię. Dziką radością unosiła się Elwira pośród tych romantycznych, strasznych obrazów natury; albowiem

one wznosiły, zachwycały i uszczęśliwiały jéj duszę! I dla mnie ta ciemność była radością; bo ona zbliżała serca nasze ku sobie, ona ukrywała Elwirę przed całym światem, i mnie tylko samego uszczęśliwiała jéj obecnością. Ah! jakże słabém jest serce człowieka! Długo i uporczywie może on walczyć z namiętnością, ale któż poszczyci, że ją zawsze pokonał, że ją zawsze przytłumić zdołał? Bystry prąd rozrywa słabe zapory, a skaliste góry w proch rozsadza pożércza potęga ognia, który się w ich wnętrznościach ukrywa! Taką była potęga miłości mojéj, ona pokonała wszystkie zawady i w słodkiém wyznaniu wynurzył się długo powściągany smutek serca mojego. Wtedy ukląkłem przed tą lubą dziewicą, a gorące łzy płynęły z moich oczu! Elwira zbladła — i znowu na jéj licu zakwitła róża. Trwoga i przestrach, wątpliwość, udręczenie i słodka tęsknota malowały się na jéj twarzy. Z uprzéjmém spójrzeniem podała mi swą rękę.

«Okrutny, zły człowieku!» rzekła do mnie, lecz cichy ton kochającego głosu łagodził surowość tych wyrazów. «Czemuż nie przestajesz na uczuciach szczeréj i prawdziwéj przyjaźni? Mamże złamać moję przysięgę? tę świętą, uroczystą przysięgę, którąm jemu złożyła? Ah, sprawiedliwy Boże, uderz we mnie swoim piorunem!» To rzekłszy uklękła przed marmurowém popiersiem Alonza, i objąwszy zimną urnę w białe ra-

miona: «O drogi cieniu kochanego Alonza!» rzekła cichym, żałosnym głosem, «możeszże ty przebaczyć swéj Elwirze? Przysięgłam, że prócz ciebie, nikogo już w życiu mojém kochać nie będę, ah, i nigdy nie zapomnę o tobie, nigdy twój obraz nie wyjdzie z méj pamięci; albowiém jest on w sercu mojém głęboko wyryty; każdego dnia świéżémi kwiatami wieńczyć będę tę pamiątkę po tobie i łącząc s poranną i wieczorną rosą łzy moje, będę ci je niosła w ofierze. Lecz niestety! w chwili gdym przysięgała, że nikogo oprócz ciebie kochać nie będę, ah wtedy nie znałam jeszcze mego serca i urągałam się s wszelkiego niebespieczeństwa! Przedsięwzięłam serce moje zniszczyć w nieutulonym żalu, poźniéj szukałam ulgi, i znalazłam ją w przyjaźni. Ah! ukochany cieniu — możeszże twojéj Elwirze przebaczyć?»

O jakże wymowną jest miłość! Uspokoiłem ją, i wszelki smutek zwionąłem z jéj twarzy. Sama wyznaczyła dzién naszego zaślubienia, podała się uczuciom swego serca, a ja w niebiańskiéj opływałem roskoszy! Lecz nad głową naszą wznosiła się okropna burza — jednakże Elwira miała być moją, a okwita Andaluzya nową dla mnie ojczyzną! Już ślubny ołtarz zdobiły śnieżne lilie i wonne róże, już tłum ciekawych cisnął się do kościoła na obchód godowego obrzędu. Do boku mego tuliła się luba oblubienica, pełna błogiéj roskoszy i tęskliwéj miłości, już się zbliżył czcigo-

dny kapłan, srébrnym pokryty włosem, i już miał naszemu błogosławić związkowi — gdy oto w żałobną szatę ubrany, z bladą twarzą i zachmurzoném czołem zjawia się jakiś nieznajomny, który trzymając ostry sztylet w swym ręku, zbliża się do Elwiry i tak do niéj grzmiącym głosem przemawia:

«Wiarołomna! Przysięgłaś mi, że oprócz mnie nikogo już kochać nie będziesz i zapomniałaś o przysiędze, którąm ci złożył, że aż do grobu kochać cię nie przestanę! Patrz oto, kochając cię — umiéram!» To rzekłszy nieznajomy, ugodził w swoje serce sztyletem i padł nieżywy na kamiénną posadzkę.

Elwira zaś, przerażona okropną zgrozą, krzyknąwszy: «Alonzo, mój drogi Alonzo!» padła obok niego na marmurowe stopnie ółtarza. Osłupieni stanęliśmy wszyscy patrząc na ten widok przerażający. Ten blady nieznajomy, ten straszny samobójca — byłto Alonzo. Okręt, na którym płynął z Majorki, zatonął był wprawdzie w przepaściach morza, lecz korsarze algierscy wyratowawszy Alonza s pośród morskich bałwanów, trzymali go w sromotnych więzach niewoli, gdy on wzdychał do różanych więzów miłości. Po upłynionym roku odzyskał znowu swoję wolność Alonzo; na skrzydłach utęsknionéj miłości pospieszył do Andaluzyi, i znalazłszy swoję kochankę w objęciach innego, ukarał niewinną dziewicę swoją śmiercią.

Ocknąwszy się z mojego przestrachu wziąłem nieszczęśliwą w moje ramiona i wyniosłem z świątyni. Przyszła ona wprawdzie znowu do siebie, lecz w jéj oku i sercu zgasł na wieki ogiéń miłosny; blada jéj twarz okryła się na zawsze śmiertelnym smutkiem zawiedzionéj miłości.

«Straszliwie» rzekła, «dotknęło mnie niebo za wiarołomstwo; ja jestem przyczyną śmierci kochanego Alonza! Na mojéj duszy cięży krew jego! Uciekaj odemnie nieszczęśliwy! Odtąd okropna przepaść nas rozdziela. Nadaremnie starasz się mnie objąć w swoje ramiona, nadaremnie usiłujesz ukoić mnie w tym żalu. Okropną przepaść rozwarło piekło pomiędzy nami! Widok twój jeszcze bardziéj jątrzyć będzie niezgojoną w sercu mojém ranę; zaklinam cię, uciekaj od nieszczęśliwéj, która nawet swych przyjaciół w przepaść z sobą wciągnie!»

Takie żale i jęki rozwodziła Elwira, a niewymowna boleść i rospacz moja wzruszyć ją niezdołały. Pod tym samym pomnikiem, który niegdyś wystawić kazała dla Alonza, pogrzebała teraz jego śmiertelne zwłoki, a w miesiąc poźniéj wstąpiła do klasztoru, który ją na zawsze od świata i przyjaciół oddzielił.

Niestety! nie chciała i nié mogła żegnać się ze mną — nie byłaby zniosła ostatniego uściśnienia miłości. Jednakże w oku jéj wznosił się ciemny obłok, jak drobny pyłek w błyszczącym się kléj-

nocie. Byłto ślad, że jéj serce litowało się jeszcze nad moją nieszczęśliwą miłością. Szukałem ulgi w samym sobie, świat był dla mnie za mały, nié mógł on uśmierzyć moich udręczeń, roniłem łzy, ale niestety! i we łzach nié mógłem zagasić mojéj boleści. Wokoło otaczała mnie straszna, grobowa cisza; wieczną pomroką zakrył się dzień przed mojémi oczyma, długi czas w samotném łożu nie doznawałem ani snu, ani spoczynku. Gdziekolwiek stanąłem, na każdém miejscu, gdzie nieraz z nieszczęśliwą prowadziłem rozmowę, wszędzie, w każdym przedmiocie natury widziałem postać Elwiry, zawsze i zawsze jakaś potężna władza ciągnęła mnie pod samotne mury klasztoru, który jako cichy i spokojny przytułek pośród krzewów i wonnych kwiatów się wznosił. Okropne, mocne wieże wzbijały swoje szczyty jak straszydła o obłoki; olbrzymie wrzeciądze zamykały żelazne bramy, za któremi boleść i rezygnacya zamieszkały. Wieczne milczenie zabijało każdy odgłos, który się wcisnął w tę ponurą samotność, i tylko jeden głos odzywał się bez ustanku w mém sercu: «Elwira już nie dla ciebie żyje!» Tym sposobem rozstałem się nareście z Sierrą Moreną, Andaluzyą, Hiszpaniją, Europą, a nawet s całym światem, i utworzyłem mały świat w sobie, w którym pełen smutku się zatopiłem.

Po drugiéj stronie Bosforu zwiedzałem smutne i żałobne szczątki starożytnéj, niegdyś sła-

wnéj i spaniałéj Palmiry. Na złomach gruzów i pysznych kolumn oparty, podsłuchiwałem głęboką, wymowną ciszę, otaczającą w około obrazy spustoszenia; wtedy umysł mój zatapiał się w boleści, a serce moje rospływało się w żalu; wtedy toczyły się we mnie myśli, którychby żaden człowiek pojąć nie zdołał! Życie i śmierć, byt i zniszczenie narodów stały przed duszą moją. Nicestwo ziemskiego bytu cisnęło się coraz bardziéj do mojego umysłu, i nie raz w chwili zamyślenia mówiłem sam do siebie. «Czémże jest świat i życie? Jedna chwila przeminie, a już wszystko zniknęło! Jak zgaszona świéca nie zgaśnie zupełnie i niezmierzonemu przestworowi oddaje swoje promiénie, podobnież i s człowiekiem się dzieje, i dla tego żyje on ciągle nawet w najdrobniéjszym atomie. Ale czémże jest rozum człowieka na téj ziemi? Jedna chwila, a już ten zégar nie idzie! Garść wilgotnéj i czarnéj ziemi nakrywa uśmiéch jego szczęścia i łzy jego niedoli!» Dziwne, ulubione igranie s podobnémi myślami uśmiérzało udręczenia méj duszy. Wróciłem znowu do Europy; jeszcze raz chciałem zobaczyć błogą Andaluzyę i napiętrzone góry Sierry Moreny; jeszcze raz rospływając się w słodkiém przypomnieniu przeszłości, chciałem na zawsze zakląć wszelkie udręczenia mojéj miłości — i dowiedziałem się, że Elwira już się do różanych siedlisk nieba przeniosła! Na grobie jéj uroniłem łzę gorącą, po-

czém z dumą spójrzawszy w niebo, otarłem ją na zawsze.

Opuściłem cię zimny, samolubny, obrzydły świecie, zamarło serce moje dla twoich udręczeń i roskoszy. Żyję teraz w zaciszy, w lodowatych krajach smutnéj północy, gdzie olśnione oko moje po raz piérwszy promień słońca ujrzało, gdzie mnie wzniosła natura wychowawszy w swojém objęciu, umieściła w system i ruch istot przemijających. Żyję w głębokiéj samotności i poglądam spokojnie na szumiące wichry i ryczące burze! Cicha, samotna nocy — wieczny, luby spoczynku — święte, uroczyste milczenie — do was, ah do was pełen tęsknoty wyciągam moje ramiona!

Dolina Mnikowska

POD KRAKOWEM.

Stąd o dwie mile w zachodniéj stronie
Śliczna Mnikowska dolina;
Wypieszcza kwiaty na swoim łonie,
Jak młoda wiejska dziewczyna.
Między skałami jak łza na twarzy,
Jak wąż na posłaniu s kwiatów,
Tam przez sen gada i ciągle marzy,
Strumień na łożu z bławatów;
A w prawo, w lewo skaliste grody,
Strumień w objęciu chwyciły;

Zamki to z głazu, herb to przyrody,
Związek harmonii i siły.
Tam w dnie świąteczne w wiosennéj porze,
Jadą paniątka s Krakowa,
Ażeby ujrzéć (żal się mój Boże!)
Uroczą dzikość Mnikowa.
Jadą więc, jadą wygodnym koczem,
I przyjeżdżają w południe;
Przez chwilę patrzą, pochwalą, — poczém
Mówią: że na wsi jest nudnie.
Więc przywiezione wypiwszy wino,
Wracają znowu do miasta;
Ah! nie dla takich, śliczna dolino,
Twe łono trawa porasta.
Ten tylko godnie wielbi twe wdzięki,
Kto pieszo zwiédza twe skały;
Kto z ich wiérzchołka wschodu jutrzenki
Ogląda widok wspaniały.
Kto się nie boi, żeby kamiénie,
Ciernie, lub urwiska skały;
Rozdarły jego modne odzienie,
I białe ciało zdrapały.

G. E.

OBRAZY
PARYZKIEGO ŻYCIA.

Paryż jest to niezmierny ocean; opisy jego życia złożyłyby potężną bibliotékę. Poznać je i objąć od razu niepodobna, bo człowiek w tym chaosie ró-

żnorodnych żywiołów zbłąka się, jak w lesie. Aby więc łatwiéj trafić do celu, podzielę sobie ludzi na klassy, jak się w historyi naturalnéj klassyfikują bedły lub grzyby. Najwięcéj Francuzów, a zatém i Paryżanów, dałoby się podciągnąć pod klassę przemysłowych ludzi, jednêm słowem frantów; jakoż przemyślność i obrot tego narodu przechodzi wszelkie nasze pojęcie i nie na próżno wymyślono owo dla nas nie zbyt pochlébne przysłowie: Francuz wymyśli, Niemiec zrobi; a Polak głupi, to kupi. Przemysłowa ta klassa w Paryżu zawiéra dwa rodzaje ludzi: I. Jedni, którzy nauczywszy się jakiegokolwiek rzemiosła lub procederu, i włożywszy weń jaki taki kapitalik, żyją z niego mniéj więcéj poczciwie, jak tego okoliczności wymagają. II. Drudzy są, którzy nic nie robią, patrzą tylko, słuchają i mówią; a przecie żyć, przyodziéwać się muszą, a nawet, ponieważ im się czas dłuży, chcieliby nieraz pozwolić sobie więcéj, niż najpracowitsi ludzie. W téj klassie nie objęci są jeszcze złodzieje, filuty, rabusie, rozbójnicy, kartownicy s professyi, kostery i dość liczny poczet podobnych łotrów, których rubryki, gdybyśmy ich wszystkich przejrzeć chcieli, niéby miałyby końca.

S tych dwóch klass wymienię tu kilka gatunków, u nas chwała Bogu mniéj znanych, tak jak się między roślinami szczególniéj opisują szkodliwe i jadowite:

22*

A. a) *Chiffoniers*, zbiéracze gałganów. Do tego zatrudnienia nie potrzeba wielkiego funduszu: 25 do 30 *Sous* może wystarczyć na zakupienie potrzebnych apparatów, zwłaszcza jeżeli się komu uda nabyć je z wolnéj ręki *par occasion*. Poczém bywa przyjęty do cechu i wolno mu z naczyniem w ręku, hakiem i latarnią w nocy przebiegać ulice miasta, zaziérać do najobrzydliwszych zakątków i szukać wszędzie kawałków wyrzuconych papiéru, zbiérać ostrużyny lub inne gałgany i żyć jedném słowem na śmieciach, czyli plugastwie najszkaradniéjszém. Cech ten ma swojego cechmistrza, radnych i liczy się do ludzi uczciwych, pracujących, jak Pan Bóg przykazał, na kawałek chleba.

b) *Brosseurs*, ci którzy bóty chędożą, włóczą się tysiącami z nizką ławeczką, z blaszanym słojkiem i kilku szczotkami po ulicach, wołając na przechodzących, przymawiając niejako ich obuwiu: *Messieurs vos bottes*, *faites cirer vos bottes!* Upatrzywszy jakiego gawrona s prowincyi lub cudzoziemca, gwałtem go chwytają za bóty, i chcącego niechcącego chędożą, wynosząc pod niebiosa świetność i blask swojego glancu. Zwyczajnie od swoich żądają tylko dwa *sous* za wielką swoję przysługę; atoli w *Palais royal* są wytworniéjsze tego rodzaju a przeto i droższe zakłady.

c) *Dégraisseurs*, wywabiacze plam, przedają ladajakie mydło i wywabiają plamy na miejscu. Każdego s przechodzących, u którego spostrzegą

plamy na surducie (a mają wzrok sokoli), albo kołniérz nieczysty u fraka, ścigają, jak kawki sowę, chwytają za kołniérz, dopóki im nie jest powolny.

d) *Colporteurs* roznosiciele, bezwstydni i uprzykrzeni krzykacze, w pstréj odzieży, przedający Żurnale, okropne historye, obrazki, roznoszą gazety i pisma peryodyczne, rozdają różne polecające doniesienia i karty *gratis*.

e) Na długim szérokim moście *Pont neuf* zajęli stanowisko postrzygacze i handlerze psów. Na ich małych stołkach stoi napis wielkiémi literami *Monsieur* lub *Madame N. N. tond les chiens et va en ville*. U tych krzeseł uwiązany jest zwykle pies doskonale wystrzyżony i wytrefiony, mający ciągnąć, jak na łep przechodzących.

f) Wszędzie, gdzie stoją fiakry, znajdują się także próżniaki, którzy wsiadającym otwiérają i zamykają powóz, prosząc o mały *bénefice*. W zimie wywołują woźnicę s pobliskich szynkowni, w lecie budzą go na wysokim koźle, gdzie, jak gdyby na łonie Morfeusza w pokoju zasypia, spuszczając się w tak trudnym zawodzie zupełnie na swego pomocnika, który rozmarzonemu powtarza jeszcze głośno, wołając za nim s całego gardła: *St. Germain*, *Temple*, to jest, dokąd ma jechać.

B. a) *Trompeurs*. Jeżeli kto tak daleko doprowadził, że już wszystko przez gardło przepuścił, i znajduje się bez sposobu do życia, bez kredytu,

bez talentu; a ma jeszcze porządny ubiór, fałszywy tombakowy łańcuszek pierścienie i rękawiczki; ten niech idzie do Paryża i niech zostanie » zwodzicielem, *Trompeur.* » Niech się uda do jakiego sklepu lub magazynu i ofiaruje się właścicielowi, że będzie u niego przez cały dzień w kramie rozmaite towary i materye bez pieniędzy kupował, *et voila le Trompeur!* który za swoję fatygę 5 franków dziennéj pensyi pobiéra. Jest to wędka, czyli lep dla kupujących, zwłaszcza ciekawych damulek, lubiących przypatrzyć się z boku ujmującym manierom ugrzecznionego kawalera, przewracającego s takim wdziękiem i kupującego s tak dobrym tonem najmodniéjsze towary. Rozumié się samo przez się, że taki handlowy Adonis musi być jeszcze w kwiecie wieku, i znać wykwintne maniery wielkiego świata.

b) W paryzkich teatrach grają *Claqueurs* ważną nader rolę, dla tego, że od nich powodzenie sztuki zawisło. Uczciwy człowiek w teatrze nie klaszcze, ponieważ od tego są przez dyrekcyą teatru, przez aktorów, aktorki, autora płatni *Claqueurs* czyli poklaskacze. Jeżeli ma być dana nowa sztuka, jeżeli nowy aktor piérwszy raz na scenę występuje, albo nieznany jaki autor chce gwałtem pozyskać nieśmiertelną sławę; posyłają w téj potrzebie po *Chef de claqueurs*, ponieważ *Claqueurs* mają swoje stopnie i tytuły, podług godności, które piastują. Przed zaczęciem sztuki zgromadzają się w najbliższéj teatru winiarni,

Chef wydaje rozkazy, rozdziela role, oznacza miejsca, poklask odnieść mające, a każdy stéj teatralnéj zgrai otrzymuje bilet na parter i w stosunku mocy gardła, jednę lub kilka szklanek wina. Kto się poważy gwizdać, kiedy oni na komendę klaskają, nieszczęśliwy! wyszydzony, wyksykany i wypukany w obec licznie zgromadzonéj publiczności. Dawniéjszy *Chef de claqueurs* wielkiéj opery, pan Aleksander, jest milionowy pan!

Ale pewnie was już nudzą, moi mili Czytelnicy, bo wam się szczérze przyznam, że i mnie już niecierpliwość bierze. Życzę ja wprawdzie krajowi memu, jak najwyższego stopnia oświaty i przemysłu; jednakże, gdybym mógł, dodałbym w Litanii do Wszystkich Świętych, gdzie jest mowa o odwróceniu od nas plag rozmaitych: »Od powietrza, głodu, moru, ognia i takiéj francuzkiéj przemysłowéj oświaty, zachowaj nas panie!«

K.

——ooooooooo——

ŻYCIE ŻOŁNIÉRZA ANGIELSKIEGO.

Wyszło niedawno w Glasgow dziełko we dwóch tomach, pod tytułem: *Recollections of an eventful life, chiefly passed in the army*, zaledwie

znane: niczyjéj uwagi niezwróciło, żadne pismo peryodyczne nie uczyniło o niém wzmianki, zaledwie pismo czasowe *London Magazine* ogłosiło jego rozbiór, z najchlubniéjszémi dla autora uwagami. Autorem jego jest prosty żołniérz, bez przyjaciół, stosunków z możnymi. Urodzenie wprawdzie i wychowanie nadawało mu prawo do wyższych stopni, ale inaczéj podobało się przeznaczeniu. Ojciec jego był komissantem jednego domu handlowego w Glasgow, a więc dał mu dobre wychowanie czego dowodem jest ogłoszone dziełko. Różne okoliczności skłoniły go do opuszczenia rodzicielskiego domu; a jako wyspiarz, chciał szukać losu na morzu. Opuścimy szczegóły życia jego na okręcie, a zaczniemy od przytoczenia niektórych wyjątków z opisu poźniéjszych wypadków. Kiedy więc porzucił służbę morską, zaciągnął się do linijowego pułku, przybył do Lizbony i przyłączył się do angielskiéj armii czynnie podówczas działającéj w wojnie półwyspu.

Od trzech miesięcy bawiliśmy w Iersey, mówi autor, kiedy nadszedł rozkaz udania się do Portugalii. Ze stu żonatych wolno było tylko sześciu żołniérzom wziąść z sobą żony; ponieważ zaś było ich bardzo wiele, postanowiono zatém ciągnąć losy, które pójść mają. Kazano zebrać się żołniérkom z naszéj kompanii w izbie siérżanta. Otoczyliśmy je wszyscy, ciekawie czekając na którą los padnie. Ile było kobiét, tyle wrzucono do kapelu-

sza kartek-z napisami *tak* lub *nie*, a potém podług wieku wywoływano każdą z osobna. Pośrodku stał sierżant z owym kapeluszem; kobiéty z wejrzeniem smutném i niepewnością otoczyły go: tu i owdzie przybliżali się równie smutni i niespokojni mężczyzni.

Najpiérwéj zawołano żonę sierżanta: wyciągnęła nieprzyjazny los, ale to tylko małe na obojgu małżonkach uczyniło wrażenie. Żona kaprala wyciągnęła *tak*; lecz nikt nie dzielił ich radości: jedna i druga nie były lubione.

Trzecia była, jak mówią po polsku: *Herod baba*. Biła męża, i kiedyśmy sobie objad gotowali zawsze nam dokuczała. Każdy głośno źle jéj życzył, a nawet sam mąż, choć milczał, nie myślał inaczéj. Przystąpiła z miną hardą, targnęła za kapelusz, włożyła rękę, wyciągnęła bilet, i s tryumfem pokazała *tak*: «Dobrze!» wrzasnęła, «stara Magdalena pójdzie z wami, i będzie przystawiała garnki do ognia!» Szmér nieprzyjemny dał się słyszéć między przytomnémi: «zawsze djabeł ma szczęście,» zawołano zewsząd.

Przyszła kolej na żonę pewnego młodziénca, kochanego od wszystkich. Dziwiono się powszechnie jéj przywiązaniu do męża, a ponieważ była dobra jak anioł, skromna i ujmująca, kochali ją wszyscy. Drżało jéj serce, drżała ręka. Niepodobna opisać jéj wzruszenia, gdy miała wyciągnąć los nieszczęście jéj lub szczęście mający stanowić.

Wahała się między obawą i nadzieją, utraciła prawie władzę w palcach drżącéj ręki, wyciągnąwszy kartkę podała ją jednemu żołniérzowi. Żołniérz otworzył, zbladł, i nie śmiał powiedziéć co wyczytał. «O Boże! cóż tam napisano?» zawołała niewiasta. «*Nie*,» odpowié żołniérz przytłumionym głosem. Krzyknęła, padła na ręce męża. Przerwano ciągnienie, mój kollega wziął na ręce żonę i położył na łóżku; dzięki staraniom obecnych osob, wkrótce odzyskała zmysły, ale dla tego tylko aby jeszcze mocniéj uczuła niedolą. Najpiérwsze spójrzenie szukało męża: ujrzała go, ścisnęła za rękę, jak gdyby obawiając się aby jéj nie opuścił w téj chwili. «Ah! Janie! Janie! wszakże ty nie porzucisz swéj żony i drobnego dziécięcia?» Nic jéj nie odpowiedział; twarz miał niewzruszoną, osłupiałe oczy.

Płakali wszyscy; tylko to straszydło w babskiém ciele było niewzruszone. «Poczekaj!» rzekła, «któżby to nie powiedział patrząjąc na te szlochania, że niepodobna żyć spokojnie bez męża?» — «Złośnico,» odpowiedział Dyonizy, «gdyby cię djabeł porwał, niktby się o jego własność nie upominał,» i wypchnął ją za drzwi. Baba chciała się opiérać; lecz przypomniała sobie że z nim niémożna żartować. Rospoczęto zatém losowanie. Rozmaite wrażenia odbiérały obecne osoby. Kobiéty Irlandzkie najwięcéj rospaczały. Uważałem: że w ogólności Irlandczycy czulsi by-

li od Anglików i Szkotów, albo przynajmniéj nie umieli ukrywać swych dolegliwości. Płacz i żale niewiast słyszałem nieustannie. Lecz tylko John i jego żona szczególniéj mnie zajmowali. Chciałem ich pocieszyć; lecz nié mógłem im nic innego powiedziéć, tylko że prędko się zobaczą. «O! nie, nie,» odpowiedzieli oboje; «jeśli rozłączymy się, już więcéj nie zobaczy jedno drugiego na tym świecie!» Położyłem się spać przy nich: nazajutrz musieliśmy wyruszyć. Całą noc nie spali; siedzieli na łóżku ze swém niemowlęciem pośrodku: ściskali je, ściskali się wzajemnie, bolejąc nad swém przeznaczeniem. Żaden widok w życiu mojém tyle mi nie zakrwawił serca. Nieraz mój nieszczęsny towarzysz próbówał używać w pomoc stałości umysłu; lecz jedno słowo żony rozdziérało mu serce, i jeszcze bardziéj zwiększało rospacz.

O świcie bemben uderzył; on powstał i zaczął przygotowywać swe rzeczy. Była to okropna chwila: kiedy żona odkładała na bok rzeczy których brać z sobą nie chciał, a które im obojgu służyły, zdała się być przekonaną że już im nigdy nie będą potrzebne na to, na co były piérwéj; ściskała je i obléwała łzami. Każdy drobiazg był powodem nowego żalu, i nowego zastósowania do przyszłości. Napróżno chciał żeby pozostała w koszarach, czyniąc uwagę: że muszą maszerować sześć mil jeszcze do portu. Odpowiedziała: że do ostatniéj chwili chce być razem.

Wśród płaczu żon wyruszył pułk: żony z dziećmi nié mogły już i téj małéj podróży odbyć pieszo. Wielu żołniérzy tak się popiło: że zaledwie mogli się utrzymać na nogach. Oficer dowodzący był stego niekontent, i zabronił grać muzyce.

Znowu byliśmy świadkami smutnego widoku, kiedyśmy już wsiedli na okręt. Oddając mężowi ostatnie pożegnanie owa niewiasta, nié mogła uśmiérzyć rospaczy; porwała go za szyję mówiąc: «John! proszę cię, zaklinam, nie opuszczaj ty mnie!» Siérżant kazał jéj zostać na brzegu. »O! ludzie nie będą tak okrutni, żeby nas mieli rozłączać!» zawołała; i przybiegłszy na miejsce gdzie się znajdował nasz dowódzca, padła mu do nóg trzymając swe dziécię: «Panie! panie! mówiła, wszakże nie odłączysz mojego męża od żony i dziécięcia? Nié ma on innych przyjaciół; my też tylko jego jednego mamy. Czyż zechcesz nas opuścić? Patrz! ten maleńki prosi ciebie za nami!»

Żałość i lodowate uczucia powołania, walczyły razem w sercu naszego dowódzcy; błyskały i gasły mu łzy w oczach. Niewiasta jego wzruszenie wzięła za przychylną odpowiedź. «Ah! widzę, masz dobre serce! jeszcześ nie żonaty; gdybyś miał żonę, gdybyś miał takie dziécię, nie opuściłbyś go, nie porzuciłbyś matki!» — «Mocno mnie obchodzisz moja kochana niewiasto, ale moje rozkazy są niecofnione; po sześć was tylko na stu

ludzi może pojechać z mężami. Równie na ciebie jak na kogo innego mógł paść los; żal mi, a'e nié mogę ci dopomódz.» — «Dobrze, dobrze!» zawołała podnosząc się; «do nas to mówią, mój biédny malutki; sami jedni zostaniemy na tym świecie!» — «Bóg będzie opiekunem waszym i przyjacielem,» powiedziałem, biorąc jéj z sobą dziécię aby snadniéj mogła usiąść w czółnie. Gdy się to działo, John utracił prawie władzę w swém ciele; milczał — zdawało się że go rospacz w kamiéń obróciła zostawiając tylko postać żywéj niegdyś istoty. «Kochany mój!» rzekła żona, «pożegnaj mnie już raz ostatni! Gdzież jest moje dziécię?» krzyknęła prędko. Oddałem jéj — przyjęła. «Dajże mu ostatnie pocałowanie!» Milczący John przycisnął je do serca.

«Bądź zdrów John, bądź zdrów! może się w niebie zobaczemy!» To mówiąc wsiadła do łodzi. Nasz okręt rospiął żagle; wkrótce zniknęła nam z oczu. W chwili gdy już nas widziéć przestała, wydała przerażający krzyk rospaczy, który dotychczas brzmi w uszach moich. John zaś upadł na pokład. Biédna! nie zawiodły ją smutne przeczucia; nie minęła go piérwsza kula. Dotąd nié mogłem się dowiedziéć co się stało z żoną.

Pułk z Lizbony udał się do Kadyxu oblężonego podówczas od Francuzów. Autor nasz znajdował się w oddziale przeznaczonym do obrony fortécy, którą nieprzyjaciel usilnie pragnął opa-

nować. Nim przytoczymy dalsze wyjątki, nie od rzeczy będzie uczynić wzmiankę: że w Anglii stopnie wojskowe za piéniądze są dawane, a zatém, że stan prostego żołniérza tym bardziéj jest przykry, ponieważ nié ma nadziei awansu, i nadziei wyjścia ze służby.

«Obchodzono się z nami jak z niewolnikami,» mówi autor. «Oficer nasz chlubił się z utrzymywanéj karności, kazał nam co ranek mustrować się, a w nocy odbywać czaty na wałach bez względu na słoty; musieliśmy pracowoć z motykami, mając po kolana błoto. Chciał także abyśmy mieli taki sam ubior jak na garnizonie, na to nie zważając, żeśmy nié mieli go gdzie podziéć. Ucieszony nowémi wcale dla siebie obowiązkami, chciał grać rolę naczelnie-kommenderującego jenerała. Gdyśmy powrócili z warty, posyłał nas na robotę, a stamtąd znowu na wartę. Naprzemiany więc piekło nas słońce Kadyxu, i moczyły obfite dészcze; a dowódzca ze swojéj strony obchodził się jeszcze surowo i okrutnie. Lubo mało nam czasu wyznaczał do spania; według fantazyi jednak zawsze go nam przerywał.

Ale niechaj nikt nie mniema, aby nasi oficerowie byli choć w najmniéjszéj części uczestnikami tych trudów. O sobie dobrze pamiętali; pili poncz lub herbatę w izbie, jakby wygodniéj nié mogli w Londynie, chociaż co chwila spodziéwać się trzeba było upadnięcia bomby. Najprzyjemniéj

było naszemu dowódzcy, kiedy w cieple siedząc, kazał uderzyć alarm wśród nocy i zebrać nas na okopach, gdyśmy piérwszych momentów snu po trudach zaczęli używać. Po godzinie zaś stania na wałach, przez litość jakoby nad nami, kazano nazad powrócić. Takie były zatrudnienia w dzień, prawdziwy sposób przyuczenia żołniérzy do karności. Miał upodobanie stawać przy drabinie kazamatów, aby obdarzyć kułakiem tego, co był na ostatku; a ponieważ musiał być ktokolwiek ostatnim, s pewnością zatém wiedział że uczyni zadosyć swéj szlachetnéj namiętności.»

Daléj opisuje autor szturm do twierdzy przypuszczony. «Już dwa miesiące siedzieliśmy tam,« powiada, «i kiedy wzięliśmy już małą bateryą s któréj do nas ognia zaczęto dawać w chwili opanowania przez nas fortécy, nie atakowali nas Francuzi, lubo niekiedy strzélali do statków płynących i wypływających s portu. Lecz ta cisza zapowiadała przyszłą burzę; albowiém tymczasem usypali baterye w prostym ku nam kierunku poza domami, czego dojrzeć niémogliśmy. Wreście gdy już wszystko było gotowe, wśród nocy rospoczęli swoje działania zajmując domy zasłaniające baterye. Ja miałem służbę na wałach, i postrzegłem wielki ogień rozniecony przez nich. Domyśliliśmy się że chcą szturm przypuścić. Wkrótce wypuszczone kule armatne tonąć zaczęły w naszych okopach; ale to był początek tylko.

Nastąpiła kanonada rospalonémi kulami, która wznieciwszy pożar, przymusiła okręty hiszpańskie do cofnienia się s portu. Trzeci atak pozbawił nas statków kanonijerskich; sami więc broniliśmy się nieprzyjacielowi. Co raz częstsze padały ciosy. Sześć bateryj o dwudziestu działach i ośmiu do dziesięciu moździérzy, miotać zaczęły na nas śmierć i spustoszenie: co chwila padali ludzie.

Tak były częste strzały: że widziałem razem kilka bomb w powietrzu. Śmierć zaczęła się nam ukazywać w coraz okropniéjszéj postaci. Najpiérwéj zginął majtek jeden; połowa twarzy mu odpadła. «Cóż z nim zrobimy?» zapytałem obok siebie stojącego żołniérza. «Niéma czasu zatrudniać się zabitymi, niechaj tak zostanie,» była odpowiédź mego sąsiada. Bardzo mi wydał się nieczułym; bo dopiéro piérwszy raz byłem w ogniu. Artylerya francuzka była doskonała; żaden wystrzał nie był daremny; kula gwizdnęła mi nad uchem, zerwała kaszkiet i uderzyła stojącego za mną w piersi: żołniérz upadł na wieki.

Dowódzca nasz z zimną krwią chodził tu i owdzie dając rozkazy, obojętny na niebespieczeństwa. Nie wiém czy może być odważniéjszym człowiek; brakowało mu tylko łagodniéjszego charakteru, byłby bohatyrem. Dowódzca naszéj artyleryi, jak zawsze, grał rolę gentelmana; porucznik jako tako, kapitan okrętowy niezmiernie

dzikiego i odważnego humoru marynarza. Ale niestety! cóż to się stało z owym straszliwym oficerem, który tyle nam dokuczał; baranek nié mógłby być łagodniéjszy. Usiadł cicho w końcu bateryi: na sądnym dniu nie będzie tak przestraszony. Nié mogły w nim obudzić odwagi, żarty i naśmiéwania się żołniérzy i oficerów. Chcąc pozbyć się tchórza, wyznaczył go nasz dowódzca do strzeżenia prowijantów.

Wały okryły się trupami i ranionymi; krew, strumiéniami ściékała do suchych rowów, i tworzyła w nich kałuże; latały w koło urwane głowy, ręce, tułuby; ale odwaga wzrastała z niebespieczeństwy. Oficer artyleryi stał na małém wzniesieniu, a kiedy powiedział że który nasz strzał dobrze ugodził, klaskano w ręce i żwawo znowu nabijano działa. Jeżeli kto z nas poległ, nie żal ale chęć zemsty nas ożywiała. «Dobrze mierzyć żeby w tego trafić co go zabił» krzyczano zewsząd; a gdy strzał nie chybił, cieszyliśmy się że zemszczony nasz nieszczęśliwy towarzysz.

Nie ustawał ogiéń przez dzién cały: straciliśmy najodważniéjszych. Działa nasze jeszcze dobrze stały na celu; ale wieczorem, żaden prawie artylerzysta nie był zdatny do bitwy: użyto zatém ludzi, którzy w téj sztuce jeszcze mało byli świadomi; oczywiście zatém że wiele było próżnych wystrzałów. Artylerzysta stojący koło mnie przy armacie został zabity; a dwaj inni żołniérze mają-

cy sobie za wielki zaszczyt odziedziczenie po nim tego miejsca poczęli się z sobą sprzéczać; od słów przyszło do bitwy; ale w téjże chwili upadła bomba między niezgodnych: umilkli rozerwani na sztuki.

Trudno mi opisać jakich doznawałem uczuć pod czas tego szturmu; daleka była od serca mojego bojaźń; gdy pośród głuchego milczenia ciemnéj nocy raptownie zajaśniały wyrzucone palące się wieńce, uczułem pewnego rodzaju roskosz; entuzyazm podniósł mą duszę, zdumienie nad widokiem niebespieczeństw umysł mój obudziło; słowem było to cóś podobnego do widoku okropnéj burzy.

Od drugiéj z rana zaczęła się kanonada; ustała wreście wieczorem; a ja piérwszy raz dnia tego zszedłem z okopów. Przerażający był widok; mnóstwo ranionych nié mogło być opatrzonych przez zatrudnionych lékarzów.

Nazajutrz o świcie, znowu zaczęto dawać ognia jak wprzódy. Zdaje się że artylerya francuzka z większém wyrachowaniem i zręcznością strzélała. Wywiesiliśmy chorągiew hiszpańską na dosyć wysokiém drzewcu: kula strzaskała je na dwoje. Postawiliśmy drugie na to miast, w pięć minut i to zostało skruszone; podobnie i trzecie, czwarte i piąte, co bardzo nie podobało się wielu majtkom, którzy przypisawali stratę naszę wywieszeniem hiszpańskiego sztandaru,

twierdząc że chorągwi angielskiéj nie potrafią skruszyć Francuzi. «Patrzajcie na tę leżącą chorągiew; a obaczycie że będzie lepiéj!»

Kiedy wywieszono narodowy pawilon, słyszéć się dały głośne wiwaty; ale dowódzca nasz dowiedziawszy się co one znaczą, kazał go zdjąć natychmiast. Nigdy z większą niechęcią nie wypełniano rozkazu. Znowu wywieszono sztandar hiszpański, i znowu kula skruszyła drzewco. »Ah! patrzcie on znowu na ziemi!» zawołał siwy majtek; «nie podnośmy go lepiéj: wolę żebyśmy żadnego sztandaru nié mieli niż taki!»

Wkrótce opuszczono fortécę i wysadzono ją prochem; nasz autor wyszedł z lekką raną i jeszcze lżéjszym ładunkiem; ponieważ stracił dollary swoje i odzienie, tak: że przybył do Isla w tém co miał na sobie; potém s pułkiem swoim siadł na okręt w zamiarze połączenia się z armiją pod dowództwem lorda Wellingtona znajdującą się w Portugalii. Stoczoną bitwę pod Busaco; autor nasz napotkał transport ranionych na niéj.

«Zatrzymawszy się dzién jeden,» mówi daléj, »wielkim gościńcem udaliśmy się do Cavallos; powiedziano nam: że nasze wojsko cofnęło się po przegranéj pod Busaco, o czém przekonaliśmy się spotkawszy na drodze ranionych. Ci którzy lekkie rany odnieśli, szli piechotą; bardziéj zaś słabi siedzieli lub leżeli na wozach bardzo niewygodnych. Miały one pół szóstéj stopy długości, a pół trzeciéj

szérokości, z boków zaś drabiny z długiémi szczéblami o 18 przynajmniéj cali od siebie oddalonémi; koła były bardziéj ośmiokątne niżeli okrągłe, na dwie stopy średnicy: a ponieważ niebyły okute, często się więc zdarzało że lub kawałki odlatywały, lub łamały się całe; a prócz tego za każdym ich obrotem wóz doznawał mocnego wstrząśnienia. Woły ciągnęły te wozy; wieśniak s kijem długim na końcu którego był bicz, bił bez litości, chcąc pobudzić do biegu z natury swojéj powolne zwiérzę, które musiało koniecznie za każdym ciosem targać mocno wóz napełniony chorymi. Może sobie każdy wystawić smutne położenie świéżo zranionych; płacz i jęczenie rozlegały się w około. Blisko pięćdziesiąt mil angielskich musieli jechać do Lizbony, nie spełna po dwie mile na godzinę, a zatém przez cały dzień i noc.»

Daléj autor opisuje oblężenie Badajos w te słowa: «Druga paralella okopowa,» mówi, »otworzyła się o trzysta prętów do miasta. Tak była niegodziwa pora, że pracując z motykami mieliśmy wodę po kolana, a potoki dészczu tak powiększyły koryto Guadijany, że pontony nasze popłynęły. Dnia 29 nieprzyjaciel zrobił na prawém skrzydle wycieczkę; lecz go odparła dywizya jenerała Hamiltona. Dnia 31 dwadzieścia siedm dział ognia zaczęły dawać na miasto z drugiéj paralelli, co trwało aż do 4 godziny. Dnia 5 zrobiliśmy wyłomy, i przygotowaliśmy się do

wzięcia szturmem miasta wśród nocy; lecz że nieprzyjaciel ze swojéj strony także przygotował się na przyjęcie; odłożono więc zamiar do następnéj nocy. Nim to nastąpiło, kule armatnie znowu gruchotały mury. Ta przewłoka dała nam czas do zastanowienia się nad naszém położeniem. Więcéj niż zwykle rozmawialiśmy o naszych domowych stosunkach, przypominaliśmy sobie najdrobniéjsze wypadki naszéj młodości: rzewne, a bardziéj melancholijne uczucia ułagodziły dziki humor żołniérzy. W ciągu dnia, wielu napisało listy do swych przyjaciół oddalonych, w stylu czulszym niż zwyczajnie, i jeden drugiemu przyrzekł udzielić wiadomości familii zabitego. Im bliższa była chwila ataku, tym mniéj z sobą rozmawialiśmy; a poźniéjsze coraz więcéj nabiérały surowości. Nikt się jednak nie lękał, ani okazywał powątpiéwania o pomyślnym skutku wyprawy; każdy miał wejrzenie męzkie, spokojne, lecz surowe. Nadeszła noc; kazano być w pogotowiu.

Ciemno było, żadna gwiazda nie świéciła na niebie: panowała zupełna cisza, czasem tylko słychać było krakanie żab. Dowódzca po cichu dawał rozkazy; i nam kazano milczéć, chociaż nikt nié miał ochoty wszczynać rozmowę. Wreście wyruszyliśmy; marsz był powolny i cichy; śmiertelny ciężar tłoczył serce każdego. Gdyby zaś szybkim krokiem prowadzono, wcale inaczéj bylibyśmy usposobieni: lecz w podobnym stanie

nie wolno człowiekowi cieszyć siebie, nawet przyjemném złudzeniem entuzyazmu. Ciemność i cisza nocna, wiadoma siła przeciwna, niebespieczeństwo szturmu, czyniły na nas to wrażenie. Z zimną krwią, na strzał armatni stajemy pod murami fortécy.

Nieprzyjaciel dowiedziawszy się o naszém przedsięwzięciu wypuścił granaty w rozmaitym kierunku, a żywszy blask niżeli dnia pogodnego, przedarł zasłonę nocy która dotąd pokrywała nasze działania; mógł więc tym sposobem rospoznać kierunek kolumn, i takie pioruny zaczął wyrzucać: że całémi széregami padały trupy. Nie przerywamy naszego marszu; panuje milczenie, jęki tylko ranionych słychać: wreście przybywamy na jedno miejsce, gdzie było cóś nakształt rowu blisko 30 stóp szérokiego, który wyżłobiły wody wezbranéj rzéki. Musimy iść jeden za drugim. Nieprzyjaciel tak straszny ogień tam sypał, iż cudem było żeśmy tam do nogi nie wyginęli. Przeszedłszy na drugą stronę, szliśmy w dawnym porządku ku pochyłości okopów, tworząc sobie drogę pomiędzy palisadami. Zstąpiliśmy do rowu. Jeszcze nie były rospięte drabinki do wdziérania się na mury, a jeden na drugiego się tłoczył, że niepodobna było się ruszać. Mieliśmy się za bespiecznych w téj fossie; lecz przeciwnie, zaczęto strzélać do nas. Żaden strzał nie chybiał; jęk rannych i konających coraz bardziéj wzrastał. W prawdziwie okropném byliśmy położeniu.

Rospoczęliśmy atak do wyłomu po lewej stronie. Pioruny padały nam na głowy, a wypuszczane w górę ognie, podobne były do błyskawic. Wysadzone w jedném miejscu prochy na sztuki rozszarpały znajdujących się blisko. Gdy zarzucono drabiny, każdy chciał być piérwszym; lecz wielu podusiło się pod ciężarem spadających ludzi, a nieszczęśliwi będący już na ostatnich szczéblach, z wysokości 30 do 40 stóp spadali na bagnety najéżone stojących na ziemi żołniérzy. Straszny to był widok na wylot przeszytych ludzi. Inne drabiny poobalał nieprzyjaciel z mnóstwem stojących na nich żołniérzy. Niektórych spychano z murów. Wreście nie wielka liczba dostała się na wiérzch; powolej przybywało więcéj, zaczęliśmy więcéj i my mordować artyleryą francuzką. W téj stronie gdzie nasz oddział maszerował, znajdował się moździérz: jeden żołniérz pobiégł przeszkodzić kanonijerowi przyłożyć ogień, i wepchnął mu bagnet w piersi. Szliśmy w tym samym kierunku, aż do bramy miasta, wkrótce dywizya nasza, opanowała cytadelę; lecz przy wyłomach jeszcze trwała zacięta walka.

Zaraz po nas wyruszyła z okopów 4 dywizya; przednie jéj straże weszły w fosę i z największą odwagą chciały pomagać; lecz takiego rodzaju były przeszkody przygotowane od nieprzyjaciela po obu stronach wyłomu, że nie mogły się tam przedrzéć. A kiedy do północy napróżno się mę-

czono, lord Welligton widząc bezskuteczne starania, a uwiadomiony zarazem żeśmy wzięli, dał rozkaz cofnienia się 4 dywizyi; biła się rejterując i okryła wyłom swémi trupami i rannymi. Po wzięciu cytadelli, gubernator jenerał Philipon, cofnął się do fortécy St. Christoval; a nazajutrz o świcie ściągnął tam swój garnizon, który zrazu składał się s 5,000 ludzi; lecz 1,200 zginęło w oblężeniu.

Po zdobyciu miasta, otworzono bramy ze strony cytadelli, a my weszliśmy tam na rabunek. Odtąd wszystko było w zamięszaniu; weszliśmy bez ładu, każdy w którą chciał stronę się obrócił. Odbijano domy, wchodzono do środka i bez żadnego celu, bez żadnéj korzyści dla burzycielów, tłuczono i łamano najkosztowniéjsze sprzęty. Będąc świadkiem podobnego widowiska, można się przekonać do jakiego stopnia człowiek jest dziki. Tworzono małe oddziały, a kiedy kto śmiał najmniéjszy czynić opór, dziesiątek karabinów trzaskało najmocniéjsze zamki. Często wystrzały tym sposobem zabijały samych żołniérzy, którzy tam dostali się innémi drzwiami.

Wielu zaczęło szukać mocnych trunków, a napiwszy się bez miary, gotowi byli odważyć się na wszelkie ostateczności. Porozbijali wszystkie beczki w wielkiéj piwnicy pośrodku miasta będącéj, i napełniali gorzałką swoje naczyńka. Powiadają że jéj tak wiele rozlano, że niektórzy potonęli

w piwnicy. Wyszedłszy stamtąd dla rozrywki, zaczęli strzélać w okna klasztoru.

To, co się działo potém za nadto jest obmierzłe i szkaradne aby godne było opisania. Wyznać atoli potrzeba: że nie wszyscy tak postępowali. Wielu z nas naraziło życie dla uratowania bezbronnych niewiast; a lubo niebespiecznie było wtedy pokazać się oficerowi, widziałem jednak w chwilach największéj zgrozy, narażających się dla wspomożenia cierpiącéj ludzkości; równie jak w dzień pierwszy okazywali odwagę przy szturmie. Zrażony obmierzłym widokiem, zagłuszony wrzaskiem w mieście, wyszedłem przez wyłom za okopy: cóż za uderzającą sprzeczność ujrzałem w tém miejscu gdzie się biła 4 dywizya! Wszystko milczało w około, tylko ostatnie jęczenia konających, drgania członków słyszałem: kilka głosów zaczęło mnie prosić o wodę; przyniosłem, i jak mogłem chciałem dopomódz.

Przypatrzywszy się jakim sposobem wzmocniony był wyłom od oblężonych, przestałem dziwić się, czemu przezeń żołniérze 4 dywizyi przecisnąć się nié mogli. Pochyłość okryta była dylami ściśnionémi do siebie; między niémi najéżone bagnety broniły przystępu; a prócz tego jeszcze na wałach widziałem kupy granatów i kul armatnich, które wciąż wyrzucano na oblegających. W rozmaitych postaciach okazywało się tutaj zniszczenie. Na rozległości kilku prętów kwadratowych, ziemia okryta była trupami: jedne miały

wejrzenie spokojne, u innych zaś rysy twarzy były świadectwem męk niesłychanych: upał był nieznośny, prędko gniły ciała poległych; wszystkie zmysły moje odbiérały najprzykrzéjsze wrażenia. Ciekawy oglądać to miejsce, w którém dnia wczorajszego tak upornie bój wiedliśmy, poszedłem ku fosie skąd zarzucaliśmy na mury nasze drabiny. Nie mniéj przykrego doświadczyłem wrazenia: pod jedną drabiną postrzegłem naszego kaprala będąc zraniony upadł na kolana i oparł się rękami; wśród zamięszania nie postrzeżono że na jego grzbiecie postawiono drabinę. Nie wiém czyli śmiertelną odebrał ranę; ale niesłychany ciężar mógł go rozgnieść, bo widziałem że mu krew buchnęła gębą, nosem i uszami.

Powracałem ścieżką wązką przez fosę pięćdziesięcio-łokciową, o któréj wyżéj mówiłem. Wszędzie mnóstwo było trupów do połowy z wody widzialnych. Przybywszy na drugą stronę, postrzegłem kobiétę z dzieckiem na ręku; prędko szła od jednego do drugiego trupa, przypatrując się okiem niespokojném, wreście stanęła przy jednym: był to grenadyer z 83 pułku. Wahała się, jak gdyby bojąc się rozeznać rysów twarzy; wreście nabrała odwagi: kładzie na ziemi dziecko, podnosi trupa, patrzy, wydaje krzyk przeraźliwy i pada bez zmysłów razem z ciałem swojego męża; podnosi się potém, klęczy, patrzy w niebo, bierze dziécię i przytula do serca drżącémi rękami. Po-

dobnéj bladości twarzy nigdy nie widziałem; zwiesiła głowę na piersi i jak wryta długo patrzała w téj postaci: ciężkie to jest brzemie nieszczęścia, udział cnotliwych!

Autor nasz w ciągu dzieła wszędzie przekonywa, że patrzy na świat z właściwego stanowiska; daleki od przesady prawdę tylko odkrywa czytelnikom, czyj wzrok ją doścignie, odwróci się pewnie od obmierzłego obrazu i szukać będzie szczęścia tam, gdzie je rzeczywiście znaléść człowiekowi dozwolił ten, który go udarował kilką szczęśliwémi chwilami na ziemi. Wątpimy aby znalazł się kto s czytelników, coby z nami nie dzielił szacunku dla skromnego, rozsądnego i cnotliwego autora. Opuszczając mnóstwo pięknych szczegółów przytoczymy jeszcze niektóre; chociaż przyznajemy że trudny był wybór.

«Gdyśmy byli w Campo-Major,» mówi potém autor: «Niemiec s 63 pułku, jeden Francuz i dwa Włochy s pułku *strzelców brytańskich*, skazani zostali na śmierć za dezercyą. Niemiec był z naszéj dywizyi, a reszta z siódméj. Równo ze świtem, gdy miano piérwszego rozstrzélać, wyszliśmy za miasto i stanęliśmy w trzech linijach czworoboku na kilka strzałów od murów. Winowajca s kapelanem pułkowym i żołniérzami, którzy go mieli rozstrzélać, przedefilował między nami. Po odmówieniu modlitwy, zawiązano mu

oczy i kazano uklęknąć nad brzegiem jamy przeznaczonéj mu na miejsce wiecznego spoczynku. Sam dał znak ręką, a w momencie dwanaście kul ugrzęzło mu w ciele. Potém porządkiem maszerowaliśmy wszyscy około trupa stósownie do danego rozkazu.

Ja byłem na warcie u jeneralnego giewaltygiera dzień przed egzekucyą dezerterów s 7 dywizyi. Siérżant przyniósł książki kompaniczne dla obrachowania się z nimi. Dwaj Włosi w ostatniéj rospaczy, krzyczeli i załamywali ręce. Francuz, który dostawszy się nam do niewoli, jako ochotnik zaciągnął się do strzelców brytańskich, chciał spróbować szczęścia powrócenia do swoich ziomków, zupełnie był inaczéj przygotowany na śmierć. Oblicze szlachetne i spokojne, nie okazywało najmniéjszéj obawy. Nie usłyszałem z ust jego żadnéj skargi; raz tylko zrobił uwagę: że niesłusznie go było karać za dezercyą, kiedy jako Francuz, miał racyą więcéj sprzyjać swoim niżeli obcym.

Kiedy siérżant chciał z Włochami zrobić obrachunek, niedali prawie z sobą rozmawiać; ale Francuz przeciwnie, wchodził w najdrobniéjsze szczegóły, a kiedy widział że brakowało cóś blisko półtora złotego, nie chciał pokwitować, aż musiał mu zapłacić. Lecz odebrawszy całą należność to jest kilka dollarów, rozdzielił swoję szczupłą puściznę pomiędzy więźniów. Włosi zaś odebra-

wszy resztę należności, posłali po gorzałkę i dla nabrania odwagi zupełnie się popili: nie tak jednak się stało jak myśleli; zaczęli bowiém płakać i krzyczéć straszliwie że ich daleko słychać było; nazajutrz dopiéro ucichli, kiedy zmęczeni i odurzeni zasnąć musieli. Częstowali także Francuza; lecz on spójrzawszy na nich s pogardą i z żalem odpowiedział: «nie potrzebuję upić się żebym był przygotowany na śmierć!» Chodził przez cały wieczór po izbie z założonémi na piersiach rękami, nie okazując po sobie żadnéj niespokojności; czasami tylko twarz jego przybiérała czulsze wejrzenie, kilka łez mu popłynęło; ale ponieważ wstydził się swojéj słabości, powracał zatém do dawnego stanu.

Trudno było nie zdumiéwać się nad jego odwagą. Nie wypadało mi z nim rozmawiać, przypatrywałem się jednak jego fizyognomii s coraz większą ciekawością. Dowiedziałem się, że był bratem pewnego jenerała francuzkiego; twarz miał piękną i kształtną postać. Układł się na pryczy o północy i spał mocno prawie do chwili egzekucyi; obudziwszy się był jeszcze spokojniéjszy jak pierwéj; zrobił, jak mówią jego rodacy, swoję toaletę z największą troskliwością; rozmawiał wesoło z innymi więźniami, i próbował, lubo naprożno, pocieszyć biédnych Włochów. Przybyła warta—s każdym z osobna więźniem pożegnał się, jednemu dał niektóre zlecenia jako najzaufańsze-

mu, potém zawołał głośno: «pamiętajcie że jestem Francuz!» Dowiedziałem się potém, że do ostatniéj chwili zachował spokojność umysłu; szedł śmiało i nie zadrżał na widok wykopanego grobu: każdy wielbił męztwo i żałował smutnego losu.

Odwróćmy teraz kart kilkanaście, i zobaczmy jak autor opisuje szczególniéjszy dowód męztwa jednego żołniérza.

«Zaczęła na nas naciérać kawalerya nieprzyjacielska; szczególniéjszym trafem z obu stron byli Niemcy i we francuzkiém i w naszém wojsku. Przy piérwszém zwarciu się, wystrzelono s pistoletów, a potém nastąpiły wzajemne łajania. Jeden nasz huzar tak się obraził jakimś wyrazem żołniérza we francuzkim mundurze, iż skoczył do niego s pałaszem w ręku pomiędzy szyki nieprzyjacielskie. Francuzki Niemiec wiedząc co go czekało, cofnął konia i skrył się za liniją; lecz przeangliczony jego ziomek postanowił się zemścić bez względu na niebespieczeństwo. Obu wojsk uwaga zwrócona była na nich; przestano nawet strzélać na kilka minut; Francuzi dziwili się odwadze huzara, a my klaskaliśmy w ręce dodając mu odwagi. Przez czas niejaki niewidzieliśmy za kawaleryą nieprzyjacielską; lecz zjawił się nagle, i jedném cięciem pałasza położył trupem swego przeciwnika; widząc potém niebespieczeństwo własne, puścił się galopem ku nam; lecz zdumieni je-

go odwagą żołniérze nieprzyjacielscy ruszyli w pogoń i kilkanaście razy wystrzelili ku niemu: tym czasem coraz się zbliżał, a kiedy już był o kilkadziesiąt kroków od nas, kilku chciało mu zajść drogę, i gdyby się cokolwiek pospieszyli rozsiekaliby go w kawałki: lecz nasze huzary pospieszyły na ratunek, wszczęła się bitwa, a tym czasam niemiecki Anglik ocalał; ustał nareście ogiéń, a my s tryumfem go odprowadziliśmy do dowódzcy.

Obróćmy jeszcze kart kilkadziesiąt. «Pomiędzy rzéką i starym kościołkiem,» mówi autor, «zacięta była walka. W liczbie zabitych i konających znajdował się pewien żołniérz z 88 pułku ciężko zraniony; musiał bardzo się męczyć, kiedy każdego kto tylko przechodził prosił aby mu resztę życia odebrał. Lubo rana była śmiertelna, nikt jednak nie śmiał mu uczynić okrutnéj przysługi; wreście Niemiec z 60 batalionu tiralierów przystąpił, wahał się przez chwilę, potém przyłożył mu lufę do łba i wypalił. Niechaj czytelnik swego się zdania poradzi czy to pochwały czy nagany godne.

Oficer jakiś francuzki, cofając się ze swoim oddziałem odebrał postrzał śmiertelny, a w momencie żołniérz z 83 pułku zaczął mu dobywać zégarek; tylko co go schował do kieszeni gdy kula gwiznęła mu nad uchem; padł — polała się krew nosem i uszami, skonał wreście; lecz go kula nie tknęła.

Nie daleko nas leżał jakiś człowiek w kałuży ze krwi; ponieważ miał na kaszkiecie numer tego samego pułku, przystąpiłem do niego. Kula trafiła mu w same czoło i w mózgu ugrzęzła; zdawało się że leżał bez duszy, ale kiedy muchy zaczęły otaczać ranę, całe jego ciało dreszcz konwulsyjny przechodził, a muskuły twarzy okropnie się ściągały. Trudno sobie cóś podobnego wyobrazić.

Artylerya nieprzyjacielska straszne zaczęła robić zamięszanie w naszych szeregach. Podporucznik portugalski od wystrzału z moździérza na drobne kawałki rozleciał się: drugi znowu ugodzony w brzuch kartaczem, obiema rękami przytrzymywał wypadające z siebie wnętrzności.

Wewnątrz kościołka już my, już Francuzi się kryli, jak wypadło komu z różnie odmiénianego kierunku wojsk. Pełno tam było różnych narodów ludzi już pozabijanych, już konających lub tylko ranionych: jedni prosili żeby ich kto dobił, inni jęczeli, inni żądali wody. Nie podobna było być obojętnym na ten widok. Oficer jakiś z gwardyi Napoleona, mający bardzo interessującą twarz, odebrał ciężkie rany w obiedwie nogi i w prawą rękę: zdjęto z niego odzienie, leżał rozciągniony na w pół nagi. Żołniérz z naszéj kompanii Jan Cochran, powszechnie znany z odwagi i dobroci serca, widząc nieszczęśliwego bez żadnéj pomocy, któremu muchy jeszcze bardziéj

draźniły rany, okrył go swym płaszczem, dał kawałek chleba, i poszedł pod wodę; ale jakże mu zabolało serce widząc że został powtórnie obdarty! Oficer *staréj gwardyi* uczuł wdzięczność dla cnotliwego Cochrana i chciał koniecznie żeby przyjął od niego resztkę pozostałych pieniędzy których nié mogli znaléść jego oprawcy.

Ponieśliśmy znaczne straty w téj potyczce. Kiedyśmy wylądowali na półwysep, nasz pułk składał się z 900 ludzi, w ciągu kampanii przybyło 400 rekrutów, a wracając do ojczyzny pozostało nam tylko 250 ludzi, s których 100 było chorych i ranionych.»

Zakończmy wreście to pismo, jeszcze jednym wyjątkiem, gdzie autor opisuje.

«Litować się potrzeba było, widząc wielu naszych, którzy zaledwie przywléc się mogli na pole bitwy, teraz zmęczonych trudami marszu upadających w błocie i nié mogących się podniéść. Musieli być albo stratowani od kawaleryi nieprzyjacielskiéj, albo przynajmniéj dostać się do niewoli; my około nich przechodziliśmy; patrzali na nas oddając może ostatnie pożegnanie: żadnego z nas serce nie było tak zakamiéniałe aby nie pożałować nieszczęśliwych; lecz własne niebespieczeństwo potrójną miedzią serca nasze okryło, nie dając przystępu litości nad ciérpieniami bliźnich. Wszelako byliśmy świadkami widowiska, które żywo każdego dotknęło.

Żona pewnego młodzieńca, która nawet na polu bitwy chciała być jak najbliżej swego męża, zacząwszy od Salamanki dzieliła z nami wszystkie trudy; wreście zmęczona, wycieńczona głodem nié mogła iść dalej. Pozwolono mężowi pozostać w tyle aby ją na furgonie posadzić; lecz tak było pełno tam ludzi, że już nié można jéj było pomieście; żony zaś innych żołniérzy nié mogąc się podobnie dostać, poupadały przy drodze. W smutném położeniu znajdował się mój towarzysz broni; musiał albo zostawić żonę aby dostała się w ręce żołniérzy francuzkich, albo też nié mogąc jéj dopomódz pójść razem do niewoli. Nie było czasu namyślać się, a kawalerya nieprzyjacielska tuż tuż goniła za nami. Żona ze łzami prosiła aby jéj nie opuszczał, wreście usłuchał; ale bojąc się żeby go za dézertera nie wzięto, porzucił ją, oddalił się i już jéj więcéj nie ujrzał. Długo potém żałował swego postępku, wyrzucał sobie, a smutna pamiątka zatruła mu chwile nie długiego potém życia. »

Nie wiadome nam wcale nazwisko tak rzadkiego w swoim rodzaju autora, tylko dziennik angielski *London Magazine* w chlubnéj dla niego recenzyi, wspomina, jakeśmy już na początku powiedzieli: że jest ubogi, lecz nikomu nieznany. Sposób opisywania podobny, jak jest prosty, tak ujmujący i godny naśladowania.

KONIEC.